

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/321

1974



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

Cz. MIŁOSZ :

OGROD NAUK

H. BOELL :

BOSKA GORYCZ AL. SOŁŻENICZYNA

W. WIRPSZA :

“ POEZJA ” I POEZJA

BRUKSELCZYK :

OD MALTHUSA DO MANSHOLTA

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>Ogród nauk</i>	3
Jan Darowski:	<i>Z notatnika</i>	23
Heinrich Böll:	<i>Boska gorycz Aleksandra Sołżenicyna</i> ..	31
Witold Wirpsza:	<i>„Poezja” i poezja</i>	41

WIERSZE

Krzysztof Mrozowski:	<i>Uwaga! Uwaga! Biorę się za nich</i> ..	49
” ”	<i>Wycinacze mięsa</i>	50
” ”	<i>Ankieta</i>	51
” ”	<i>Nie dopuszczaj myśli</i>	52
” ”	<i>Z dokumentów</i>	54
” ”	<i>Krzysztofowi Karaskowi...</i>	55

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	57
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	67
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	76

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	84
Karol Szwedowicz:	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	91
Benedykt Heydenkorn:	<i>Słowacja</i>	92

K R A J

Antoni Gutowski:	<i>Polska a Komekon</i>	94
------------------	-------------------------------	----

SPRAWY I TROSKI

Grażyna Nowak:	<i>List z Londynu</i>	102
Danuta Mostwin:	<i>Dzieci powojennej emigracji</i>	109
Mieczysław Szwej:	<i>Jubileusz tygodnika polonijnego</i>	117

KRONIKA KULTURALNA

W. A. Zbyszewski:	<i>Michał Tyszkiewicz</i>	119
—	<i>Wpłaty na „Listy z Nieba” St. Vincenza</i> ..	124

K S I Ą Ż K I

Adam Kruczek:	<i>Notatki Czytelnika</i>	126
M. Broński:	<i>Nowa powieść Stalińskiego</i>	135
Benedykt Heydenkorn:	<i>Studia etniczne w Kanadzie</i>	138
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	140
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	145



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	147
---	----------------------------------	-----



B. J. Jenne, Al. Janta, L. Ko- łakowski, J. Kowalewski, S. Mrozowski, S.P.K.-Lon- dyn:	<i>Listy do Redakcji</i>	156
T. Siedlik:	<i>Odpowiedź Redakcji</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec - Juin 1974

INSTITUT



LITERACKI

OD WYDAWNICTWA

Mamy nadzieję, że polskie wydanie „Archipelagu GUŁag” ukaże się — tak jak zapowiadaliśmy — w końcu czerwca bież. roku, mimo ogromnych trudności z tłumaczeniem (tekst jest bardzo trudny, a naszą ambicją jest aby tłumaczenie było na poziomie oryginału. Wydania francuskie, amerykańskie i angielskie są już dwukrotnie opóźnione) oraz z papierem, które występują obecnie w całej Europie.

Instytut Literacki projektuje wydanie w późniejszym terminie II tomu „Archipelagu GUŁag”, który właśnie ukazał się w języku rosyjskim. Szczegóły podamy Czytelnikom w jednym z jesiennych numerów Kultury.



WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Marian Barski, Buenos Aires, po raz siódmy	F. 48,00
Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA) — za przyjaciół z Warszawy — po raz dwudziesty czwarty	F. 490,00
Jan Hrycewicz, Toronto, Ont. (Kanada), po raz siódmy	F. 160,00
Prof. Jerzy S. Langrod, Paryż, po raz dwudziesty drugi	F. 100,00
Stefan Nędziński, Genewa, po raz trzeci	F. 150,00
Henryk Słowikowski, Ottawa, Ont. (Kanada)	F. 260,00
Bożena Tejsler, Toronto, Ont. (Kanada), po raz szósty	F. 50,00
Lucja Zalewska, Chicago, Ill. (USA), po raz ósmy	F. 49,00
M. i Z., Toronto, Ont. (Kanada), zamiast kwiatów na grób przyjaciela Zb. Woszczyńskiego	F. 50,00
Bezimiennie, Santa Barbara, Cal. (USA), po raz drugi	F. 98,00

DZIĘKUJEMY!

Ogród nauk

Ziemia jako raj

Wszystko jawiło się Nowe! Przedziwne, niewypowiedzianie rzadkie, i Zachwycające, i Piękne. Byłem małym Cudzoziemcem, którego, kiedy tylko Przybył na Świat, witały i otaczały niezliczone Radości. Wiedza moja była Boska.

Każda Rzecz była w spoczynku, Wolna i Nieśmiertelna. Nie wiedziałem Nic o Chorobie czy Śmierci, czy Przymusie, pod ich Nieobecność Radowałem się jak Anioł Dziełami Boga w ich Przepychu i Chwale; widziałem wszystko jako spokój Edenu; Niebo i Ziemia śpiewały na cześć mego Stwórcy i nie mogły dźwięczeć piękniej w uszach Adama niż w moich. Czas wszelki był Wiecznością i Nieustannym Świętem.

Zboże było Bisiorem i Nieśmiertelną Pszenicą, której nigdy się nie zbiera ani nawet sieje. Myślałem, że stoi tak od zawsze i na zawsze. Pył i kamienie na ulicy były Drogocenne niby Złoto. Brama była z początku Końcem Świata, Zielone Drzewa kiedy zobaczyłem je po raz pierwszy za jedną z bram olśniły i zachwyciły mnie; dla ich Stodocy i niezwykłego Pięknaomalże Serce nie wyskoczyło mi z piersi iomalże nie oszalałem z Ekstazy, tak dziwną i Cudowną były Rzeczą. Ludzie! O, jakimi czcigodnymi i szacownymi istotami wydawali się Starsi! Nieśmiertelne Cheruby! A Młodzieńcy, błyszczące, iskrzące się Anioły i Panienci, przedziwne Seraficzne Stworzenia pełne Życia i Piękna! Chłopczy i Dziewczęta Turlający się i Igrający na Ulicy byli ruchomymi Klejnotami. Nie wiedziałem, że Urodzili się i Umrą. Wszystkie rzeczy znajdowały się Wiecznie na Swoich Miejscach. Wieczność Objawiała się Światłem Dnia i coś nieskończonego przezierało Spoza każdej rzeczy, zwracając się do mojej Nadziei i budząc moje

Pragnienie. Miasto zdawało się Stać pośrodku Edenu albo być zbudowane w Niebie. Moje były Ulice, moja była Świątynia, moi byli Ludzie, moje były ich Szaty i Złoto i Srebro, jak i moje były ich Iskrzące się Oczy, Jasna Skóra i rumiane twarze. Moje były Niebiosa, jak i Słońce i Księżyc i Gwiazdy i cały Świat był mój, a ja byłem jedynym jego Widzem i Posiadaczem.

Thomas Traherne, *Centuries* (z trzeciej *Centurii*, 2, 3)

Autor, który tak powiada o swoim dzieciństwie, umarł w roku 1674 mając lat trzydzieści siedem. Aż do początku naszego stulecia był zupełnie zapomniany. Swoje miejsce jednego z głównych angielskich „poetów metafizycznych” zawdzięcza rękopisom, z których ogłoszono drukiem kilkanaście utworów poetyckich w roku 1903, wkrótce po tym *Centurie*, w roku 1908. *Centurie* składają się z paragrafów, prozą albo wierszem, ułożonych w „księgi”, po sto w każdej, stąd nazwa, nadana zresztą dopiero przez pierwszego wydawcę.

Książka Traherne’a jest hymnem na chwałę *felicity*, szczęśliwości człowieka na ziemi. Świat w niej jest podarunkiem złożonym człowiekowi przez Boga, po to przygotowanym, żeby życie ludzkie było bezustanną ekstazą. Zaliczając *Centurie* do gatunku literatury pobożnej i budującej (Traherne był duchownym) niewiele się jeszcze powie o ich treści. Wywód w nich zawarty postępuje od „tak” do „nie” i znowu do „tak”, innymi słowy przedstawia się następująco: *jeżeli* człowiek może doznać doskonałego szczęścia — a może, choć tylko w stanie niewinności, a więc w dzieciństwie — to znaczy że cierpienie, powszechne i przyjęte jako stan nie do uniknięcia, jest możliwe do uniknięcia, poprzez powrót tj. odzyskanie utraconej wizji naiwnej, co jednak wymaga spełnienia szeregu warunków.

Wzruszanie się opatrnościowym urządzeniem świata, w którym wszystko jest tak pomyślane przez Stwórcę, żeby człowiekowi jak najbardziej dogodzić, należało w siedemnastym wieku do dobrego obyczaju i Traherne nie idzie przeciwko ówczesnej konwencji, podnosi ją tylko do potęgi, ale właśnie ta zgodność mogła przyczynić się do utonięcia jego pism wśród mnóstwa religijnych traktatów duchowo spokrewnionych z barokową muzyką. Dzisiaj podziwiamy prostotę jego stylu zdolną przekazać wiernie wewnętrzne doświadczenie, niestety także ogarnia nas groza na myśl o tym w jak odległe zaniósł nas strony. Nic bardziej przeciwnego dwudziestemu stuleciu niż zasadnicza dla Traherne’a rada, żeby pamiętać jak wielkie jest *blagostawieństwo czasu* — a więc jak wspaniale to jest pomyślane, że po dniu następuje

noc, po nocy dzień, że światło słońca odmierza poranki, południa i wieczory, że odmieniają się pory roku. Przeciwnie, czas (to zasługa nauk przyrodniczych) stał się dla nas przede wszystkim biologiczny czyli składa się z niezliczonego mnóstwa równoległych choć niewspółmiernych przebiegów od narodzin do śmierci: rano urodziło się pokolenie jętek jednodniówek, wieczorem umarło, a ich niedługie trwanie spotyka się z dłuższym albo jeszcze krótszym trwaniem miriadów innych żywych istot, z człowiekiem włącznie. Rozrzutność przyrody czyli płodność-ku-zagładzie w imię przedłużania gatunków zaczęła (kiedy, sam czytelniku dopowiedz) moralnie nas obrażać jakby w przeczuciu, że ta sama ślepa płodność wkrótce samemu ludzkiemu gatunkowi zagrozi i że stanie się zgorszeniem dla teologii, niezdolnej wywikłać się z tej sprzeczności: jaka Opatrzność narzuciła ten instykt jeżeli i my będziemy zmuszeni wyłączać z uczy życia nieurodzonych po to, żeby mogli żyć urodzeni? I gdzie tutaj Traherne, u którego nie ma żadnego przejęcia się śmiercią, skoro człowiek w *Centuriach* nie zmienił się jeszcze w część przyrody? Nie tylko, bo każdy człowiek jest Jedyny, pojawia się jako witany radośnie gość z Otchłani i dostępuje rozkoszy zstąpienia w czas przyrodniczy jako *rytm*.

Jesteśmy więc, według Traherne’a, zdolni poznać czym było życie w Raju. Małuczcy są niewinni i dlatego ich pięć zmysłów wchłania świat taki jaki jest naprawdę, w jego pięknie. Ziemia jest rajem — tylko człowiek, kiedy wskutek grzechu traci niewinność, przestaje o tym wiedzieć. Jednakże jeżeli zyska świadomość swojego bogactwa i zło w sobie pokona, osiągnie cel swego istnienia czyli niewinność powtórna i znow, jak w dzieciństwie, znajdzie się w raju.

Tutaj kryje się dla mnie zagadka. Można przyjąć założenie Traherne’a kiedy mówi o przeszkodzie tj. o grzechu, który z dawien dawna był utożsamiany ze zwycięstwem naszego Ego. Mając jednak umysł mocno tknięty, choćby wbrew mojej woli, dwudziestowieczną nauką, nie mogę pojąć na czym polega bezgrzeszność dzieci i zapytuję czy nie jest ona złudzeniem. Uznajemy na ogół (sam sobie wylicz nazwiska pisarzy, którzy przeprowadzili tę analizę), że poszczególna istota ludzka nie zadowolni się niczym mniejszym niż stanie się bogiem — bo tylko bóstwo mogłoby występować jako czysty i absolutny *podmiot*, zdolny, jeżeli zechce, oglądać wszystkich innych jako *obiekty*, zachowując ten przywilej, że niczyje oczy w *obiekt* go nie potrafią zmienić. Otóż stan grzechu, w każdym razie u dorosłych, to nic innego niż cierpienie świadomości, która rzuca się łapczywie na świat chcąc być wszystkim czyli wszystko mieć dla siebie — i zaraz zwiija się rozpaczliwie w siebie, przezuwając porażkę. Tak, ale właśnie

dziecko jest czystym podmiotem, swoim własnym bogiem, zanim nie odkryje, że władza jego, bynajmniej nie bezgraniczna, natrafia na opór (rzeczy, ludzi). Płacze albo wręcz gniewne ryki są jego próbami utrzymania urojonej władzy absolutnej.

Gdzież więc przeprowadzić granicę pomiędzy niewinnością i grzechem? Ten zarzut wobec Traherne'a ma niemało wagi. Owszem, ale muszę o nim zapomnieć wobec jednego faktu: zdania, które przytoczyłem mówią ściśle i jedynie prawdę, o czym wiem, bo ja też byłem w raju. Odgłosy, zapachy, dźwięki, światło letnich poranków na wsi kiedy miałem lat siedem nic nie straciły ze swojej dech zapierającej urody, choć działo się to tak dawno, przed wiekami. I starając się jak najuczciwiej odpowiedzieć sobie na pytanie czy było to upojenie władzą, muszę zaprzeczyć. Kiedy Traherne powtarza słowo „moje”: „moje Niebiosa”, „moje Słońce i Księżyc i Gwiazdy”, kiedy powiada, że był „jedynym Widzem i Posiadaczem”, trafia na coś najbardziej istotnego. Bo posiadanie, przez nikogo i przez nic nie zaprzeczone, nie jest władzą — ta, żeby siebie sprawdzać, musi uciekać się do czynów. Jeżeli wszystko do mnie należy, nie przebudziło się jeszcze moje „ja”, nie odgrodziło się od świata żadnym murem i bez przesady rzecz można, że jest ono tym wszystkim co w każdej chwili przyjmuje, jako światło, kolor, dźwięk, zapach. Nie pojawia się myśl o „ja” odrębnym od „nie-ja” i na tym chyba polega niewinność. Dobrze, a opór — rzeczy jak też ludzi? Prawdopodobnie trzeba tutaj wydzielić poszczególne strefy, co odbywa się w jednej, nie odbywa się w drugiej. Jako małe dziecko musiałem być nieznośnym tyranem, ale może jesteśmy niesprawiedliwi łącząc w jedno zdobywczość i zachwyty bezinteresowny tą wielością naokoło dziecka, która oporu nie stawia i stawiać nie może — bo jakież opór w promieniu słońca przesuwającym się po tapecie?

Traherne używa przy tym mocnego, jeżeli zastanowić się poważnie, argumentu: przypomina, że ziemia została przyniesiona w darze nie rodzajowi ludzkiemu ale jednemu człowiekowi, Adamowi. I odtąd każdy człowiek jest takim Adamem, co także zresztą uznawał Seneka: *Deus me dedit solum toti Mundo, et totum Mundum mihi soli* — Bóg mnie dał samego jednego Światu i cały Świat dał mnie samemu jednemu. W takim związku miłosnym nie ma walki o władzę, nie ma współzawodnictwa, bo z kim? Adam, i sam i w postaci wyjętej z jego żebra Ewy, ani czuł się bogiem ani stać się nim nie zamierzał, bo gdyby było inaczej, skąd przelom — dopiero wówczas kiedy rozległ się szept Kusiciela: „Będziecie jako bogowie”...?

Niemało odwagi wymagałoby dzisiaj pisanie o ziemi jako o raju. Niestety nazywając ją piekłem ma się tyleż racji co nazywając ją rajem, i z tym, jak wiadomo, największy kłopot. Skłon-

ni jesteśmy zresztą do przesady zazdroszcząc epoce Traherne'a, która była w Anglii czasem rewolucji i wojny domowej, a także zaciętych walk religijnych, o czym w *Centuriach* ani wzmianki.

Dwa szczegóły o spotkaniu z Trahernem. Pierwsze, w młodości. Nawet w Anglii był mało znany, cóż mówić o Europie kontynentalnej. We Francji angielskim „poetom metafizycznym”, jak i różnym innym zjawiskom, które znalazły się w polu widzenia Francuzów dopiero kilka dziesiątków lat później, udzielał uwagi przed wojną tylko periodyk wychodzący w Marsylii, *Les Cahiers du Sud*. Tego to pisma, którego numery odkładał dla mnie Oskar Miłosz i przysyłał do Wilna w większych paczkach, był gorliwym czytelnikiem i tam to, bodaj w roku 1936, natrafiłem na kilka wierszy Traherne'a wydrukowanych po angielsku, z dosłownym francuskim przekładem.

Do drugiego spotkania przyczynił się Mickiewicz. Żeby to wyjaśnić, trzeba dać w kilku zdaniach niemalże historię sławistyki w Ameryce. Zapoczątkował studia słowiańskie w roku 1896 uniwersytet Harvardu, powierzając naukę rosyjskiego i innych słowiańskich języków Leonowi Wienerowi, imigrantowi z Białegostoku, syn jego, Norbert Wiener, jest znany jako twórca cybernetyki. Drugi z kolei ośrodek sławistyki powstał w Berkeley gdzie George Rapall Noyes, najpierw student Wienera, następnie wychowanek uniwersytetu petersburskiego, zaczął wykładać języki słowiańskie w roku 1901. Ten twórca naszego Wydziału Języków i Literatur Słowiańskich gdzie miałem kiedyś profesorować, był wielbiicielem Mickiewicza i aż dotychczas pozostaje głównym jego tłumaczem na angielski. *Pana Tadeusza* przetłumaczył prozą. Noyes'a nie znałem, ale otrzymałem raz od niego list z okazji pierwszego mojego eseju po angielsku, „*Mickiewicz and modern poetry*”, w tomie mickiewiczowskiego Symposium, które w New Yorku wydał Manfred Kridl. Otóż Noyes w tym Symposium opowiada czym *Pan Tadeusz* go oczarował: tą cechą, którą określa jako „dziecinny punkt widzenia połączony ze świadomością że jest to dziecinny punkt widzenia”. Tu Noyes cytuje Traherne'a. Poemat Mickiewicza był więc dla niego jeszcze jednym utworem o szczęśliwości odzyskanej.

◆
Być młodym i później zestarzeć się i wreszcie umrzeć, nędzna to forma ludzkiej egzystencji; taką zasługę ma każde zwierzę. Natomiast złączenie różnych faz życia w jedną równoczesność jest zadaniem jakie stoi przed istotami ludzkimi. I podobnie jak ktoś, kto przecina wszelkie więzy ze swoim dzieciństwem składa przez to dowód, że jest miernotą, bo jest człowiekiem tylko utamkowo, tak też nędzny sposób egzystencji wybiera myśliciel, który

przecie jest egzystującą indywidualnością kiedy traci wyobraźnię i uczucie — co jest równie złe jak stracić rozum.

Kierkegaard, *Concluding Unscientific Postscript*, translated by David F. Swenson and Walter Lowrie, 1941 (duński oryginał ukazał się w roku 1846).

Jeden człowiek jest dobroduszny a drugi wyrachowany albo ten sam człowiek działa raz dobrodusznie, raz z wyrachowaniem; ale równocześnie uchwycić w tej samej rzeczy okazję do podstępów i wyrzec się jej chcąc dobrego, jest bardzo trudno. Jeden człowiek jest skłonny do śmiechu a drugi do łez albo ten sam człowiek jest raz usposobiony tak, raz inaczej; ale równocześnie widzieć komiczne i tragiczne strony tej samej rzeczy jest trudno. Uginać się pod brzemieniem winy i zaraz znów wydawać się sobie panem świata, nie jest trudno; ale dokładnie w tym samym czasie być przygniecionym na duchu i czuć beztroskę, jest trudno. Myśleć o jednym, odsunawszy na bok inne myśli, nie jest trudno; ale mieć jedną myśl i równocześnie zachować myśl przeciwną, łącząc w egzystencji przeciwieństwa, jest trudno. W ciągu siedemdziesięciu lat życia zaznać wszelkich możliwych nastrojów i pozostawić po sobie kolekcję próbek z których każdy może sobie wybierać co zechce, nie jest bardzo trudno; ale mieć pełnię i bogactwo jednej tonacji i również tonację przeciwną, tak że kiedy nadaje się jednej tonacji patos i siłę wyrazu, przeciwna tonacja wślizguje się jako tło, oto rzecz trudna. I tak dalej.

Kierkegaard. Jak wyżej.

Co doradzał Mr. Blake

PRZYSŁOWIA PIEKIELNE

Siewną porą ucz się, w żniwo nauczaj, w zimie korzystaj.
Wozem i pługiem przejeżdżaj po kościach umarłych.
Przez nadmiar wiedzy droga do pałacu mądrości.
Przezorność, brzydka stara panna, której schlebia Nieudolność.
Kto chce a nie działa porodzi zarzę.
Przecięty robak wybacza pługowi.
Zanurz w rzece tego kto lubi wodę.
Dureń widzi nie to samo drzewo co mądry człowiek.
Czyja twarz nie daje światła, nigdy nie będzie gwiazdą.
Wieczność jest zakochana w wytworach czasu.

Pracowita pszczoła nie ma czasu na smutek.
Zegar mierzy godziny błazeństwa, godzin mądrości żaden zegar nie zmierzy.
Żeby chwycić zdrowy pokarm nie potrzeba sieci ni sidła.
Po liczbę, miarę i wagę sięgnij w rok nieurodzaju.
Żaden ptak nie lata za wysoko jeżeli wzbija się o własnych skrzydłach.
Martwe ciało nie mści się za zniewagi.
Najwspanialszy to czyn, wynieść innego nad siebie.
Gdyby głupek trzymał się swojej głupoty zostałby mądrym człowiekiem.
Nierozum jest strojem łajdactwa.
Wstyd jest strojem Pychy.
Pycha pawi jest chwałą Boga.
Chuć kozłów jest dobrocią Boga.
Gniew lwów jest mądrością Boga.
Nagość kobiety jest pracą Boga.
Nadmierny smutek śmieje się. Nadmierna radość płacze.
Ryk lwów, wycie wilków, rozpetane burzliwe morze i niszczący miecz są częścią wieczności za wielką dla oka człowieka.
Lis oskarża pułapkę, nie siebie.
Radości zaptadniają. Zmartwienia rodzą.
Mężczyźnie nosić skórę lwa, kobiecie owcze runo.
Ptak gniazdo, pająk sieć, człowiek przyjaźń.
I samolubnego uśmiechniętego głupca i nachmurzonego ponurego głupca człowiek będzie uważać za mądrych, żeby mogli być karzącą różgą.
Co dzisiaj dowiedzione, kiedyś było wyobrażone.
Szczer, mysz, lis, królik uważają na korzenie. Lew, tygrys, koń i słoń patrzają na owoce.
Cysterna ma ile ma, źródło przelewa się.
Jedna myśl napętnia ogromy.
Bądź zawsze gotów mówić co myślisz a podły człowiek będzie stronił od ciebie.
Cokolwiek w co można uwierzyć jest obrazem prawdy.
Nigdy orzeł nie stracił tyle czasu jak kiedy chciał się uczyć od wrony.
Lis opiekuje się sobą ale Bóg opiekuje się lwem.
Myśl rano, działaj w południe, jedz wieczorem, śpij w nocy.
Kto pozwolił żebyś narzucił się jemu, zna ciebie.
Jak pług idzie za słowami, tak Bóg nagradza modlitwy.
Tygrysy gniewu są mądrzejsze niż konie szkolnej nauki.
Spodziewaj się trucizny po stojącej wodzie.
Nigdy nie wiesz ile jest dosyć zanim nie wiesz co jest więcej niż dosyć.

*Wysłuchaj zarzutów głupca, to tytuł królewski.
 Oczy ognia, nozdrza powietrza, usta wody, broda ziemi.
 Człowiek słabej odwagi jest mocny w chytrości.
 Jabłoń nigdy nie pyta buczyny jak rosnąć, ani lew konia jak ma
 chwycić zdobycz.
 Kto jest wdzięczny za dary, wyda bujne plony.
 Gdyby inni nie zachowali się głupio, my musielibyśmy to zrobić
 za nich.
 Nigdy treść słodkich uciech nie będzie skalana.
 Kiedy widzisz Orła, widzisz częśćkę Geniuszu, podnieś głowę!
 Jak gąsienica składając jajka wybiera najpiękniejsze liście, tak
 ksiądz okłada klątwą najpiękniejsze radości.
 Żeby stworzyć maty kwiatek trzeba pracy wieków.
 Przekleństwo uzbraja. Błogosławieństwo rozluźnia.
 Najlepsze wino stare, najlepsza woda świeża.
 Modlitwy nie orzą! Pochwały nie zbierają!
 Radości nie śmieją się! Smutki nie płaczą!
 Głowa, Wspaniałość; serce, Patos; genitalia, Piękno; ręce i nogi,
 Proporcja.
 Czym powietrze dla ptaka albo morze dla ryby tym pogarda
 dla podłych.
 Wrona chciałaby żeby wszystko było czarne, sowa żeby wszystko
 było białe.
 Rozrzutna obfitość jest pięknem.
 Gdyby lew posłuchał rad lisa, byłby chytry.
 Ulepszenia prostują drogi, ale krzywe drogi bez Ulepszeń są
 drogami Geniusza.
 Lepiej zabić dziecko w kotysce niż hodować beczynne pragnienia.
 Gdzie nie ma człowieka, natura jest jałowa.
 Prawda powiedziana tak że się ją rozumie zawsze znajdzie wiare.
 Dosić! czyli za dużo.*

William Blake, *Zaślubiny niebios i piekieł*, 1790-1793.

Blake'a czytywałem przed laty i nawet przetłumaczyłem wtedy parę jego wierszy. Poważniej zająłem się nim niedawno i dopiero ostatnio zacząłem go trochę rozumieć. Amerykanie i Anglicy znajdują w nim niezupełnie to samo co ktoś znający np. polskich romantyków. Nazwisko Blake'a pojawia się pod piórem spadkobiercy tych romantyków, Stanisława Brzozowskiego, który chyba samą tylko intuicją uchwycił istotę powołania Blake'a, jego *energie*. Jeżeli daję ten komentarz, to dlatego, że spodziewam się nie powtarzać tego co u anglosaskich szkolarzy wyczytałem.

Blake był millenarystą i mesjanistą, ale nie na modłę dzie-

więtnastego wieku. Wzór u niego jest ten sam tzn. historia obdarzona jest ruchem docelowym i gatunek ludzki przechodzi trzy fazy: Upadku, Odkupienia, Nowej Ziemi. Podobnie też jak u millenarystów francuskich i polskich bieżąca polityka i religia związane są w jego poezji i malarstwie w jeden węzeł. Był jednak wcześniejszy, ściśle osiemnastowieczny, i chyba dlatego wzór biblijny zastosowany do nowoczesnej historii występuje u niego wyraźniej, bez tej retoryki o Epoce Ducha i tych rozczuleń rodem z Rousseau, które wkrótce później wzór zacierają.

U Blake'a spotykamy sprzężenia dążności i pojęć prawie że innym nieznanie. Przyznajmy się przed sobą o co mamy pretensję do wszystkich dziewiętnastowiecznych kaznodziejów wieszczących wspaniałe jutro tuż za progiem, czy to będzie Saint-Simon Fourier, czy Mickiewicz, czy autorzy *Komunistycznego Manifestu*. Jest to „miękkiej brzuch” ich doktryn, marzycielskie wymknięcie się myśli o naturze człowieka, który, dobry, czuły, został przez złą cywilizację zepsuty — i znów zaraz będzie dobry. Dzieło Blake'a w ogromnym stopniu jest wyrazem jego politycznych namiętności, radykalnych. Sławił bunt amerykańskich kolonii przeciwko Anglii; był za Rewolucją Francuską, za Jakobinami, nie znosił królów; żądał wolności człowieka, zupełnej na pohybel prawom państwa i kościoła. „Jutrzenka swobody”, „Łam, czego rozum nie złamię”, „Dalej, bryło, z posad świata”, „Gwałt niech się gwałtem odcisną” — to zupełnie jak z Blake'a. Młody Mickiewicz, wychowanek Oświecenia, był jednak o tyle do Blake'a niepodobny, że prawdziwie poważnej medytacji nad Upadkiem u encyklopedystów i masonów nie było. W centrum dzieła Blake'a stoi Upadek, ale bynajmniej nie w znaczeniu tylko społecznym, bo okazuje się być pochodną zasadniczego zaburzenia o wymiarach ontologicznych, wcześniejszego nawet niż Grzech Pierworodny. Z kolei przewrót w nauce, w technice (początki uprzemysłowienia Anglii) i w polityce przybiera u Blake'a kształt początku Apokalipsy, krwawego zniwa, i choć po nim ma nastąpić millenium, musi być ono poprzedzone tak całkowitą przemianą, że polityka przenosi się tutaj w nadludzki wymiar. Bohaterem Blake'a jest Człowiek Kosmiczny, Adam Kadmon kabalistów, upadły ale odkupiony i wezwany do szczęścia.

Blake nie był poetą symbolicznym, jeżeli przez „symbolizm” mamy rozumieć to co nam narzuciły literackie grupy i szkoły. I w swojej poezji i w swoim malarstwie ułożył własny słownik (jak to ktoś nazwał, „gramatykę symbolów”), który nie zmierza wcale do przekazania „nieuchwytnych” stanów, przeciwnie, słowa i obrazy układają się w system znaków o stałych, „przymocowanych” do nich znaczeniach. Tak np. cykl jego rysunków do *Księgi Hioba* pozostaje zagadką, jeżeli nie wie się co znaczy, że

dana postać stąpa prawą nogą a inna lewą. Jeżeli chce się Blake'a czytać, nie wystarczy więc znać angielski, ten jego słownik musi być opanowany, przy czym jest on częściowo tylko przetłumaczalny na język dyskursu, bo ginie wtedy wielowarstwowa ironia Blake'a, czy raczej, co chyba jest tutaj ściślejszym określeniem, jego (głębszy niż jakikolwiek komizm) *humor*.

Blake jest ważnym momentem w dziejach Europy wychowanej na Biblii i wreszcie, po wielu wiekach, przeżywającej rewanz filozofii pogańskiej tudzież początek nowego kultu, nauki. Blake albo nie zasługuje na to żeby ślęczyć nad jego szyframi albo zmusza do przyznania, że spór o dogmat Trójcy w trzecim i czwartym wieku jest nadal, choćby prawie nikt nad tym się nie zastanawiał, samym sednem wszelkich sporów o losie człowieka i planety. Takie twierdzenie może wydać się ekstrawagancją, niech jednak się tu znajdzie. Tyle wystarczy powiedzieć, że jeżeli Bóg Genezy, który stworzył niebo, ziemię, rośliny, ryby, ptaki, zwierzęta i człowieka nie jest tym samym Bogiem, który zostawił nam nauki Ewangelii, zasadnicze stąd płyną skutki. To właśnie, a więc związek pomiędzy historią ludzkości i pojęciem Trójcy jest treścią dzieła Blake'a, podobnie jak u jego nauczyciela, Swedenborga.

Lekkomyślności z jaką wiek dwudziesty traktował Swedenborga nie mogą się nadziwić. Szczególnie lekkomyślności Polaków, którzy w swojej literaturze niewiele mają poza poezją romantyczną, a mimo to nie wydaje się żeby badacze polskiego romantyzmu znali Swedenborga inaczej niż z drugiej ręki. Swedenborg nie był wariatem ani szarlatanem, wątpliwe też czy wyjaśnia cokolwiek nazwanie „mistykiem” autora, którego monotonna proza grzeszy pedanterią. Swedenborg był *teurgiem* (teurgia: działalność człowieka w harmonii z siłami boskimi), czy też, jeżeli kto woli przyziemne szczegóły, znakomitym szwedzkim uczonym osiemnastego wieku, członkiem Królewskiej Komisji Górniczej, który w pewnej chwili spostrzegł, że rozwój po-kartezjańskiej nauki przypiera go do muru, że nadchodzi epoka Sądu, kiedy wszystkie kościoły chrześcijańskie będą skazane na rozpad i że jemu samemu przypada misja ratowania chrześcijaństwa. Jego opisy podróży po niebie i piekle są odkryciem wymiaru ludzkiej *interioritas* czyli wewnętrzności. Jego egzegezy Biblii polegają na układaniu gramatyki symbolów-archetypów ukrytej w biblijnym języku.

Dla Blake'a tą władzą duchową, która wyprowadzi ludzkość z domu niewoli była Wyobraźnia utożsamiona z Duchem Proroczym, z działalnością Ducha Świętego i z energią w jej poszczególnej (particular) formie. Blake nie mało zajmował się Dantem, *Rajem Utraconym* Milтона i uważnie czytał Swedenborga. Pytania czy niebo i piekło opisywane przez tych autorów są alegoryczne czy dosłowne u Blake'a *nie ma*, ponieważ to co wyobraź-

niowe jest najbardziej rzeczywiste. Blake nie stosował taktyki romantyków, którzy prawdę („obiektywną”) oddawali w dzierzawę Locke'owi i Newtonowi, sobie zostawiając „świat przeżyć wewnętrznych”. Według niego to Locke i Newton żyli w świecie iluzorycznym, niestety morderczym, bo uzasadniali „prawa natury i społeczeństwa” czyli niewolnictwo.

Swedenborg, żeby ująć to w wielkim skrócie, przyczynę słabości chrześcijaństwa widział w jego spoganieniu, które zawsze idzie za politeizmem — a dogmat Trójcy w praktyce zmuszał jego zdaniem duchowieństwo i wiernych do wiary w trzech bogów. Wbrew jednak Arianom, którzy zastępowali jedność trzech *hipostaz* drabiną hierarchiczną: Ojciec, Syn, Duch, sam dogmat był przez Swedenborga zachowany. Nadawał mu tylko znaczenie inne niż to czyniły dotychczas wszystkie chrześcijańskie teologie. Uznawał jednego Boga-człowieka, Chrystusa, który jest Stwórcą, Odkupicielem i Pocieszycielem. Jeżeli teologia dotychczas trudziła się nad ustosunkowaniem postaci Syna do Ojca, to tutaj wszystko obraca się wokół Boga-człowieka, czyli chrześcijaństwo u Swedenborga staje się bardziej niż kiedykolwiek antropocentryczne. To właśnie odziedziczył po nim Blake, z tym jednak, że wprowadził dużo pierwiastków gnostycznych i manichejskich, wyrażających się w jawnej niechęci do Jehowy Starego Testamentu. Bóg Mojżesza zmienia się u niego w rodzaj więziennego strażnika, tyrana, a właściwie w *Nobodaddy* czyli Nikomutate, w twór alienacji, jak później u Feuerbacha.

Czy Blake, który nazywał siebie „żołnierzem Chrystusa”, był ateistą? Względę jakimi Blake cieszy się dzisiaj u badaczy literatury w znacznej mierze taką interpretacją się tłumaczy. A i teologowie „śmierci Boga” z zachwytem się na niego powołują, jak to czyni np. jeden z ich przywódców, Thomas J. Altizer w swojej książce *The New Apocalypse: the radical Christian vision of William Blake*, 1967. Mniej więcej połowa książki poświęcona jest wykazywaniu, że Blake przez Boskie Człowieczeństwo rozumiał właściwie nieskończoną potencję Człowieka i że wielbił sam ruch wstępujący ducha ludzkiego, co oczywiście wsparte jest u Altizera całymi rozdziałami o Heglu. Z pewnością wiele pokrewieństw łączy Blake'a z jego współczesnymi i z młodszymi (np. duch wieczny rewolucjonista Słowackiego) ale niektóre rodzaje filozofii i poezja to przeciwieństwa, mało więc przekonywujące wydaje się twierdzenie, że gdyby kret miał skrzydła byłby łabędziem. Próba aby Blake'a na spekulatywną modłę przenieść idzie wbrew samej istocie jego eschatologii. I z linii oświeceniowej i z linii romantycznej Blake się wyłamuje, o czym świadczy jego wrogi stosunek do Natury, która jawi mu się jako wynik katastrofy poprzedzającej akt stworzenia — ten jest nazwany

Aktem Łaski czyli pojęty jest na sposób manichejski (Król Jasności pozwala Elohim stworzyć świat aby zło, jakie zakradło się do królestwa archetypów zostało stopniowo okupione przez prace czasu). W świecie stworzonym, a więc pomiędzy katastrofą i Apokalipsą, działa Czas i wreszcie Naturę, która cała cierpi i boleje, uratuje człowiek, kiedy zbliży się do swego Zbawiciela, Chrystusa. Radykalizm Blake'a, wyjątkowy przez to że łączy się w nim ironiczna niechęć do „Matki Natury” tudzież do wszelkiej „religii naturalnej” z entuzjastyczną wiarą w moc Wyobraźni (i z odrazą do filozofii racjonalistycznej) jest raczej biblijną wizją w świeckim przebraniu niż odwrotnie i Księgi Prorocze (*the Prophetic Books*) Blake'a są głosem nowego Ezekiela którego nie chce słyszeć upadły Albion.

Dziesięcioro przykazań stało się w zachodnich krajach tzw. chrześcijańskich podstawą rygorystycznej i faryzejskiej moralności, strzeżonej przez władzę państwa i kościoła: Blake nienawdził tej moralności zakazów i w swoim gniewie wzywał do straszenia tablic Mojżesza. Jego Bóg, Jezus, wyswobodził ludzi spod panowania prawa. Gdyby Swedenborg mógł z Blake'm dyskutować (umarł w 1772, kiedy Blake był подростkiem), może by powiedział, że uczeń, kierując się słusznym moralnym oburzeniem na krzywdę i ucisk, niszczy to, co nauczyciel pracowicie głosił tj. jedność osoby Zbawiciela i Stwórcy, dawcy Dekalogu. Ze Swedenborgiem też Blake, choć go wysoko cenił, wszedł w spór pisząc jakby parodię swedenborgiańskiego *Nieba i Piekła*, jak wskazuje tytuł: *Zaślubiny niebios i piekieł*. Jeżeli zaślubiny zła z dobrem, to znaczy, że chodzi o „odwrócenie wartości”, bo co nazywa się dobrem może być w pewnych okolicznościach złem (np. łagodność i uległość wobec tyrana) a co nazywa się złem może być dobrem (np. ścięcie króla). Toteż Blake odwraca znaki tak gruntownie, że Szatan Milтона staje się Mesjaszem, diabły Swedenborga aniołami. Jego Jezus oczywiście znajduje się poza dobrem i złem dekalogu, bo wzywa do rozpętania rewolucyjnej energii, jest to Chrystus-tygrys, a zarazem niesie bezgraniczne przebaczenie.

Blake miał w tych pomysłach wielu następców. Pisząc o nim po polsku trzeba nawiasem zauważyć, że z krajów anglosaskich Polacy niewiele rozumieją, przede wszystkim nie rozumieją jaką siłą był tam rygorystyczny moralny, purytanizm karmiący się nędzą uciśnionych a zarazem cudotwórczy w nauce i technice. Stąd też Wolność zachodnia, z protestu przeciwko rygorom moralnym poczęta, wygląda im tylko na anarchię. Zresztą niektóre wydarzenia nowszej historii nieco sceptycznie mogą usposabiać mieszkańców europejskiego kontynentu do zaślubin zła z dobrem. Nietzsche marzył o wielkim władcy, o Cezarze z duszą Chrystusa,

ale niezbyt rozsądne to było marzenie. Ten i ów z nas myśli czasem o Feliksie Dzierżyńskim, który potrafił recytować z pamięci całe strofy z *Króla Duchy*, co „blakistom” zachodnim niewiele powie, bo ani o Dzierżyńskim ani o Słowackim nie słyszeli. To jednak co nastąpiło sto lat z okładem po epoce wielkiego zrywu nie powinno być przeciwko Blake'owi obracane. Kiedy toczyła się Wojna Niepodległościowa amerykańska i kiedy wkrótce potem wybuchła we Francji rewolucja, nie on jeden wierzył w wielkie żniwo z Objawienia Św. Jana.

Powracając do dogmatu Trójcy. Jeżeli przetłumaczymy to na język świecki, gnostyczne tudzież manichejskie rozerwanie więzi pomiędzy Stworzeniem i Odkupieniem oznacza, że człowiek jest we wszechświecie zupełnie samotny i że sam sobie musi być prometejskim zbawcą. A zbawcą nie może zostać inaczej niż biorąc na siebie wiedzę, winę i cierpienie po to żeby ustanowić społeczeństwo totalitarne dla tych, co nie chcą ani wiedzy, ani winy ani cierpienia. Ta problematyka była Blake'owi najzupełniej obca. Dopiero w ponad pół wieku po jego śmierci została z całą ostrością sformułowana w *Legendzie o Wielkim Inkwizytorze*.

Wystarczyłoby może powołać się na podziw dla Blake'a jako poety żeby wyjaśnić dlaczego tyle godzin czytaniu jego i o nim poświęciłem. Jednakże Blake, ponieważ u niego każda kreska i każde słowo *znaczy* czyli ma funkcję nie tylko w obrębie danego układu, do czysto estetycznych smakowań nie upoważnia. Jeżeli ciągną go na swoją stronę to chrześcijańskie gminy, to rewolucjoniści, to psychoanalitycy, widocznie jest nie taki chudy w treść jak liczni dwudziestowieczni poetowie. Powody mego zainteresowania są, mniej więcej, następujące. Po pierwsze. Może są ludzie dla których czas historyczny nie musi układać się w cykle zmierzające do Wypełnienia jak w Biblii, choć takich ludzi jest chyba znacznie mniej niż się przypuszcza. Kto wie czy nie lepiej jest przyznać się do naszych ograniczonych możliwości w tym zakresie tj. że zaczynamy szaleć kiedy czas ogałaca się z nadziei, z sensu. Mesjaniczne dziedzictwo, także w jego polskiej odmianie, niemało waży, choć ktoś mógłby również utrzymywać, że działają tutaj stałe cechy ludzkiego umysłu. Żartuje się dzisiaj ze słynnej lemoniady, która miała według Fouriera zastąpić kiedyś wodę w morzach: niewiele więcej zostało z przyszłościowych marzeń. A przecie dar profetyczny umiemy rozpoznać, choćby, jak w wypadku Blake'a, wielki poryw, po którym tak wiele oczekiwał, zakończył się rządami Świętego Przymierza. Blake niczego nie przesądza — dostatecznie surowy w przedstawieniu Ulro, krainy śmierci za życia, opiewa właściwie koniec świata tego (Eonu) w swoich hymnach na chwałę odrodzonej Bosko-ludzkiej Rodziny.

Po wtóre, próbując rozwikłać skąd, jak i dlaczego pojawił się w osiemnastym wieku Swedenborg, trafiłem na Blake'a i jego humor okazał się dobrym przewodnikiem. Romantycy polscy i francuscy czytali Swedenborga (choć niewiele i tylko we francuskich adaptacjach) ale interpretując go trochę na opak, bo pociągała ich jego „zaświatowość”, podczas kiedy cały jego układ „korespondencji” pomiędzy formami dotykalnych rzeczy i subiektywnością człowieka tak znowu zaświatowy nie jest. Przykładem takiego błędnego, eterycznego swedenborgianizmu jest *Serafita* Balzaka, *nota-bene* napisana wtedy, kiedy uczuciowy tłuszcioch przeżywał największe nasilenie miłości do pani Hańskiej, stąd też w powieści dwie bratnie dusze wśród symbolicznych śniegów nad norweskim fiordem. Z tego samego czasu pochodzi *W Szwajcarii* Słowackiego — norweskie śniegi zmieniają się w alpejskie śniegi, a niedługo później, w *Anhellim*, w syberyjskie śniegi.

Wreszcie, co może najważniejsze, bardzo dużo kryje się w atakach Blake'a na Newtona. Choć muszę przerwać w tym miejscu, bo nie piszę przecież o Blake'u całej książki.

◆
OBRAZ BOSKI

*Okrucieństwu Serce Ludzkie dano,
Zazdrości dano Ludzką Twarz.
Grozę w Człowieczy Boski Kształt przybrano,
Skrytość włożyła Ludzki Płaszcz.*

*Z żelaza Ludzki Strój wykuty,
Kształt Ludzki: Kuźnia pełna ognia,
Twarz Ludzka: Piec podziemnej buty,
Serce Ludzkie: Gardziel zawsze głodna.*

William Blake

Ten krótki wiersz, przetłumaczony przeze mnie kiedyś, dawno, odpoczywał sobie w jednym z zeszytów. Dobrze ilustruje to co przed chwilą o Blake'u powiedziałem. „*Gdzie nie ma człowieka, natura jest jałowa*”: i dobro i zło, i piękno i brzydota przybierają zawsze u Blake'a poety i Blake'a malarza kształt ludzki. Widać to już w jego bardzo wczesnych wierszach o porach roku. Wiosna oczywiście stąpa po łąkach wyspy brytyjskiej jako piękna dziewczyna. Lato, młody bożek, pędzi w rydwanie, biega po lasach i kąpie się w rzekach. Jesień, dojrzała kobieta, odchodząc zostawia „złoty dar” owoców. W zimie złowrogi ludożerca

olbrzym „obnaża ziemię”; później, w Księgach Proroczych, takim bogiem zimy będzie starzec Urizen, czyli oderwany od Wyobraźni, mrozący wszystko Rozum.

Dlaczego Blake za najwyższego geniusza w malarstwie uważał Michała Anioła? Odpowiedź: bo Michał Anioł cały dramat kosmiczny przedstawiał jako akcję dobrze narysowanych (linia!) postaci. W Kaplicy Sykstyńskiej Stwórca jest człowiekiem — ani nie jest ikoną ani nie ukrywa się za chmurą, palcem dotyka palca Adama. To Bóg-Człowiek Swedenborga. Blake pienieł się na szkołę wenecką bo wietrzył w niej niebezpieczeństwo, jakby kolorystyczna wrażliwość tej szkoły zapowiadała impresjonizm i zniknięcie z malarstwa ludzkiej postaci mocno obwiedziona *linią*. Wszystkie „moce i zwierzchności”, wszystkie władze ludzkiej duszy ucieleśniają się w malarstwie i poezji Blake'a jako alegoryczne osoby, mężczyźni albo kobiety, jak w renesansowych maskach widowiskach.

Ten panteon Blake'a jest dziwnie męski. Nie to żeby brakło w nim żeńskich postaci, nie można byłoby też oskarżać go o obojętność wobec losu kobiet. Na przykład jego alegoryczny rysunek wyzwolonych trzech kontynentów pokazuje nagą białą kobietę, Europę, w siostrzanym uścisku z czarną eks-niewolnicą, Afryką, i z indiańską eks-niewolnicą, Ameryką. Programowa obrona wolnej miłości (i pokusy na jakie był narażony chcąc wytrwać w małżeństwie) powracają w wielu jego utworach. A jednak główne jego działające, sprawcze figury są mężczyznami-zdobycami. Krajinie erotycznego marzenia przypada miejsce niezbyt wysokie. Nowe Jeruzalem Adama odrodzonego ma oddawać się bezustannej wojnie i łowom — intelektualnej wojnie i intelektualnym łowom — czyli Nauka i Sztuka są u Blake'a formą męskiej agresji. Trudno orzec ile w tym jest manichejskiej niechęci do płodzącej, żeńskiej Przyrody (Vala, rodzaj zasłony Mayi), ile nieświadomie przyjętych plemiennych anglosaskich obyczajów, ile protestantyzmu z zaciśniętymi ustami, który nieraz bierze odwet na tych, co przeciw niemu się buntują. Tak czy owak Blake, z tym tak wyraźnym zakłóceniem równowagi dwóch pierwiastków nie może nie razić ludzi wychowanych w innej religijnej tradycji. Żeńskość stworzenia i cała bogata symbolika oznaczająca akceptację świata jest u Blake'a nieobecna, ani tu miejsca na Oblubienicę z Pieśni nad Pieśniami, na Hagę Sofia, na Bożą Rodzicielkę. I być może kraina wiecznych intelektualnych łowów jest nie najmniej utopijnym z jego pomysłów. Jednakże wypada odnotować na jego korzyść, że udało mu się uniknąć złudzenia właściwego szczególnie mesjanistom słowiańskim, którzy wyobrażali sobie nową erę jako koniec wszelkich egoizmów. *The Spectre* (Widmo czyli Ego) nie jest u Blake'a czymś czego człowiek

zdoła się kiedykolwiek pozbyć. Natomiast Blake był przekonany, że można Widmo zaprząć do roboty tj. poddać pod władzę Wyobraźni.

„Dehumanizacja sztuki”

„Z socjologicznego punktu widzenia” charakterystyczny rys nowej sztuki polega, moim zdaniem, na tym, że dzieli ona publiczność na dwie klasy, na tych, którzy rozumieją i na tych, którzy nie rozumieją. Zakłada też, że jedna grupa obdarzona jest organem rozumienia, podczas gdy taki organ został odmówiony drugiej, że są więc one różnymi odmianami ludzkiego gatunku. Nowa sztuka oczywiście nie zwraca się do wszystkich jak to czynił Romantyzm, ale do szczególnie uzdolnionej mniejszości. Jeżeli człowiekowi nie podoba się jakieś dzieło sztuki ale rozumie je, czuje się od niego wyższy; brak wtedy powodu do oburzenia. Ale jeżeli nie podoba mu się coś bo tego nie rozumie, wtedy czuje, że go to jakoś poniża i to dokuczliwe poczucie niższości musi znaleźć przeciwwagę w gniewnej wypowiedzi nie znoszącej sprzeciwu. Przez samą swoją obecność sztuka młodych zmusza przeciętnego obywatela aby sobie uświadomił, że jest kim jest — przeciętnym obywatelem, istotą niezdolną do przyjęcia sakramentu sztuki, ślepą i głuchą na czyste piękno.

José Ortega Y. Gasset, „La deshumanización del arte”, 1925.

Dawno zostało to napisane, pół wieku temu. W tym krótkim eseju są już zawarte zasadnicze idee rozwinięte wkrótce przez Ortegę Y Gasset w jego głośnym dziele *Bunt mas*. Hiszpańskiemu filozofowi należy się pierwszeństwo w odkryciu nowego wymiaru, ilości. Jakoś nagle zaczęło być dużo ludzi, powiada, wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć, tłumy, na ulicach, na placach, w tramwajach, w pociągach, w kawiarniach. Wyroili się — nie tylko dlatego że ich przybywa, także dlatego że siedzieli sobie cicho w swoich wioskach i miasteczkach, aż tu raptem do miast runęli, zmieniając się w masę, jak w późnym Rzymie. Ortedze przypisuje się często wrogość do tej masy, miał on rzekomo ubolewać nad tym, że niedawny mieszkaniec kurnej chaty zaczął używać łazienki a niedawny analfabeta stał się czytelnikiem ilustrowanych magazynów. Otóż przeciwnie, Ortega Y Gasset widzi w takiej wielkiej przemianie nieskończone możliwości na przyszłość. Nie ukry-

wa jednak, że jemu chodzi o kulturę czyli twórczą działalność ludzkiego umysłu i że według niego, jak ziemia ziemią, kultura zawsze była arystokratyczna, że tylko względnie nieliczni o nią dbali. Zapowiadając panowanie mas, twierdzi, że i w polityce będzie ono krótkotrwałe, bo kiedy upadły jedne przegrody, stopniowo wzniosą się inne i dadzą początek nowej hierarchii. Dwie dziedziny są szczególnie wrażliwe na to, co się przygotowuje, sądząc po nich można nowe podziały odgadnąć. Są to sztuka i nauka czysta (matematyka, fizyka). Odgrodenie się nowej sztuki od tłumy, jej „dehumanizację”, Ortega Y Gasset pochwała. Przypomina, że zawsze sztuka dla klas wyższych była hierarchiczna i formalna, a sztuka dla plebejuszy zajmowała się „realiami”. Ponieważ już wiek dziewiętnasty (od Rewolucji Francuskiej) oznaczał wyrażanie się mas, literatura i sztuka wtedy stają się romantyczne, melodramatyczne i realistyczne, które to przymiotniki Ortega prawie utożsamia. „W dziewiętnastym wieku — mówi — artyści działali w nazbyt nieczysty sposób. Sprowadzali ściśle estetyczne elementy do minimum i pozwalali aby ich dzieła prawie w całości dawały złudzenie ludzkich realnych spraw. W tym sensie wszelka normalna sztuka ostatniego stulecia musi być nazwana realistyczną. Beethoven i Wagner byli realistyczni, tak jak Chateaubriand, i jak Zola”.

Oto więc jeszcze jedna teoria próbująca wyjaśnić co naprawdę w naszym stuleciu się odbywa. Niemało z tego dane nam było oglądać w ciągu pięciu dekad jakie dzieła nas od roku 1925. Czyżbyśmy, przygniecenii nadmiarem wydarzeń, namiętnościami powodowani, prześlepiłi podszewkę wielkich „ruchów masowych”? A może to upodobanie, i wódzów i mas, do przepychu, parad, orkiestr dętych, melodramy, portretów „jak żywych” i krów w pejzażu „jak żywych” — może to upodobanie było owym „ciepło, ciepło” zdolnym nas naprowadzić na ukrytą stawkę toczącej się walki, skoro wspólne było tym, co do siebie strzelali? Czyż nie tuczono artystów na państwowych etatach po to żeby chwala państwa utrwałała się w płodach pióra, dłuta i pędzla naśladowujących sentymentalnie-romantyczne wzory? I czy duch ze swoją hierarchiczną skłonnością, ze swoją odrazą do *profanum vulgus*, nie chronił się w tzw. „sztukę zdegenerowaną” czy „sztukę dekadenczną”, niemiły, oschły, odczuwany jako zagrożenie, jako wola pogardliwego górowania? Owszem, było coś co łączyło abstrakcyjne malarstwo, teorię kwantów, teorie względności — a była to niedostępność dla „zdrowego rozumu” i jakby groźna zapowiedź, że w nowych, przetasowanych społeczeństwach powstanie „kasta wiedna” uczonych i artystów, rywalka nawet wódzów dzięki swojej hermetycznej wiedzy.

Może i tak, ale niezupełnie tak. Na dużych obszarach planety

nadal dekretuje się, że nos na portrecie powinien być taki jak wszelkie przyzwroite nosy (swoje miejsce ma znać a nie np. uciec z twarzy i rozjeżdżać po mieście dorożką jak u Gogola), że dźwięki trąb w kompozycji powinny „znaczyć”, że powinno być wiadomo „co poeta chce powiedzieć”. Choć tu i ówdzie już z teorią kwantów należało się pogodzić, a jedno ustępstwo nie wróży dobrze. Cóż jednak ma począć podróżny po innych okolicach naszej małej ziemi kiedy przybywa np. do Prowansji i odwiedza miasteczka z których cała ludność wyemigrowała do miast a osiedliła się ludność nowa, złożona z samych artystów? W takich prowansalskich miasteczkach, jak i w podobnych miasteczkach na wybrzeżu Kalifornii, trudno nie zastanowić się nad dziwnym widowiskiem jakim jest armia złożona z samych generałów, przynajmniej w ich własnym mniemaniu. Każdy z tych artystów uprawia sztukę elitarną i w swoje tylko własne powołanie, wbrew innym powołaniom, wierzy. Niedawno jeszcze tzw. masy troszczyły się tylko o to, czy następnego dnia będzie co włożyć do garnka, dzisiaj coraz więcej ich dzieci zaczyna gardzić życiem przeciętnych zjadaczy chleba i uważa siebie za „jednostki twórcze”. W chwili kiedy to piszę, leży przede mną na stole ilustrowana księga dużego formatu pt. *Whole COSMEP Catalog*. COSMEP oznacza Committee Of Small Magazine Editors and Publishers. Do organizacji tej należy około sześciuset „małych magazynów” wypełnianych głównie poezją i rozpowszechnianych poza normalnym rynkiem księgarskim. Ogólna ich liczba w Stanach Zjednoczonych sięga tysiąca, w Anglii jest ich coś czterysta. W pobliżu naszej Zatoki San Francisco (bo gdzieżby indziej) wychodzi ów katalog jak również pismo tych pism, *The Small Press Review*.

Jakie to piękne! Więc oto, na przekór ponurym zapowiedziom powszechnej uniformizacji i szarzyzny, zamiast cyfry statystycznej pojawia się indywidualny człowiek, swój własny los usiłuje odgadnąć i wyrazić w niezrozumiałych (nawet dla innych poetów) wierszach i w równie niezrozumiałych malowidłach, nie oglądając się na tłumność tego pędu, jako że każdy ma swoje własne obowiązki wobec Istnienia. Spełnia się więc po trosze wysunięte niegdyś przez samotnych myślicieli żądanie, aby w sobie samym, w swojej subiektywności, szukał człowiek oparcia przeciwko Prawom Ogólnym, Historii, Przyszłości itd. czyli przeciwko wszystkiemu co przesłaniać zwykło jego poszczególne, niepowtarzalne cele.

Znów tak ale i niezupełnie tak. Gdyż co miało być znakiem wyróżnienia okazało się znakiem ułatwienia. „Dehumanizacja sztuki”, w trudzie i męce zapoczątkowana przez wybredne umysły, podjęta została przez umysły podrzędne i, zwłaszcza zważywszy

na powszechną ćwierć-oświatę, nie przygotowane do jakichkolwiek twórczych poczynań. Nowa sztuka dała im znacznie większe szanse niż ta dawna. Kiedyś, żeby wzruszyć opowieścią o losach uciśnionej niewinności, tak żeby czytelnicy płakali jak bobry, albo żeby namalować landszaft z zachodem słońca, trzeba było jakich takich talentów. Z kryteriami oceny nigdy nie było dobrze ale kiedy ich resztki się rozpadły, pojawiła się na horyzoncie zdehumanizowana sztuka masowa i największa „śmiałość”, największa „awangardowość” znaczy już dzisiaj: największa przeciętność.

A może Ortega Y Gasset odparłby na to, że gdyby nawet pomylił się co do dalszego ciągu artystycznej przemiany jakiej był świadkiem, chodziło mu jedynie o sygnał zapowiadający pojawienie się nowej hierarchii? Że dużo wody musi upłynąć w rzekach zanim chaotyczna wielość ułoży się w nowe układy kryształów i że z czego innego niż sztuka należałoby dzisiaj wróżyć? Nie będę starać się zgadywać co by sądził gdyby żył teraz.



Rzeczywista rzecz zawsze przepływa poza pojęcie które miało ją schwytać. Przedmiot to i więcej i co innego niż zawiera się w jego idei. Idea pozostaje nagim wzorcem, rodzajem rusztowania przy którego pomocy staramy się dotrzeć do rzeczywistości. Ale skłonność zakorzeniona w ludzkiej naturze zachęca nas abyśmy uznali, że rzeczywistością jest to, co o niej myślimy i tak postępując pomylili rzeczywistość z ideą, biorąc w dobrej wierze tę ostatnią za samą rzecz. Nasze pragnienie rzeczywistości prowadzi nas do wymyślnej idealizacji rzeczywistości. Taka jest wrodzona predyspozycja człowieka.

Jeżeli jednak odwrócimy naturalny kierunek tego procesu; jeżeli pozostawiając za sobą rzekomą rzeczywistość uznamy nasze idee za to czym są — jedynie subiektywnymi wzorcami — i powołamy je do życia tak jak są, chude, kanciaste ale czyste i przezroczyście; jeżeli więc z założenia postaramy się „ureczywistnić” nasze idee — wtedy je zdehumanizujemy i odrealnimy. Bo idee są naprawdę nierealne. Uważać je za rzeczywistość znaczy idealizować, otwarcie fałszować. Natomiast ożywić je w samej ich nierealności jest to — że się tak wyrazimy — ureczywistnić to, co nierealne jako takie. W ten sposób nie zmierzamy od umysłu do świata (podkreślenie moje). Przeciwnie, nadajemy trójwymiarowe istnienie samym wzorcom, obiektywizujemy subiektywność, „uświatowiamy” to co immanentne.

José Ortega Y Gasset. Ten sam esej.

Aby zadowolnić pragnienie dehumanizacji nie potrzeba zmieniać natury właściwej rzeczom. Wystarczy zakłócić ich hierarchię i stworzyć sztukę w której małe wydarzenia życia pojawiają się na pierwszym tle w monumentalnych rozmiarach.

Jak wyżej.

Zaletą tych określeń jest to, że miały czas uleżeć się w ciągu pół wieku. Jak się okazało ładnie obejmują najprzerówniejsze kierunki nowej literatury i sztuki, od Czystej Fromy, kubizmu, surrealizmu po „Le Nouveau Roman”. Tyle, że pomyślane jako obrona wielkiej przemiany, nieco tę przemianę kompromitują. Ulubionym zajęciem Gombrowicza było znęcanie się nad malarzami. Wmówiliście sobie, zwykł mawiać, że na waszej sztuce komukolwiek zależy. Nikomu nie zależy, bo zaspakaja ona potrzebę przez ludzi stworzoną sztucznie. Na to malarze okazywali tzw. żywe niezadowolenie i żądali żeby im wyjaśnił co rozumie przez „naturalne”, nie sztuczne, potrzeby. Wtedy Gombrowicz używał swego przykładu chleba i papierosa. Zadawał im pytanie: jeżeli zamknę was na dziesięć dni bez papierosów, to co się stanie? Nic. A jeżeli zamknę was na dziesięć dni bez chleba? Właściwie dość tego gombrowiczowskiego porównania (mniejsza tutaj o jego intencje), żeby przypomnieć, że rzeczywistość ma swoją własną wagę i swoje proporcje. Skoro „nie mierza się od umysłu do świata”, łatwo zgubić jedyne kryterium jakie pozwala odróżnić właściwości rzeczy od fantomów naszego umysłu. Jeżeli pod wpływem narkotyku zyskam wewnętrzną pewność, że potrafię latać i wyskoczę z okna piątego piętra, rzeczy wezmą odwet. Jeżeli natomiast w dziele sztuki zakłócę hierarchię spraw ważnych i nieważnych, tak jak przedstawia się ona „normalnej” naturze ludzkiej, skutki mogą nie być na razie widoczne ale będzie to krok w stronę ogólnego chaosu a kto wie czy nie zbiorowego obłądu.

Pewnie nie zajmowałbym się dla własnych celów tymi teoriami, bo albo się swoje wie, albo żadne teorie nie pomogą. Ale ucząc literatury na uniwersytecie trudno uniknąć debaty o tym czym jest literatura naszego wieku. Zresztą lepiej niż teorie przyda się, godna zawsze cytowania, pełna moralnych przestróg, załosa historia kompozytora Adriana Lewerkühna, który ułożył najgenialniejsze kompozycje muzyki doskonale zdehumanizowanej, nie wcześniej jednak niż zawarł pakt z diabłem. Co przekazała wiernie powieść Tomasza Manna, *Doktor Faustus*.

Czesław MIŁOSZ

Z notatnika

„Dwie rzeczy” — pisze Simone Weil — „nie dadzą się sprowadzić do żadnego racjonalizmu: czas i piękno”. Dlatego właśnie królową sztuk jest muzyka, której są w końcu ostateczną treścią. Ale jeśli Weil ma na myśli więcej niż tylko to, że czas i piękno nie są kategoriami, którymi moglibyśmy rozumować i sądzić o świecie, że pozostaną na zawsze sprawą intuicji i wyobraźni, nadziei i miłości, to możemy dorzucić jeszcze rzecz trzecią. Mianowicie, sam racjonalizm.

Jeszcze nie dowiedziono że racjonalizm jest racjonalny na zewnątrz samej metody, że jako zjawisko ma połączenie z całą przeszłością i przyszłością i logiczną rozciągłość na cały wszechświat, całą wszechpotencję. Nic o tym pewnego nie wiemy i nie potrafimy badawczo posługiwać się jakąkolwiek metodą na zewnątrz niej samej, ani sądzić o niej od wewnątrz, tak jak przez części samochodu z których każda jest funkcjonalnie racjonalna, nie potrafimy osądzić czy człowiek za kierownicą jest racjonalny, czy jego podróż ma logiczny sens, czy sam samochód jako koncepcja nie jest ostatecznie wytworem ślepego instynktu. Wiemy tylko, że nie jest nim jako przedmiot w jego poszczególnych częściach. Zaś myślenie, że ten sam racjonalizm który przyświecał konstrukcji tych części może zapewnić nas o tym, należy raczej do resortu pobożnych życzeń niż możliwości logicznego dowodu. Nawet statystyka niewiele może nam tutaj pomóc, gdyż stopień psychologicznej asymetrii nie da się nawet wykalkulować. Jeśli będzie logiczny dowód, to tylko w granicach przedmiotu i jego przeznaczenia od A do B. Ale o racjonalności celu dalej nic nie wiemy. Tak więc racjonalizm mało nam może powiedzieć o świecie jako całości i mało o sobie w tym świecie. Nie może powiedzieć nam uczciwie że świat jest racjonalny, bo

wtedy musielibyśmy sądzić że racjonalność pokrywa się ze światem i, powiedziawszy tyle, mówić że instynkt i intuicja, że miłość i nadzieja są racjonalne gdyż są w świecie, że irracjonalizm jest racjonalny, gdyż jest w świecie. I tak do absurdu.

A jeśli świat jako całość nie jest racjonalny, to i racjonalizm jako całość nie jest zupełnie racjonalny i nie może wyczerpująco sądzić o świecie ani o sobie w świecie. Na to musiałby — mówiąc po wittgensteinowsku — znaleźć punkt obserwacyjny poza światem i poza sobą, stać się irracjonalny. Toteż tylko z pozycji irracjonalnych, jak Pascal, który odrzucił rozum, możemy sądzić o racjonalizmie w jakiś znaczący sposób. Kocham racjonalne myślenie, bo wnosi w moje życie ład i harmonię. Dlaczego je kocham i dlaczego potrzebne mi są ład i harmonia? Nie wiem i racjonalizm mi nie powie. Ale może mi je dać, podobnie jak czas i piękno.



Młody krytyk krajowy, A. K. Waśkiewicz, w swojej recenzji mojego „Drzewa Sprzeczeki”, w *Twórczości* pisze m.in., że poezja Przybosia jest „odpowiedzią na świat”. Podejrzewam, że było to powiedziane przeciwstawnie neo-klasycznej poetyce Miłosza i Herberta i jak gdyby chodziło w tej „odpowiedzi” o coś wyższego rzędu niż zwykłe utylitarne działanie w świecie. Np. o jakiejś czyste, niesłużebne żadnej wulgarnej ludzkiej doczesności nadprzyrodzone percepcje i intymacje.

Tymczasem jeśli Przyboś, Peiper i ich szkoła mieli kiedykolwiek jaką odpowiedź na świat, to była ona odpowiedzią malców klaszczących w dłonie na widok pożaru i krzyczących: „Ach mama, cacy cacy!”. Na inną odpowiedź po prostu nie było ich stać, bo musieliby przedtem zaryzykować włożenie dłoni, albo dusz, w ogień, a na to — nawet gdyby byli więksi i mieli wrodzoną odwagę — mama nigdy by im nie pozwoliła. Gdyż była to surowa Pani, czysta i wielce egzaltowana, jedna z tych, które mawiały: „Życie? To mogą zrobić za nas nasi dziennikarze”. Nazywała się Sztuka.

Niemniej nie dziwię się czci z jaką się ich w pewnych kołach dalej otacza. Oprócz paru bardzo użytecznych stylistycznych chwytów, potajemnie importowanych zza granicy — jak przedtem chwytły skamandryckie — i podawanych biednym prowincjuszom za swój własny wynalazek, dali dzisiejszemu literatowi polskiemu tysiąc nowych sposobów zarabiania na chleb pisaniem tylko o pisaniu, tj. o niczym. Oto nareszcie można stać się kimś, cenionym i nawet bardzo ważnym kimś, bez żadnego intelektualnego i moralnego ryzyka, najwyżej śmieszności, przed którą, jak parasol przed deszczem, chroni ich zawsze ich własny brak, ale

to już absolutny brak poczucia humoru. Więc chyba też i prawdziwej inteligencji.

Jednak żal mi, że nie byli autentycznymi dziećmi, a tylko podrobionymi i podrabiającymi źle podpatrzoną gdzie indziej prawdziwą niewinność. Bo nawet jeśli kiedyś nosili w sobie jakiś cień niewinności własnej, to zabiły ją w nich świadomość przedsięwzięcia i programowa metoda, zniweczył ją ich sukces, tzw. artystyczny sukces, którym najpierw zmietli niedobitki Skamandra a potem upupili całe następne pokolenie epigonów. A ci już nawet nie poczuli się do obowiązku podtrzymywania mitu niewinności, aż, w końcu, całe to niebogie świadomo-artystyczne dzieciństwo sprowadziło się do słów, do lingwistycznych szarad, do wtórnego zdziecinienia w którym oprócz „absolutnej autonomii słowa”, „postulat estetyczny przeciwstawia się postulatowi etycznemu”, itd., itp.

Prawdziwe dziecko i autentyczna niewinność są nie do podrobienia i dlatego zawsze tak rzadkie, tak cenne, tak bez następców, jedyne w swoim rodzaju. Oni zaś tylko bawili się w dzieci i przy tym doskonale wiedzieli, że to tylko zabawa, co ich już całkowicie wydaje, ponieważ dziecko, prawdziwe dziecko, nic nie wie o zabawie poza słowem „zabawa”. Zabawa, to wynalazek dorosłych. Dla dziecka zaś wszystko jest poważnym zajęciem, dużo poważniejszym niż w kilka dekad później zdobywanie i naprawianie świata. Dziecko posługuje się słowem „zabawa” tak dokładnie samo jak dorośli słowami „twórczość”, „misja”, „karijera”. Wmów dziecku, że jego gmachy z klocków nie są przynajmniej tak ważne jak żelbetonowe konstrukcje dorosłych, a natychmiast porzuca zabawę. I ma rację. W najistotniejszym, biologicznym sensie, są przynajmniej tak ważne.

Odczuwam dotkliwy brak dziecka w literaturze polskiej, brak autentycznej, nieświadomej siebie niewinności i może dlatego tak mało mam do niej zaufania. Do literatury polskiej, nie niewinności. Tylko dziecku naprawdę się ufa, bo dziecko samo jest ufne i pozwala nam stać przed sobą takimi, jakimi naprawdę *sub specie aeternitatis* jesteśmy: czysti i niewinni w czystym i niewinnym świecie. Mędrcom wiecznie dojrzewającego typu, zawodowym podbijaczom naszej intelektualnej stawki, nahałnym misjonarzom i naprawiaczom dusz patrzącym spode łba na świat nie ufamy dla odwrotnej przyczyny: Kto zgodzi się stać oskarżony wraz z całym światem? I to zwykle za grzechy ponad jego możliwości i głowę?

Ale z wszystkiego już najmniej chyba ufamy tym, co nie poczują się do żadnej odpowiedzialności za świat, ponieważ odkryli „coś lepszego” niż świat i mają uniwersalną „odpowiedź na świat”, cokolwiek by się w świecie nie działo. Los ludzki

i prawda o świecie mało ich obchodzi. To dziedzina polityków, jurystów, naukowców, zawodowych moralistów, nawet dziennikarzy, ale nie ich. Poetami są, artystami języka odpowiedzialnymi tylko za swoją sztukę, tylko za słowo, i odpowiedzialnymi w dodatku wobec nikogo i niczego, prócz „wewnętrznych kryteriów” ich „sztuki”. Więc się też ich nie czyta. Średnio rozgarnięty, przeciętnie uczciwy i jako tako zdyscyplinowany umysł już nimi gardzi, najczęściej nie bez racji. Bo jeśli się w jakimś sensie nie chce odpowiadać za świat, to i nasza odpowiedzialność za słowo jest mało odpowiedzialna, godna wzruszenia ramion wszystkich tych, którzy muszą żyć w świecie.

Zdaję sobie sprawę, że kilkakrotnie postawiłem stopę na utartych — i pilnie zacieranych teraz — śladach krytyki socrealistycznej. Ale myślę, że uczyniłem to przecinając je w kierunku mojego rozróżnienia między sztuką prawdziwą, tj. sztuką dla zachowania gatunku, i sztuką-sztuczką dla zachowania tylko pewnego gatunku ludzi, o co przecieją ideologom socrealizmu jedynie chodziło. Teraz oni sami nieco zbystrzeli i nieźle pozacierali ślady, ukorzyli się przed św. Stanisławem Witkiewiczem w jego kapliczce-kozim rogu Piękna i Sztuki dla Sztuki, poznawszy nieocenioną wartość praktyczną dla nich, samozwańczo odpowiedzialnych za świat, „odpowiedzi na świat” Przybosiów, Peiperów, Brzękowskich i ich wyznawców — „odpowiedzi” arcymądrej życiowo, gdyż nie wtrącającej się w nieswoje sprawy polityki, historii, ekonomii, światopoglądu. A हुआ, wy poeci, artyści, do Sztuki i jej „wewnętrznych kryteriów”! Zupełnie jak chciał Witkiewicz, który już zwyciężył ponury socrealizm i jeszcze zwycięży sztukę.



Skończyłem właśnie czytanie eseju pt. „Wrzody u małąp kierowniczych” przedrukowanego z *Scientific American* w nowo wydanej biblii behawiorystów dla oświecenia studiującej młodzieży. Tematem eseju są wieloletnie badania przeprowadzone przez autora, Józefa V. Brady i jego kolegów w Instytucie Badań przy Walter Reed Hospital nad zachowaniem się małąp w warunkach stressowych i powstawaniem wrzodów. Małąpy zamykano w „krzesłach bezpieczeństwa” wewnątrz pleksiszkłanych pudełek z których wystawały im tylko głowy i nogi i poddawano je najrozmaitszym próbom stressowym.

Ponieważ małąpy zdawały się cierpieć psychicznie, nasi zaintrygowani badacze postanowili dowiedzieć się przy tej okazji coś nieoś o fizjologicznych reakcjach zwierząt. Już wstępne badania wykazały dramatyczny wzrost zawartości hormonów i ich krwi,

ale dalsze eksperymenty z 19-toma małąpami zostały niestety przerwane przez nieoczekiwany zgon wielu z nich. Na pierwszy rzut oka wydawało się naszym uczonym, że to prostu *bad luck*, ale sekcja zwłok rychło przekonała ich, że chodziło tutaj o coś bardziej poważnego niż tylko zły traf. Sporo zwierząt miało wrzody i inne ciężkie uszkodzenia żołądkowo-kiszkowe. Ponieważ jednak — zapewnia nas autor — patologiczne rezultaty tego rodzaju są rzadkie wśród laboratoryjnych małąp, a poprzednie doświadczenia na małąpach trzymanyh miesiącami w krzesłach bezpieczeństwa przekonały go iż samo ograniczenie ruchu nie powoduje jeszcze gastroenterycznych wrzodów, należało je wobec tego przypisać raczej procedurom warunkującym stress niż samemu stressowi.

Jedna z tych procedur polegała na zamknięciu dwu małąp w osobnych krzesłach bezpieczeństwa wewnątrz tych pleksiszkłanych pudełek i poddawaniu ich co 20 sekund elektrycznym szokom. Krótkim szokom, uspokaja nas autor. Małąpy obdarowano drążkami, których pociągnięcie w odstępach czasu krótszych niż 20 sekund eliminowało następny szok przez wyłączenie prądu. A raczej jedna z małąp, nazwana małąpą kierowniczą, miała taki drążek. Drugiej, nazwanej małąpą kontrolną, dano drążek „ślepy”, nie włączony w obwód elektryczny. Małąp kierownicza, dumna posiadaczka autentycznego drążka-kontaktu, prędko nauczyła się pociągać nim nie rzadziej niż 15 razy na minutę, niekiedy tylko zagapiając się albo tracąc koncentrację i otrzymując za to elektrycznego klapsa. A raczej, obie go otrzymywały, gdyż krzesła ich były na połączonym obwodzie. Małąp kontrolna szybko zorientowała się że jej drążek nie ma nic wspólnego z okazjnymi szokami i po paru dniach przestała się nim interesować. Ale oddajmy głos p. Brady:

„Po 23 dniach doświadczeń trwających po 6 godzin co 6 godzin (tj. 12 godzin na dobę), małąp kierownicza zmarła podczas jednej z doświadczalnych sesji. Naszym jedynym ostrzeżeniem było to, że poprzedniego dnia zwierzę wcale już nie chciało przyjmować pokarmu. Podczas trwania doświadczeń nie nie traciło na wadze i nawet przez pierwsze dwie godziny ostatniej sesji pociągało za drążek z nieustającą regularnością. Potem straciło przytomność i musieliśmy je *poświęcić* (podkreślenie moje). Autopsja wykazała sporą perforację w ścianie dwunastnicy, zwykłe miejsce owrzodzeń u ludzi. Mikroskopijna analiza wykazała ostre chroniczne zapalenie otoczne rany. Małąp kontrolna, całkowicie zdrowa i też poświęcona w parę godzin później, nie wykazała żadnych żołądkowo-kiszkowych nienormalności. Następny eksperyment, przeprowadzony według ściśle tej samej procedury, dał identyczne wyniki. Tym razem małąp kierownicza dostała

wrzodów żołądkowych i dwunastnicowych. Zwierzę kontrolne znowu okazało się niedotknięte wrzodami”.

Potem, ilustrując swój esej wykresami i statystycznymi danymi, autor ciągnie dalej:

„Całkiem rozsądne wydało nam się być założenie, że moglibyśmy przyspieszyć wrzody i uczynić ich pojawianie się jeszcze bardziej pewne przez spotęgowanie stressu na naszych zwierzętach i w tym celu przeznaczaliśmy kilkanaście małp na sesje trwające 18 godzin z 6-ciogodzinnymi przerwami. Po kilku tygodniach jedno z zwierząt zmarło, lecz na gruźlicę, wcale nie na wrzody. Reszta dalej pociągała za swoje drażki tydzień po tygodniu bez żadnego widocznego szwanku dla zdrowia. W końcu, gdy zaczęło wyglądać na to, że nasze małpy umrą ze starości zanim cokolwiek nastąpi, poświęciliśmy je, nie znajdując w nich żadnych, ale to żadnych żołądkowo-kiszczkowych nienormalności!”.

Następnie nasi dzielni badacze wybrali dalszą grupę i poddawali ją jeszcze bardziej surowym rygorom stressowym: 30 minut szoków, 30 minut przerwy, przez całą okrągłą dobę, całymi tygodniami, przy czym szoki elektryczne następowały teraz co 2 sekundy. I znowu jedno zwierzę umarło, ale tym razem na jakąś ogólną infekcję wirusową. Reszta małp, po tygodniach wściekłego pociągania za drażki, nie okazała — o zgrozo! — żadnych żołądkowo-kiszczkowych zmian. Czytaj: *poświęciliśmy* je wszystkie co do ostatniej sztuki żeby móc wam to zakomunikować i umieścić na naszych wykresach. W końcu genialni uczeni doszli do wniosku, że decydującym czynnikiem nie była ani częstotliwość, ani nawet stopień nasilenia stressu, a jedynie stosunek czasu stressowego do czasu odpoczynkowego. „Nieregularności” żołądkowo-kiszczkowe miały więcej do czynienia z końcową fazą czasu odpoczynkowego, czasu wyczekiwania zbliżającego się stressu, niż z stressem samym. Miały do czynienia, jak by powiedział mój sierżant, z „krytyczną fazą waszego trzęsienia portkami ze strachu kiedy to i mundur pohańbiony być może. Ale raz się ziemia zatrzęsie i pociągniecie za spust, to wam się i w kiszczkach ułoży”.

Sierżant wiedział co mówi, był fachowcem, ekspertem, behawiorystą starej, pruskiej szkoły, mistrzem uwarunkowanego refleksu. Wolno mu było nawet nas poświęcać, ale potem grzebać w naszych wnętrzościach, to nie. Dlatego jego odpowiedź, jakkolwiek empiryczna i oparta na ścisłej obserwacji jest naukowo niezadawalająca, wymagająca dalszych badań i eksperymentów w bardziej kontrolowanych warunkach, nieskrepowanych żadnym głupim tabu. A zresztą, gdzie jego wykresy czaso-stressowe, gdzie kwasoprodukcyjne dane? Ale p. Brady i jego koledzy wraz z kolegami kolegów też jeszcze nie skończyli. Ich odpowiedzi, po-

nieważ naukowe, nie mogą w żadnym wypadku być odpowiedziami, najwyżej obszarami prawdopodobieństwa, punktami wyjścia w inne pytania na które obiecują nam odpowiedzieć we właściwym czasie, jak tylko dostaną dalsze fundusze i więcej małp do *poświęcenia*. Pytań nie zabraknie im nigdy, ani pomysłów, prędzej małp, z czego nasi uczeni zdają sobie sprawę i dlatego obiecują zmodyfikować swoje procedury tak żeby wyszło oszczędniej.

Czytałem niedawno książkę o życiu węzów w podzwrotnikowych dżunglach afrykańskich. Nie cierpię gadów, ale potrzebna mi była taka lektura dla higieny duchowej i przewiania pojęć gdyż od lat już układa mi się w głowie to gnębiące równanie: *Homo sapiens = Homo vastans*. Im bardziej *sapiens*, tym nieuchronniej *vastans*. Nawet w naszej tzw. radosnej twórczości, jaka uczciwa radość, prócz może z perfekcji naszego samooszukiwania? Belsen i Buchenwald, Bach i Beethoven, to nie tak różne znów rzeczy. To ten sam dar abstrakcji. Myślałem: powrócę w ten ciemny, duszny, bezlitosny świat, pełen cichej zaszadki i wzajemnego pożerania się w wodzie, na ziemi, na drzewach; świat z którego wcale nie tak dawno wyrwałem na tylnych łapach na otwarte sawanny i do którego nie ważyłbym się fizycznie już więcej powracać, prócz jako superpredator, z pionem w dłoni. Myślałem: poczytam sobie o uścisku węża dusiciela, o jadzie strasznej mamby, tak silnym, że nie tylko uśmierca najgrubszą zwierzynę, ale gwałtownie przyspiesza proces rozkładu trupa, jak gdyby trawił go już jakiś niewidzialny żołądek. Oto najlepsza odtrutka, wierzyłem, na naiwny sentymentalizm w który tak łatwo dziś popadamy, mówiąc o przyrodzie i spustoszeniach jakich człowiek w niej dokonuje, i tym samym w sobie dokonuje. Przynajmniej wyobraźnię próbowałem powrócić w to śliskie, absolutne królestwo instynktu, nagi i bosi, uzbrojony jedynie w to co wynosimy z sobą na świat z matczynej łona i co nie należy do arsenału kultury. Ciarki mnie przeszły po skórze. Szczególnie — atawistyczne? — przerażenie ogarnęło mnie na myśl o naszych starszych, ewolucyjnie upośledzonych kuzynach z gatunku *pithecus*, tak brutalnie spychanych przez nas z otwartych, bezpieczniejszych przestrzeni z powrotem w ten straszliwy świat.

Ale dziś nie jestem pewny już czy boję się bardziej mamby, kobry i żmii wodnej od p. Brady i jego kolegów. Dużo mniej wydają mi się być niebezpieczne. Bo jeśli dobrze zrozumiałem esej tych panów, to donoszą nam, że dla własnej satysfakcji i w interesie swych karier uśmiercili kilkadziesiąt niewinnych zwierząt spośród których niejedno skonało w większych męczarniach niż od ukąszenia *natrix*. Ale najbardziej wydają mi się być niebez-

pieczni ci uczeni panowie nie dlatego, że uśmiercają te zwierzęta, ale dlatego, że bez najmniejszych skrupułów potrafią zgnoić jedno z najszlachetniejszych pojęć w przyrodzie, pojęcie poświęcenia, może nieznanie mambie, ale ludziom potrzebne do życia jak tlen. I małpom, i ptakom i wszystkim wyższym zwierzętom. Komu potrzebny jest ten eufemizm, to pleksiszkło, którym otoczyli się żebyśmy mogli widzieć, ale nie przeszkadzać? Nam nie — doskonale wiemy o co chodzi, najwyżej możemy nie chcieć w to wnikać. Więc im jest potrzebny i właśnie po to żeby zneutralizować nas i zarazem wimplikować w ich czyny, których, czują, nie obroniliby przed nami na żadnym polu bez słowa 'poświęcenie'. Bo to przecież dla wiedzy i dobra ludzkości, czy nie? Tylko wariat mógłby tu krzyknąć: „Hipokryci, degeneraci moralni, pseudonaukowcy!”, kiedy *właśnie* doskonałi naukowcy i *właśnie* dlatego że hipokryci i degeneraci moralni — nieskończenie lepsi naukowcy od tych dziewiętnastowiecznych romantyków, którzy sami sobie wstrzykiwali choroby, naiwnie kładli między akcesoria laboratoryjne swoje staroświeckie sumienie. Oj to byli jednak dyletanci, gdy się wszystko rozważy! I niezupełni w głowie. Jak niektórzy z nas, wariatów, pytaliby: Kogo wy macie prawo poświęcać prócz siebie i tych, którzy zgodzą się na to? I kto dał wam prawo nazywać wasz rzeźnicki interes „poświęcaniem”, mieszać nas w wasze potworności? Dla czystej intelektualnej zabawy mordujecie zdrowe zwierzęta, żeby zobaczyć co się im *nie* stało!

Gdyż o jaką wiedzę ściśle tu chodzi? Żeby jakiś hołota nauczył się z waszych eksperymentów sztuki przedłużania swojego życia kosztem zdrowia i życia drugiej, ofiarniejszej istoty? Spóźniona i niepotrzebna nauka. Wszystko co macie w tym eseju jest nam od dawna wiadome, nam milionom, którzy niekoniecznie w krzesłach, ale zawsze czyjegoś bezpieczeństwa, latami pociągali za bytowy drążek, pętały się po szpitalach chorzy na „nienormalności żołądkowo-kiszczkowe”, gruźlicę, ogólne wirusowe infekcje, znają każdy ułamek sekundy agonii w której wasze zwierzęta konały. Wystarczyło rozesać parę tysięcy kwestionariuszy między nas, małpy kierownicze, i nasze zdrowe, nonszalanckie małpy kontrolne. Ale trwałoby to za długo, opóźniło o lata zebranie wykresów i magicznych cyferek od których zależne są wasze posadki i „naukowe” karierki, dalsze stypendia, sława pierwszeństwa, honory.

Tych nie poświęćcie, choćby połowa ludzkości miała wyginąć od waszych eksperymentów w spudłowanym świecie z moralnego pleksiszkła. Byle was przy tym nie zabrakło, z notesami w rękę.

Jan DAROWSKI

Boska gorycz Aleksandra Sołżenicyna

(Przedmowa do polskiego wydania „Archipelagu GUŁag)

Już przy lekturze drugiej strony tej książki zapomniałem wszystko, co mi o niej było wiadome z drugiej, trzeciej czy czwartej ręki: z zapowiedzi wydawniczych oraz komentarzy, które poświęcone były jednak raczej sprawie Sołżenicyna niż samej książce; zapomniałem o komentarzach lewicy, prawicy i centrum, o wszelkich komentarzach.

Wszystko jest zapomniane, zarówno owe zaliczkowe peany jak i opluwanie na zapas, gdy tylko samemu zagłębi się w tę książkę, dosłyszysz prawdziwy głos autora, zwolna poznaje jej oryginalną instrumentację i budowę.

Oto nareszcie książka, którą — mam nadzieję — przeczytają wszyscy tak autorytatywnie wypowiadający się na omawiany w niej temat i zainteresowani nie tylko samą sprawą Sołżenicyna; mam też nadzieję, że przeczytali ją ci wszyscy w Związku Sowieckim, którzy się o niej publicznie wypowiadali: panowie Żukow, Czakovski i Simonow. Ciekawe byłoby wiedzieć, czy to służba bezpieczeństwa dostarczyła im do domów fotokopie rękopisu, w oparciu o które mogli nie tylko sformułować lecz także uzasadniać swoje druzgoczące oceny?

Choć z góry było wiadome jak wypadną te — oficjalne i półoficjalne — oceny, to jednak dopiero czytelnicy rosyjscy byłiby naprawdę w stanie stwierdzić, w oparciu o doświadczenia własne i swoich bliskich, czy Sołżenicyn we właściwy sposób odtworzył ten ponury okres historii sowieckiej; gdyż — jak wyraził się on sam w „Archipelagu GUŁag” — ten wyspiarski świat obozów karnych rozciągał się na cały kraj, werznął się w granice jego miast, zasmużył cieniem jego drogi, był obecny wszędzie i dziś jeszcze jest obecny wszędzie. Można go też nazwać niustanną obecnością minionego strachu.

Sołżenicyn dał swej książce podtytuł „Próba artystycznego przewyciężenia” i jeśli pod koniec lektury czytelnik zada sobie pytanie: czy próba ta się powiodła? — odpowiedź brzmić musi: tak, tak i jeszcze raz tak.

I to artystyczne przewyciężenie zawdzięczamy nie tylko gniewnemu moralście, lecz przede wszystkim pisarzowi, który dał nam — niemal jako produkt uboczny — mistrzowski przykład tego, co zwykle się nazywa literaturą faktu. W książce tej nic nie jest zmyślane. Materiał — straszliwy materiał! — był przecież do dyspozycji. Był do dyspozycji dla setek tysięcy, dla milionów innych. Z blisko trzydziestu milionów uczestników ostatniej wojny w Europie także ledwo trzydziestu lub czterdziestu zdołało napisać godne uwagi książki o wojnie, dokumentarne i fabularne, choć materiał — i to jaki materiał! — był do dyspozycji dla trzydziestu milionów, wystarczyło wyciągnąć rękę.

Nie ma więc większego znaczenia, jeśli materiał jest do dyspozycji, niejako pod ręką, i mało też znaczy, jeśli ktoś pilnie zbiera zeznania i dokumenty. I choćby te dokumenty „mówiły same za siebie”, to jednak muszą być one jeszcze „ubrane w słowa”, co właśnie uczynił Sołżenicyn w „Archipelagu GUŁag”. Wciąż jeszcze autor tworzy z materii, a nie materia tworzy autora.

W książce tej nic nie jest zmyślane, jest to po prostu niezwykły zbiór, ogromna kopalnia faktów. Tam zaś, gdzie Sołżenicyn skazany był na domysły lub przybliżone dane, wyraźnie to zaznacza, przy czym niektóre oceny liczbowe podane są z precyzją świadcząca, że autor jest przedstawicielem nauk ścisłych. To samo jednak nie byłoby jeszcze dostatecznym wytłumaczeniem, gdyż przedstawicieli nauk ścisłych jest wielu, niewielu jednak, którzy tak po mistrzowsku opanowali język i potrafią się nim posługiwać.

Te wstępne uwagi wydają mi się istotne, ktoś bowiem mógłby powiedzieć: to nie sztuka napisać tego rodzaju książkę, mając taki temat. Jednakże temat nie czyni jeszcze z książki dzieła artystycznego. „Archipelag GUŁag” nie jest zresztą pierwszym utworem na ten temat. Miał on wielu prekursorów. Nie tylko powieści i opowiadania samego Sołżenicyna. Była już „Marszruta jednego życia” Jewgenii Ginzburg, był „Pusty dom” Lidii Czukowskiej, opowiadania obozowe W. Szałamowa o osławionym paragrafie 58, było „Zmarnowane życie” Susanne Leonhardt, i wiele innych.

Żadnej z nich „Archipelag GUŁag” nie odbiera rangi i ważności. Sołżenicyn pragnął — i udało mu się — stworzyć pomnik bezimiennej masy tych, którzy nie potrafili posługiwać się językiem lub też zostali zmuszeni do zamilknięcia na zawsze nim jeszcze zdołali podnieść swój głos. Jest to kronika, której opublikowanie miało zwrócić uwagę światowej opinii publicznej i zapewnić ochronę tym, którzy wymienieni są w tej książce, którzy byli ofiarami GUŁagu i którzy jeszcze żyją; ma to być

„wspólnie przez nas wzniesiony pomnik dla wszystkich zamęczonych i zabitych”. Jakikolwiek względy wobec władz sowieckich czy też surowa bezwzględność wobec nich — obie postawy, jak również niezliczone warianty obu tych postaw — stają się w obliczu tej książki drugorzędne. Oskarżona jest tutaj nie sowiecka współczesność, lecz wciąż tłąca się w niej przeszłość.

„Archipelag GUŁag” to dokumentarne świadectwo terroru, który Sołżenicyn tak opisuje: „zostajesz aresztowany przez pielgrzymę, który na rany Chrystusa zaklinał cię, żebyś mu pozwolił przemocować pod twoim dachem; zostajesz aresztowany przez montera, który przyszedł sprawdzić licznik; aresztuje cię rowerzysta, który potrącił cię na ulicy; konduktor w pociągu, kierowca taksówki, urzędnik kasy oszczędności i bileter w kinie — każdy z nich aresztuje cię i dopiero po niewczasie możesz sobie obejrzeć głęboko schowaną legitymację koloru bordo”.

Trudno mi zakwalifikować tę książkę: żadna z będących do dyspozycji kategorii nie jest, moim zdaniem, dostatecznie trafna. Gdyby słowo „boski” nie było źle zrozumiane jako pochodzące ze słownika sybarytów (boskie jedzenie, boskie kobiety, boskie party, boskie ubrania i napoje), odważyłbym się mówić o „boskiej goryczy Sołżenicyna”. Humor? Tak — póki ma wymiary nadziei i dobroci, i nie jest mylony ze złośliwą urągliwością takiego Wilhelma Buscha, która zawsze niemal upadła.

W książce Sołżenicyna przywrócona została godność człowieka tym wszystkim, których sędziowie śledczy i dozorczy nazwali i przekształcili w „robactwo”, milionom więźniów politycznych, których w poniżających warunkach oddano na łaskę i niełaskę kryminalistów. Nie brak w niej też uwag o niszczących konsekwencjach *każdej* próby ideologicznego usprawiedliwienia zbrodni. Cytuje: „Tak więc inkwizytorzy powoływali się na chrześcijaństwo, zdobywcy na miłość ojczyzny, kolonizatorzy na cywilizację, hitlerowcy na rasę, jakobini (dawniejsi i późniejsi) na równość, braterstwo i szczęście przyszłych pokoleń”. Naturalnie, że tego rodzaju uwagi o zbrodniczych następstwach ideologicznych uzasadnień nie mogą być opublikowane w Moskwie. A może osławiony pan Aleksander Czakowski poświęci kiedyś temu tematu artykuł wstępny w swojej *Literaturnej Gazecie*?

Podobnie też — ponieważ Sołżenicyn nie tylko uważa to za swój obowiązek, ale musi być zgoła szalony, żeby zajmować się tego rodzaju potencjalnymi konfliktami — szczególną uwagę poświęcił on sprawie armii Własowa. Konflikt generała, którego armię w haniebny sposób zmarnowano, który sam siebie i innych ludzi co do rzeczywistej natury hitlerowców; i w Moskwie na pewno przeoczono lub też *chciano przeoczyć* najbardziej istotny fragment, który brzmi: „Los obszedł się z nimi jeszcze gorzej, stali się najbardziej nędznymi pionkami na szachownicy. W swej całej pyszałkowanej arogancji Niemcy pozwolili im jedynie umierać za *Trzecią Rzeszę*; myślenie o rosyjskiej niepodległości było im zakazane”.

Dzisiaj mówi się, że to wszystko nie istniało: nie było ani

konfliktów psychicznych, ani poplątanych losów ludzkich, i właśnie fakt, że Sołżenicyn przywrócił te pojęcia uznano w Moskwie za jego największą winę. Przykre jest — to prawda — porównanie MGB-Gestapo, które ja osobiście dostrzegłem w jednym tylko jedynym przypadku emigranta i prawosławnego kaznodziei A. I. Dywnicza. Cytuję ten wątpliwy fragment: „Wnioski Dywnicza wypadły na niekorzyść MGB: torturowano i tu i tam, jednak Gestapo mimo wszystko próbowało dojść prawdy, i kiedy oskarżenie upadło, wypuścili go. Dla MGB prawda nie miała znaczenia i raz aresztowanego nigdy już nie wypuszczają ze swoich szponów”.

Wydaje mi się, że Sołżenicyn nie miał tu na myśli Gestapo w ogóle, lecz tylko konkretny przypadek Dywnicza, który jednakowoż był emigrantem i prawosławnym kaznodzieją, i dlatego dla przesłuchujących go gestapowców zapewne nie całym, lecz tylko pół-podczłowiekiem. Możliwe, że Sołżenicyn w gniewie użył tu nieco zbyt ogólnego sformułowania, nie chodzi jednak o to, aby wyrównywać lub przyrównywać dwa narodowe konta.

Niedawno przeczytałem książkę H. G. Adlera „Der verwaltete Mensch. Studien über die Deportation der Juden aus Deutschland” (Człowiek administrowany. Studium o deportacji Żydów z Niemiec). Jest to wystarczający materiał informacyjny o metodach stosowanych przez Gestapo. Możliwe, że istniał ten lub ów, albo może nawet kilku urzędników Gestapo, którzy nie byli tak całkiem zli.

Gestapo jednak było dostatecznie złe i Sołżenicyn nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Tego rodzaju porównania to nie tylko sprawa drażliwa, są one w ogóle nie do przeprowadzenia, gdyż nie można dokonać bilansu, ani przyrównać wszelkich historycznych różnic: do czego dochodzi jeszcze różnica między torturowaniem z przyczyn ideologicznych i mordowaniem z pobudek rasistowskich. Na dodatek zrodzić się może straszliwa rywalizacja — zwłaszcza gdy rozgrywka toczy się między Rosjanami i Niemcami — polegająca na tym, że jeden mówi: „U nas było gorzej”, a drugi na to: „Nie, to u nas było gorzej”. Nie sądzę aby słuszne było tego rodzaju wyrównywanie kont.

Z całą pewnością można stwierdzić — a po lekturze „Archipelagu GUŁag” nikt nie będzie miał co do tego najmniejszej chyba wątpliwości — że Sołżenicyn nie bagatelizuje ani jednej ze zbrodni hitlerowskich. „Wspólne nasze wspomnienia — pisze on — to owe pełne zgnilizny bagno. Jeszcze dzisiaj, choć już bez gniewu i odrazy, zachowujemy w naszych przez dziesięciolecia, w ukojonych już sercach owe niezatarte wspomnienia: podłych, złośliwych, nikczemnych i — być może — zbłąkanych ludzi”.

Pozostajmy przy tym stwierdzeniu, które zresztą dotyczy obu grup, i owego pojednawczo-ludzkiego, w cudzysłów ujętego, „być może”, i zrezygnujmy z narodowych rywalizacji między Rosjanami i Niemcami, których celem miałyby być jedynie stwierdzenie, gdzie było gorzej. Bezsensowne jest wygrywanie jednego

okrucieństwa przeciw drugiemu, a dla dzisiaj torturowanych Chilijczyków, Hiszpanów, Greków czy Brazylijczyków owe niezmierzone morze dawnych okrucieństw niemieckich czy sowieckich nie stanowi najmniejszej nawet pociechy.

Jeśli pominiemy to jedno drobne nieporozumienie, polegające na tym, że Sołżenicyn zamiast „Gestapo” powinien był napisać „ten oto konkretny urzędnik Gestapo”, wówczas w całej liczącej ponad 600 stron książce nie znajduję ani jednego fałszywego tonu. Wyjątkowość tej książki polega także na jej kompozycji, intonacji i instrumentacji; na uogólniającym przedstawieniu rozwoju sowieckiego ustawodawstwa, orzecznictwa sądowego i więziennictwa, i na odpowiednim dobraniu materiałów dokumentacyjnych, które, będąc w większości *odtworzeniem* relacji, nie są cytowane w fałszywej dosłowności, lecz stanowią stylistyczne perełki, również w swojej skrótości.

Mocno w całości osadzone, oszczędnie użyte są małe, „czysto” literackie fragmenty: z miejsca gdzie więźniowie odbywali spacer, „widać było tylko komin, wartownika na wieży siódmego piętra i wreszcie ten nieszczęsny kawałek bożego nieba, któremu dane było rozciągać się nad Łubianką”. Lub o Stalinie: „Czyżby chodziło mu o zbawienie duszy? Na to było za wcześnie”. Albo: „Dzień rozdzielał więźniów, noc zbliżała ich do siebie”. Nawiązując do więziarskiego kuferka, na którym odkrywał stare ślady, pisze: „Rzeczy przewyższają nas w swym nigdy-nie-zapominaniu”. I właśnie musi dopiero przyjść ktoś, kto potrafi ujawnić i wyrazić słowami to, czego rzeczy nigdy nie zapominają! A pośród tego z boską goryczą prezentowanego wyliczania i opisywania najbardziej ohydnych wydarzeń, nagle cytowany jest wiersz Majakowskiego:

*„I ten kto nie śpiewa dziś razem z nami;
Ten jest
przeciwko
nam*

W toku lektury tej książki coraz jaśniejsze się staje, dlaczego Związek Sowiecki jest krajem, w którym najmniej pisze się o Watergate. W prasie sowieckiej Watergate staje się rozwodnioną zupką, a przecież ani dla zainteresowanych ani dla zaskoczonych tą historią, bynajmniej nie była ona obojętna; porównania zawsze jednak kuleją. Jeśli pan Żukow, komentator sowieckiej telewizji, zarzucił Sołżenicynowi, że ciągle grzebie tylko w przeszłości, to chciałbym przypomnieć panu Żukowowi pewnego hrabiego nazwiskiem Lew Tołstoj, który w pięćdziesiąt lat po bitwie pod Borodino „grzebał w przeszłości”, a to co z tego wyrosło nosi tytuł „Wojna i pokój”. I jeśli nieoceniony pan Czakowski mówi i pisze: „Czas pracuje dla nas” — to mogę jedynie mieć nadzieję, że ten cyniczny dowcip okaże się kłamliwy i że Sołżenicyn będzie miał rację, pisząc: „Z czasem prawda wyjdzie na jaw. Któż bowiem zdoła ją zatrzymać?”

Nie ulega wątpliwości, że w „Archipelagu GUŁag” podjęta została nie tylko destalinizacja, lecz także deleninizacja; obaj „ojczulkowie rewolucji” dostają po łapach i obu zaglądamy przez ramię. Po pierwszym rozdziale, w którym nakreślił ogólne ramy tematu, Sołżenicyn pokazuje rozwój sowieckiego ustawodawstwa, sądownictwa i więziennictwa — generalnie i na konkretnych przykładach, rozdział za rozdziałem, z cytowaniem niezliczonych faktów. Wszystko jest udokumentowane, a źródła — głównie Lenin i Krylenko, znacznie rzadziej Stalin — są podane precyzyjnie.

Kara śmierci zostaje zniesiona, znów wprowadzona, ponownie zniesiona i od nowa wprowadzona, przy czym nawet wtedy, gdy była oficjalnie zniesiona, stosowano ją nadal. Długa jest lista różnej kategorii „przestępców”: mamy więc Buriat-Mongołów, Kazachów, Tatarów, Bałtów, ale są też członkowie innych partii, ludzie kradnący kłosa na polach, „kobiety, które nie odcięły się od swych mężów”, są „nielegalni słuchacze radia”, „Afrykanie” (dobrowolcy z armii Rommla), jest „główny strumień Moskwičan”, są ci którzy odmawiali denuncjowania, recydywiści, „mściciele dzieci”, „pogranicznicy”, maksymaliści”, kułacy, „nie chcący uprzedzać faktów”, przynależni do „partii przemysłowej”, rzemieślnicy.

Są też rozważania o sztuce aresztowania: „Aresztowanie w dzień lub w nocy; w domu, na służbie, w biurze, przy pracy i w drodze do pracy na ulicy; pierwsze i powtórne; indywidualne i grupowe; aresztowania różnią się od siebie w zależności od stopnia pożądanego zaskoczenia i spodziewanej siły oporu (choć w dziesiątkach milionów przypadków nie stawiano żadnego oporu i żadnego się też nie spodziewano). Aresztowania różnią się w zależności od ważności zaplanowanej rewizji, konieczności (czy jej braku) spisywania skonfiskowanych przedmiotów, opieczutowania izby czy całego mieszkania — jakaś konieczność zawsze istnieje; w zależności od tego, czy na dalszym etapie trzeba będzie aresztować żonę w ślad za mężem a dzieci oddać do sierocińca, lub może zesłać do obozu resztę rodziny, w tym także dziadków starszków”.

Oczywiście, nie brak przy tym absurdów, które czasem prowadzą do śmieszności i może rzeczywiście jest to właśnie sowiecka specjalność: „Po aresztowaniu orientalisty Newskiego skonfiskowano tanguckie rękopisy, za których odcyfrowanie zmarły odznaczony został w dwadzieścia lat później nagrodą Lenina!” Na pewnej rejonowej konferencji partyjnej okręgu moskiewskiego wybuchły na sali „burzliwe przechodzące w owację oklaski” dla Stalina. Klaskano trzy, cztery, pięć minut — nikt nie ważył się przerwać, klaskano więc przez jedenaście (!) minut, aż obecny na sali dyrektor pewnej fabryki papieru w tej właśnie jedenastej minucie przestał klaskać ku powszechnej uldze wszystkich obecnych. Najbliższej nocy aresztowano go, dostał swoje dziesięć lat i napomnienie sędziego śledczego: „A na przyszłość nigdy nie przestawaj klaskać pierwszy”.

Oto historia słynnego biologa Timofiejewa-Rosowskiego (wykroczenie: odmowa powrotu do kraju), którego najbardziej gniewała woda na herbatę rozlewana na ziemi w Łubiance. „Uznał to za zaskakujący przykład zawodowego braku zainteresowania personelu więziennego (jak również i nas wszystkich, obojętnie czym kto się zajmował). Pomnożył dwadzieścia siedem lat istnienia Łubianki przez 730 rocznie, a potem przez sto jedenaście cel i długo jeszcze złościł się, że wygodniej było w dwóch milionach stu osiemdziesięciu tysiącach wypadków rozlewać wrzątek na ziemię i miejsce to również często wycierać do sucha, niż zaopatrzyć wiadra w dzióbki do nalewania”.

Jest tam także okrutny, choć jakże znamienny dowcip o szefie konwoju, który pyta więźnia, za co też dostał te swoje dwadzieścia pięć lat, a ten odpowiada: „za nic”, na co szef poucza go: „Nie kłam. *Za nic dostaje się tylko dziesiątkę*”. Nie zapomniana jest młoda socjalrewolucjonistka Jekaterina Olickaja, która w 1924 roku uważała, że *nie jest godna* więzienia — cóż bowiem wielkiego uczyniła dotąd dla Rosji?

Najbardziej gorzkie fragmenty książki poświęca Sołżenicyn wracającym do kraju lub też wydanym Związkowi Sowieckiemu jeńcom wojennym, bo też zaprawdę jest to szczególnie przekłety rozdział stosunków zachodnio-wschodnich. Sołżenicyn pisze: „Była wojna i byli zabici, ale nie mogło być niewoli! — przewrotne odkrycie. Oznacza ono: idź i giń, ale my zostaniemy przy życiu. Choćbyś jednak wrócił z niewoli o kulach, bez nogi ale z życiem (leningradczyk Iwanow, dowódca plutonu karabinów maszynowych w wojnie fińskiej, siedział później za to w Ustwymlągu) — będziemy cię sądzić”. A w innym miejscu: „Ponieważ żołnierz nie chciał umrzeć od kuli niemieckiej, winien po powrocie z niewoli poddać kark kuli sowieckiej. Innym — obca, naszym — rodzima kula. (Naiwnością jest zresztą przypuszczenie, że to dlatego. Nigdy żaden rząd nie składał się z moralistów. Ludzi nigdy się nie aresztuje i nie morduje za coś. Każe się ich aresztować i mordować, *żeby nie*. Oczywiście też, że wszyscy ci jeńcy wojenni zostali aresztowani *nie za zdradę kraju*, gdyż dla największego nawet durnia jasne było, że o zdradę kraju oskarżyć było można co najwyżej ludzi Własowa. Ci zaś wszyscy zostali aresztowani, *żeby nie* mogli wśród kumów wiejskich rozpowiadać na głos o Europie. O czym się nie wie, za tym dusza nie tęskni...)”.

I dalej: „Więźniowie Buchenwaldu, którzy przeżyli, *właśnie dlatego* zostali zamknięci do naszych obozów, bo przeżyli: jak mogłeś zostać przy życiu w obozie zagłady? Coś tu się nie zgadza!” Nic dziwnego, że także Churchill i Roosevelt oskarżeni byli o „notoryczną krótkowzroczność, a nawet głupotę”, i słusznie.

Pamiętam jak to siedząc w amerykańskim obozie jenieckim obserwowałem jak byłych rosyjskich jeńców wojennych siłą niemal ładowano na wagony kolejowe i auta ciężarowe, niektórzy krzyczeli i próbowali się opierać, bezskutecznie. Wówczas nie zdawaliśmy sobie sprawy z ohydy tych wydarzeń, dopiero póź-

niej zdołaliśmy je rozszyfrować. Wszyscy oni pojechali do *Archipelagu GUŁag*.

O, nie, w tej książce nie ma nienawiści do narodu rosyjskiego, ta książka jest prośbą i wezwaniem, żebyśmy my wszyscy wyzwolili się wreszcie z głęboko w nas tkwiącego wewnętrznego strachu. Choć poświęcona nieludzkim sprawom i wydarzeniom, jest to książka jak najbardziej ludzka i wyjątkowo pięknie napisana. Żeby zaś czytelnik nie wpadł w łzawe medytacje, od czasu do czasu wtrącają się rubaszno-bezpośrednie zwroty z żargonu więźniów — jak owe „odkorkowane kobiety”, „dziewięć gramów w kark” czy „ćwiartka”, co oznacza dwadzieścia pięć lat — ćwierć wieku życia.

Tabu milczenia zerwane zostało przez Sołżenicyna nie tylko odnośnie konfliktu generała Własowa, lecz także wewnętrznego konfliktu Bucharina, który po prostu nie chciał uwierzyć, a przecież *musiał* uwierzyć. Co za dramat — Stalin i Bucharin — i te pozostawione bez odpowiedzi listy do „drogiego Koli”! Szczyt ponurego absurdu. „Były czekista Aleksander Kałganow wspomina, że w Taszkencie dostał depezę: 'Poślij dwieście!' Akurat jednak wysłali jedną partię i wydawało się, że nie ma już nikogo do 'wzięcia'. Zdołali zebrać jeszcze tylko pięćdziesięciu ludzi. I nagle, olśnienie! Aresztowanych przez milicję *bytowników* (kryminalistów) przemianować na politycznych (z artykułu pięćdziesiątego ósmego)! Jak powiedziano, tak zrobiono. Ale stan wciąż jeszcze się nie zgadzał! Nagle telefon z milicji: co robić? Pośrodku miasta rozbili swoje namioty cyganie. No, nareszcie. Tabor został otoczony i wszyscy mężczyźni od siedemnastego do sześćdziesiątego roku życia aresztowani z § 58. Zameldować o wykonaniu planu!”

W książce tej są także sprawy „ludzkie” i ludzkie. Jak choćby historia dowódcy Sołżenicyna, który zgoła nieprzepisowo żegna się ze swym aresztowanym kapitanem, życząc mu szczęścia. Do tego cytat z Sołżenicyna: „Zadziwiająca: a więc *jednak* można pozostać człowiekiem — Trawkinowi nic nie zrobiono. Nie dawno spotkaliśmy się po przyjacielsku i właściwie dopiero teraz prawdziwie poznaliśmy. Jest generałem w stanie spoczynku, a poza tym rewidentem związku łowieckiego”.

Każdego mogło to trafić i każdego mogło *nie* trafić, samowola była totalna. Tak na przykład — rehabilitacja M. P. J. została odrzucona, „ale na pocieszenie przyznano mu *rentę honorową* za zasługi rewolucyjne! Cóż to za dziwota! mogą się u nas zdarzyć!”

Przerażające jest, kiedy odpowiedzialni intelektualiści jak Żukow, Czakovski i Simonow nie rozumieją sugestii zawartej w tej książce, lecz z całej mocy starają się podburzyć najbardziej ponurą z wszelkich potęg: gniew ludu. Tam gdzie każdy może być zaszufładowany i *nie być* zaszufładowany, musi przecież obowiązywać jakaś postawa moralna, która nakazuje jeśli już nie pomagać autorowi, to przynajmniej nie podburzać jeszcze przeciw niemu.

Dla mnie osobiście najbardziej zadziwiające jest to, że choć trudno sobie wyobrazić bardziej okrutny temat, to jednak książka nie jest ani beznadziejna ani pesymistyczna. Ani na chwilę nie wolno przy tym zapominać, że kończy się ona na roku 1956; i że od tego czasu minęło osiemnaście lat. Toteż jeśli kiedyś ukaże się „Archipelagu GUŁag” część III, to w napięciu szukać będziemy różnic między nią a częścią I i II, które oto oddane zostają w ręce czytelników.

Żadnemu rozsądnemu człowiekowi na świecie nie może zależeć na rewolucji w Związku Sowieckim, każdemu jednak na zmianach. I tam, gdzie bądź co bądź, istniały ułaskawienia, niechaj będzie także łaska. Łaska wobec samego siebie.

A ponieważ sam Sołżenicyn nie nawołuje do samosądu, jego książka dla nikogo, kto ją czyta nie jest do tego okazją. O tym również nie wolno zapominać, tak samo jak o fakcie, że kończy się ona na roku 1956. I jeszcze jeden mały fragment z ostatniej strony: „Młodzi, którzy siedzą w więzieniach z politycznych paragrafów kodeksu karnego, nigdy nie są przeciętną kraju, zawsze wyprzedzają o wiele swoich rówieśników”. Czy odnosi się to tylko do Związku Sowieckiego? Na to pytanie odpowiedzieć chyba mogą lepiej moi polscy czytelnicy, którym poświęcam ten wstęp.

Heinrich BÖLL

Zapowiedzi wydawnicze

MICHAŁ HELLER

ŚWIAT OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH
A LITERATURA SOWIECKA

w przekładzie Michała Kaniowskiego.



DEKLARACJA P R A W CZŁOWIEKA

w językach:

białoruskim, czeskim, litewskim, polskim,
rosyjskim, słowackim i ukraińskim.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 239 — WITOLD GOMBROWICZ

VARIA

Ostatni X-ty TOM „DZIEŁ ZEBRANYCH”
zawiera całą przedwojenną twórczość K. Gombrowicza
wraz z dużą powieścią pt. OPĘTANI

Str. 544.

Cena F. 50,00.



TOM 240 — WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

ZASYPIE WSZYSTKO, ZAWIEJE...

Powieść
o losach polskich Kresów pod koniec
2-giej wojny światowej

Str. 484.

Cena F. 45,00.



TOM 241 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY SIÓDMY

zawiera m.in. prace: W. Jędrzejewicz — *Sprawa „Wieczoru” (Józef Piłsudski a wojna japońsko-rosyjska 1904-1905)*; T. Zenczykowski — *Rozmowy Delegatura Rządu — PPR w 1943 roku w świetle faktów*; Jan M. Ciechanowski — *Notatki z rozmów z płk. dypl. J. Bokszczańinem i z płk. dypl. J. Rzepeckim*; Wiktor T. Drymmer — *Wspomnienia (Cz. I.)*; POLEMIKI i RECEZJE.

Str. 240.

Cena F. 20 (dol. 5,00)

« Poezja » i poezja

1.

Jest jedną z osobliwości polskich, że istotne zagadnienia rozwoju czy też ruchu umysłowego od wielu dziesiątków lat rozstrzygają się często w sferze poetyckiej: w poezji samej, a więc w wierszach i poematach oraz w dyskusjach na temat poezji. Tak stało się również i ostatnio, równoległe do wydarzeń politycznych; po wstrząsach roku 1968 i 1970 pojawiło się nowe pokolenie niezwykle utalentowanych pisarzy, pojawiły się programy poetyckie, pojawiły się wiersze i tomiki i zarazem ujawnił się głęboki ferment etyczny i estetyczny. Nazwiska Stanisława Barańczaka, Ryszarda Krynickiego, Jacka Bierezina, Juliana Kornhausera w ciągu lat trzech, bo od drugiej połowy 1970 roku stały się, wraz z kilkoma innymi jeszcze, nazwiskami ważnymi, bez których współczesnej literatury polskiej wyobrazić sobie nie sposób, i więcej: bez których nie sposób sobie wyobrazić postaw duchowych pokolenia, urodzonego około roku 1945.

Nie stawiam sobie tutaj zadania analizy historyczno-literackiej tego zjawiska, choć zdaję sobie z tego sprawę, że należy to uczynić rychło i to na gorąco, bo inaczej przedmiot się ucukruje. To, co mnie interesuje w tej chwili, to reakcja polityków kulturalnych PRL na tę najświeższą polską eksplozję poetycką. Reakcja ta zaś była osobliwie zawiła i zarazem przemysłna; wynikała z obawy, że część literatury może wymknąć się spod kontroli ideologicznej partii, ale również i z obawy przed stosowaniem drastycznych środków administracyjnych: w jednym i drugim wypadku bowiem ferment mógłby się rozszerzyć, albo pogłębić, w drugim zaś na pewno zejść w dziedzinę życia niepublicznego i nielegalnego, a przynajmniej nieoficjalnego.

Taktyka, jaką zastosowano, dała pewne wyniki, ale, jak to zazwyczaj bywa w starciu się polityki ze sztuką, wyniki te są nie-

pełne i niejednoznaczne, co znaczy, że obawy częściowo się ziściły, przynajmniej w tym rozumieniu, że jeszcze jedna określona grupa określonego pokolenia jest dla współpracy z władzami stracona. Być może zdawano sobie od początku z tego sprawę i wszelkie poczynania stawiały sobie cel minimalny: neutralizację tej grupy i społeczną jej izolację. Jeśli taki cel minimalny rzeczywiście istniał, to na razie powiedzieć się da, że nie został osiągnięty i że przeciwnie, wyszło coś odwrotnego do założeń.

2.

Być może myślę się w moich wnioskach, ale wszystko zdaje się wskazywać na to, że władze zastosowały wobec „pokolenia 70” metodę *agent provocateur*. W połowie roku 1972, to znaczy: po ukazaniu się ważnych tomików poetyckich i rozpraw teoretycznych Barańczaka, Krynickiego, Kornhausera, czy Zagajewskiego, zdecydowano się na założenie czasopisma, poświęconego problematyce młodej literatury; jest nim *Nowy Wyraz*. Polemika literacka i pozaliteracka, tocząca się do tej pory na łamach różnych periodyków (głównie w *Studencie*, w *Odrze* i w *Nurcie*), a także na rozmaitych zjazdach i konferencjach literackich (gwałtowna „Wiosna Kłodzka” w roku 1972) została przez stworzenie nowego pisma skanalizowana, innymi słowy: kontrola stała się dla cenzury i nie-cenzury wygodniejsza, zwłaszcza, że bardzo podstępnie obrano sobie naczelnego redaktora *Nowego Wyrazu*; jest nim Jan Witan, ongiś sekretarz redakcji miesięcznika *Poezja*, człowiek, który w roku 1968 odgrywał rolę, łagodnie powiedziawszy, mętną i każdy, obeznany ze stosunkami podwórka literackiego w Polsce, powinien być zrozumieć, że Witan otrzymał tzw. pracę zleconą. Pierwsze numery pisma były zresztą bardzo interesujące, co było zapewne zasługą nie redaktora, lecz współpracowników, choć praca zlecona redaktora polegała przypuszczalnie na tym, żeby dać się zjawisku ujawnić. I zjawisko się ujawniło, lecz ze znacznie większą siłą i ze znacznie większym oddźwiękiem społecznym, niż sobie tego życzyć mogły władze.

Ujawniło się ostatecznie już nie na łamach *Nowego Wyrazu*; tam się ujawnić do końca nie mogło, gdyż cenzura zaczęła się młodym coraz to mocniej dobierać do skóry. Mimo wszystko stało się to jednak publicznie, na słynnym już dzisiaj „meetingu poetów pokolenia 1970” w dniu 8 grudnia ubiegłego roku w sali ZLP w Warszawie. O imprezie tej, zorganizowanej przez Koło Młodych przy Związku Literatów, pisał już w kwietniowym numerze *Kultury* Adam Zawieja. Chciałbym tu tylko dodać, że kiedy w drugiej połowie grudnia ubiegłego roku dowiedziałem się o tym meetingu i jego społecznych, pozaliterackich następstwach, pomyślałem sobie od razu, że ci młodzi ludzie, czując coraz bardziej zaciskającą się pętlę cenzury, postanowili głośno dać znać o sobie, wiedząc, że na dobrych lat parę robią to po raz ostatni;

i pomyślałem sobie także, iż niebawem dostaną za swoje. Tak właśnie się stało.

3.

Domyślać się należy — pisał o tym Zawieja — że w górnych rejonach partyjnej oligarchii powstało zamieszanie, mające być może nawet i znamiona lekkiego popłochu: magiczna wiara w siłę słowa poetyckiego u tych dziwnych panów od tchórzliwej polityki absolutnej do tej pory się nie załamała; i domyślać się można, że w tym malutkim popłochu i większym nieco zamieszaniu powzięto decyzję, żeby się tej „nowej fali” w bardziej energicznej niż dotychczas formie przeciwstawić. Tak też i uczyniono, z biciem w kotły i dęciem w surmy, na łamach miesięcznika *Poezja*; poświęcono temu zagadnieniu cały numer styczniowy, a także część numeru lutowego.

Jan Witan, odkomenderowany do *Nowego Wyrazu*, spełnił już widać swoje zadanie i, aby rozpocząć przykazane mu gnojenie „pokolenia 70”, wrócił jako rozmiękczony myśliciel od swej macierzystej *Poezji*, pod opiekuńcze skrzydła samego Bohdana Drozdowskiego, postaci komicznej, ale mającej poparcie, gdzie trzeba; wróciwszy zaś, troszkę się zdemaskował, pisząc w artykule wstępnym pt. „Nie wierzę w poezję, która jest tylko kontestacją”:

„Należę do tych, którzy dali się do pewnego stopnia i do pewnego momentu nabrać na tę wiarę (w kontestację — W.W.), dali się uwieść przekonaniu, będącym raczej uroszczeniem, o tej 'jedynie możliwej poezji'. Ślady tej mojej wiary da się odnaleźć w kryteriach doboru niektórych tekstów poetyckich drukowanych w miesięczniku literackim młodych *Nowy Wyraz*”.

I jeśli Witan w dalszym ciągu — chcący czy niechcący — powiada: „Przestałem wierzyć kontestatorom podczas 'meetingu poetów pokolenia 70'”, to widomym się staje, kto jest jego mocodawcą; kto nim był w roku 1968, w roku 1972 i w roku 1974. Zdanie zaś, wydrukowane w tym samym tekście nieco niżej: „Śmiać się więc można nawet z siebie. Tylko niech śmiech nie obraża krwi” — otóż to zdanie, na mocy skojarzeń, jakie budzić może w ludziach, mających pamięć historii stulecia, w którym żyją, pozwala z niejakim przybliżeniem określić postawę albo zleceniodawcy, albo zleceniobiorcy. Zresztą postawa ta, w różny nieco sposób, ujawnia się także i w innych tekstach miesięcznika *Poezja*.

Reasumując sprawę Witana: nie jest od rzeczy powiedzieć sobie, że zlecenie mu wydane polegało prawdopodobnie na dwóch zadaniach: 1) wejścia w środowisko „pokolenia 1970” i obserwacja jego od środka; oraz 2) unieszkodliwienia go w stosownej chwili. Zadania te zostały wykonane; czy *summa cum laude*, to inna sprawa.

4.

Artykuł Witana nosi jeszcze pozory poprawności polemicznej. Ale ta poprawność polemiczna kończy się osobliwie na łamach *Poezji* tam, gdzie przedmiotem napaści jest czołowy poeta i teoretyk „nowej fali”, Stanisław Barańczak. Barańczakowi poświęcono aż trzy artykuły, dwa w numerze styczniowym i jeden w numerze lutowym. I tak:

1) Tadeusz Mocarski w artykule „Między Karpowiczem a Karpińskim” stara się wykazać, że Barańczak: a) nie jest poetą nieufnym, lecz poetą sentymentalnym wedle wzorów, danych przez Franciszka Karpińskiego i Franciszka Zabłockiego; b) że nie jest oryginalny, ponieważ z Karpińskiego i Zabłockiego zrzuca, a nadto jeszcze plagiuje Gajcego; c) że jest organizatorem kliki, postępującej w myśl zasady: „popierajmy się wzajemnie i piszmy o sobie dobrze”. Cały ten artykuł jest nie tylko inwektywą i paszkwilem; jest również obelżywy, wołę lżenia czuć w każdym nieomal zdaniu.

2) Bohdan Urbankowski wydrukował artykuł „Bunt czy schizofrenia”, gdzie deklaruje się jako kontynuator Wyspiańskiego i Brzozowskiego oraz okupacyjnego zgrupowania literackiego „Sztuka i Naród”. I tu wyłazi sztydło z worka; cytuję:

„Podobnie (jak w przypadku Wyspiańskiego i Brzozowskiego — W.W.) autentyczne były ataki „Sztuki i Narodu” na Skamandra i Awangardę, na egotyzm i 'grzebanie w bebechach' tzw. psychologów i na formalizm Witkacego. Bo poci podziemnego U.W. przemawiali już w imieniu nowych wartości, w imieniu nowej kultury zjednoczonych, słowiańskich państw”.

Szydło, które wylazło, nazywa się panslawizmem, panslawizm odgrywał zaś w tradycji politycznej Polski i nie tylko Polski wielkoczołową rolę. Z pozycji tego to panslawizmu wiedzie Urbankowski swoją polemikę przeciwko krakowskiej grupie „Teraz”, przeciwko poetom zgrupowanym wokół *Nowego Wyrazu* i przeciwko niedobremu, jak sądzi, mitowi, powstałemu wokół Rafała Wojaczka, który przed pewnym czasem popełnił samobójstwo, aby w końcu przejść do generalnego ataku na tzw. poezję lingwistyczną:

„Oczywiście, ambicje lingwistyki są większe (niż przed wojną Słonimskiego i Minkiewicza — W.W.), ona chce być czymś więcej niż poezją, chce być metodą, rodzajem podejścia do świata — ale właśnie jako forma jest na to zbyt tchórzliwa. A nawet odważny żołnierz, gdy ma tchórzliwy karabin...”.

Przy okazji zostaje wymierzony boczny cios w Kołakowskiego:

„Lingwistyka była oficjalną awangardą lat 1968-1970. Subiektywnie na pewno zbuntowana — obiektywnie była literaturą dworską, tyle że nie na prawach kapłana, lecz na prawach błazna. A błazen, nawet gdy serio bierze się za jakieś idee — mimo woli je ośmiesza i odstręcza od nich. Bywa więc bardziej przydatny”.

Po czym następuje niewybredny atak na Barańczaka; argumentacja tej napaści jest tak mętna i zawiła, że nie warto jej tu powtarzać.

3) Dotychczas dowiedzieliśmy się więc, że Barańczak jest plagiator, tchórzem i błaznem, a nadto wierszopisem dworskim. W lutowym numerze *Poezji* Stanisław Piskor (*quid est?*) wydrukował artykuł „Eklektyzm jako nowatorstwo”. Przedmiotem napaści jest tu głośna książka Barańczaka „Nieufni i zadufani”, gdzie autor wyłożył swoją teorię „romantyzmu dialektycznego”. Wywody Piskora dają się streścić następująco: a) Awangarda Krakowska to „opłotki partykularnych układów poetyckich” — chodzi prawdopodobnie o to, że Przybós, a zwłaszcza Peiper inspirowali twórczość poetów-lingwistów; b) cytat: „Jest rzeczą symptomatyczną, że zgodność i wspólnotę pomiędzy stanowiskami poszczególnych poetów odnalazł Barańczak na poziomie szkolnej analizy tekstów, bez próby ich głębszej, estetycznej interpretacji”; i c) znowu cytat: „Wydaje się, że 'Nieufni i zadufani' — to książka nie tylko charakterystyczna dla pewnego kręgu poetów, jest również papierkiem lakmusowym marginesów naszego życia literackiego. Wystarczy porównać jej wartość z opiniami o niej”.

Tutaj chodzi już o dyskwalifikację teorii: szkolarstwo, opłotki, zaściankowość, marginesy; prawdę powiedziawszy, nie wiadomo, po co tyle wysiłku i kosztów drukarskich, skoro tylko o to chodzi.

5.

Oczywiście, że nie tylko o to chodzi. Te dwa numery *Poezji*, spreparowane przez Drozdowskiego i Witana, mają dwie rzeczy na celu: po pierwsze, oficjalne niejako wykończenie grupy ludzi niewygodnych i po drugie, przeciwstawienie im grupy ludzi wygodnych dla zarządców kultury. Ciekawe, kim są ci ludzie wygodni?

Oprócz artykułów które wymieniłem, jest tam jeden jeszcze artykuł, napisany przez Jerzego Tomaszkiwicza „Casus 'Stajnia' albo o poezji nieoficjalnej”. Sam tytuł już powiada, że oprócz poezji „oficjalnej”, którą była do niedawna „nowa fala”, istnieje nie dopuszczana rzekomo przez Barańczaka et co. do głosu poezja „nieoficjalna”. Jest tam mowa m.in. o manifestie „O współczesną poezję narodową”, gdzie można przeczytać: „W naszej historii nigdy nie było wielkiej poezji, która nie byłaby narodową [...]”. Czas już najwyższy skończyć z kosmopolitycznym bełkotem”. *Sapienti sat.* Znamienna jest wszakże w tym kontekście okoliczność, że Tomaszkiwicz jest wraz z Urbankowskim założycielem grupy poetyckiej pod nazwą Konfederacja Nowego Romantyzmu, pomoc zaś organizacyjną w tym przedsięwzięciu otrzymali swego czasu za pośrednictwem wymienionego już Mocarskiego. Otóż: nazwa Konfederacja Nowego Romantyzmu jest niewątpliwie nawiązaniem do młodzieżowego ugrupowania politycznego w okupowanej Warszawie, a mianowicie do tzw. Konfederacji Narodu,

z którą związana była grupa literacka Sztuka i Naród; w tych to kręgach powstała pieśń bojowa, w której powiedziano, że „imperium gdy powstanie, to tylko z naszej krwi”. Teraz związki stają się jasne, a także staje się jasne, jacy ludzie są dla zarządców kultury w PRL wygodni.

Wygodne są, jakby powiedział Stanisław Stempowski, *animae naturaliter endecianae*, a to, ponieważ dają się łatwo użyć przeciwko ludziom niewygodnym, szczególnie wówczas, jeśli są to umysłowości o poglądach uniwersalnych, rozumiejących szersze związki cywilizacyjne i kulturowe oraz miejsce Polski w układach powszechniejszych, niż plemienne. Nie pierwszy to zresztą raz wyższe czynniki partyjne decydują się na podobną taktykę: przez wiele lat w okresie rządostwa ideologicznego Zenona Kliszki odwoływano się do magii plemiennej oraz zawierano sojusze z kręgami endekoidalnymi i więcej niż endekoidalnymi, godząc się na wszelkie ich szowinizmy z antysemityzmem włącznie (zresztą: w artykule Urbankowskiego te antysemickie akcenty dadzą się odczytać). Ponadto wygoda z takich sprzymierzeńców jest jeszcze ta, że kiedy wykonają zleconą im pracę, można się ich, skoro zajdzie po temu potrzeba, powołać na nieprześcignioną doktrynę doktryn, pozbyć chyłkiem (takie rzeczy robi się w takich przypadkach chyłkiem właśnie), albo odstawić na boczny tor.

Powiedzieć wszelako należy, że Drozdowski czy Witan nie są rękodajnymi zarządców kultury w PRL; są oni zaledwie rękodajnymi rękodajnych i w związku z tym wypada kilka słów powiedzieć o złowrogię roli jednego z rękodajnych bezpośrednich: jest nim poeta Zbigniew Bieńkowski, a powiadam: poeta, bo o tym na nieszczęście wątpić nie można. Tak samo jak nie można mu odmówić, znowu na nieszczęście, niejakiej wrażliwości i osobliwej bystrości sądów; używa zaś tych swoich darów w nader przemyślny sposób, mianowicie dla celów sygnalizacji: lubi bowiem — i to zawczasu, i drukując na domiar akurat w porę — sygnalizować zjawiska, które z tych czy innych względów mogą w niedalekiej przyszłości stać się dla zwierzchności niedogodne; potem zaś, w owej niedalekiej przyszłości, następuje swoiste sprzężenie, gdzie nie wiadomo, czy to zwierzchność poszła śladem Bieńkowskiego, czy też Bieńkowski trafnie przewidział przyszłe poczynania zwierzchności. Jest oczywiście między Bieńkowskim a zwierzchnością pewna różnica: Bieńkowski jest subtelny i uduchowiony, argumenty jego są zawsze teoretyczno-literackie, nigdy się on nie wdaje w polityczne brutalności, pozostawia je mniej z natury subtelnym politykom, którzy z kolei czynią swoje, nierzadko po prostaku, przy pomocy zakazów lub rządziej nakazów, co już nie wymaga argumentacji, ponieważ zlecenia wystarczają.

Bieńkowski, zastępca redaktora naczelnego miesięcznika *Poezja* jest, w przeciwnieństwie do redaktora naczelnego, swego więc przełożonego, Wielkim Rękodajnym; tamten jest zaledwie małym.

Co się tyczy faktów: Zbigniew Bieńkowski zasygnalizował już w roku 1972, czyli wówczas właśnie, kiedy małemu rękodajnemu

Witanowi zlecono założenie *Nowego Wyrazu*, że poezja lingwistów (zapropomował on wówczas drwiący termin: „lingwistycyzm”) musi być z samej natury swojej niewartościowa; argumentował, jak zwykle, poetologistycznie.

6.

Zamiast zakończenia przepisuję tutaj przedmowę Stanisława Barańczaka do tomiku „Jednym tchem” pt. „Parę przypuszczeń na temat poezji współczesnej”:

„1) Powinna być nieufnością.

2) Powinna być nieufnością, bo tylko to usprawiedliwia dzisiaj jej istnienie. Im szerszy zasięg ma jakiś środek wypowiedzi, tym usilniej stara się odzwyczaić nas od myślenia, wpoić nam te czy inne prawdy absolutne, podporządkować nas określonym systemom wartości, zmusić nas do takich czy innych zachowań. Poezja — jak dobrze wszystkim wiadomo — ma dziś zasięg wąski. Ale w tym może leżeć szansa jej odrodzenia, jej „kapitał zakładowy”, od którego można wyjść. Jest szansa, aby stworzyć z poezji pierwszy przyczółek walki o niezafałszowany obraz świata, w którym żyjemy: właśnie dlatego, że poezja zwraca się nie do biernego odbiorcy rozwalonego przed telewizorem lub przerzucającego stronicę gazet, ale do człowieka, który widać pragnie myśleć, skoro w ogóle bierze książkę poetycką do ręki.

3) Ale nie tylko dlatego. Jest też i ten powód, że poezja jest nie anonimowym głosem Wielkich Manipulatorów, ale głosem jednostki. Myślenie indywidualne, to myślenie nieufne, krytyczne wobec ubiorowych wiar, sentymentów i hysterii. Wrodzony indywidualizm tego rodzaju literackiego, przez poetów różnych epok tłumiony lub podsycany na nowo, dzisiaj staje się dla poezji jeszcze jedną szansą stosunku do świata.

4) I to zresztą nie wszystko. Przecież wrodzoną (co nie znaczy, że nie dającą się kształtować lub zaniedbywać) cechą poezji trzeba też nazwać jej skłonność do konkretności. Poezja zawsze sprawdza, przymierza pobożne życzenia do stanu faktycznego. „Jak to sobie konkretnie wyobrażacie?” — to pytanie, jakie właśnie dzisiaj szczególnie często powinien zadawać poeta, przysłuchujący się nieufnie ogólnikowym hasłom, pojemnym mitom, wymijającym trudności i zacierającym konflikty opisom świata. Powinien sprawdzać to wszystko na poziom jednostkowego przypadku i na tym pojedynczym przykładzie sprawdzać, co się ostanie z pięknie brzmiących ogólników.

5) Więc powinna być nieufnością. Krytycyzmem. Demaskacją. Powinna być tym wszystkim aż do chwili, gdy z tej Ziemi zniknie ostatnie kłamstwo, ostatnia demagogia i ostatni akt przemocy. Nie sądzę, aby to właśnie poezja miała do tego doprowadzić (jeśli zresztą cokolwiek jest w stanie do tego doprowadzić). Ale wierzę, że poezja może się do tego przyczynić: może nau-

czyć człowieka myśleć o świecie w kategoriach racjonalnej nieufności wobec wszystkiego, co zagraża mu pod postacią kłamstwa, demagogii i przemocy. Stanie się tak wtedy, gdy poezja, o której myślę, będzie nieufna w pełni, konsekwentnie, gdy będzie zdzierać maski pozorów nie tylko z zewnętrznego świata, ale i z samej siebie. Gdy będzie zarówno w tym, co ją otacza, jak i w tym, co tkwi wewnątrz niej, ukazywać skłócenie, niejednolitość i wieloznaczność czającą się pod powierzchnią harmonii, zgody i oczywistości.

6) Od tego musi zacząć. Od nieufności, która oczyści drogę temu, czego wszyscy potrzebujemy. Mam na myśli — to nic nowego, zgoda, ale już niemal zapomnieliśmy, na czym nam powinno zależeć — mam na myśli, oczywiście, prawdę. Lipiec 1970”.

Dodać tylko mogę: mocodawcom miesięcznika *Poezja* poezja taka wydaje się widać niestosowna.

Witold WIRPSZA

Jedna z najstarszych księgarni polskich w Londynie

CRACOVIA BOOK COMPANY LTD.,

po śmierci właściciela dr. J. Szarfa, została przeorganizowana i pod częściowo zmienioną nazwą

CRACOVIA DISTRIBUTION SERVICES

pracuje nadal pod tym samym kierownictwem lecz zmienionym adresem:

68, THE AVENUE, LONDON, W.13.

Tel.: 998 8355.

Wiersze

Krzysztof MROZOWSKI

UWAGA! UWAGA! BIORĄ SIĘ ZA NICH!

OBYWATELU ERCH co mam zrobić z kartą praw człowieka
[preparowanego?

jego nosze i prawą dłoń umieściłem w gablocie
za dużo światła kupić zasłony
co z tułowiem co z głową koniecznie twarz oświetlić
kartę praw zastąpić kartą chorobową
to obudzi opinie publiczną!
uśpić i przesiedlić, sen to prawomocne przesiedlenie
miał żonę? miał.
zapłodnić byle kim.
dzieci nie było.
świadków nie będzie
jeszcze nie wiemy wszystkiego od pozostałych przy przekonaniach

a co oni sądzą o tym?

kto to wie?

ktoś musi! tak, mamy tu relację dwóch którym się wydaje
że są silni — dlatego że jest ich dwóch — tak im się wydaje

co robią?

piszą. wykupić ich jeszcze dziś! po każdej cenie! to konieczne!

krytycznego dnia gdzie się znajdowali?

odpowiedzieli dokładnie to samo...

długo staliśmy razem obserwując NÓŻ wschodzący nad miastem
cisza skandowana ulicami przyspieszała popyt i sprzedaż —

at gadanie co robił wyższy?

z czerwoną frazą zawiązaną pod szyją stał wyprostowany i przysłuchiwał się pieśni gardłowych głosów tak twierdzi szybkość zrodzona z krzyku to znany motyw rozedrgamy horyzont ich milczenia jeden z nich twierdzi że jest HUMANISTA gdzie? — macie obrys jego postaci — może być postawa okreśmy to bliżej. Więc?

Wzrost 180 centymetrów, ciężar 72 kilogramy
oczy niebieskie włosy blond. Numer
dowodu osobistego BCW 697256. Numer książeczki
wojskowej stopień znaki szczególne. W tym samym czasie:
Henryk je zupę w barze mlecznym Średnicowym — dosyć —
[wystarczy!]

znaki szczególne oraz odbitki NOŻA wschodzącego nad miastem
w dniu krytycznym dołączyć do akt...:

gdzieś schowane słońce recytuje coś gardłowym głosem
tych naszych schorowanych marzycieli nakładających się.

Wysłać człowieka z miasta GRUX niech ustali wszystkie
możliwości ich koniecznej śmierci.

WYCINACZE MIĘSA Z MIASTA GRUX

W mieście GRUX rok rocznie odbywały się zawody rzeźników.
W dniu poprzedzającym zawody spośród kilkudziesięciu wycinaczy
mięsa wyłaniano najlepszych, mieli oni walczyć o prawo najszyb-
szego cięcia.

Zawód to bardzo trudny powszechnie szanowany: wycinacz mięsa
do tego potrzebny był komplet dobrych noży.

Sz szczególnie zasłynął ZABUK po zwycięstwie w zeszłym roku
powiedział przy stole długości kilkunastu metrów:

MOJA KARIERA TKWI W GŁĘBI MEGO FACHU I ŻAD-
NEJ INNEJ NIE POTRZEBUJĘ.

Przed jego domem zawsze suszyły się noże.
Każda pogoda była dla niego dobra.

Mięso całego świata wycina się ręcznie, dlatego każdy cywilizo-
wany kraj można rozpoznać po dwóch specjalizacjach —

UTRZYMYWANIE SŁUŻBY METEOREOLOGICZNEJ ORAZ SŁUŻBY WYCINACZY MIĘSA

warunki takiego konkursu są bardzo trudne —
trzeba wyciąć w ciągu godziny 370 kilogramów mięsa wołowego.

Postanowiłem wziąć tym razem udział, z dwoma walizkami bardzo
dobrych noży wysiadłem na dworcu miejskim, numerowi cywili-
zacji załadowali moje uzdolnienia na wózek bagażowy, po czym
lekkopopychany gorączkową atmosferą dworca witającego po-
dróżnych, zapewne wielu wycinaczy mięsa, którzy przybyli w tym
samym celu, popchnięty przez kogoś prawie potoczyłem się ku
wyjściu.

Bardzo ładnie wokoło i jak tu zadbano; każdy szczegół pociągnięty
olejną farbą, szpaler noży po ściętych kwiatach pochłaniał idących.

ANKIETA

Jestem szanowanym obywatelem miasta GRUX.
Zarządzam większością wylotów i dopowiadam
cztery razy dziennie społecznie albo kablem.
GRUPA TRANZYSTOROWYCH PISARZY POPROSIŁA
MNIE

O! GŁOS!

oczywiście głosu rzadko używam ale tym razem
swój głos oddaję na dziennik ustaw
jest to poemat

o jednorodnych środkach obrazowania.

AUTOREM JEST KOLE

a więc godny uznany poeta.

Czuje się tu mocne podstawy tradycyjnej motywacji
oraz kontynuację szeroko pojętej liryki ustawodawczej,
jego ciągle profilowany kształt jest permanentną rewolucją.
Jest to utwór karny artystycznie:

- 1) kłamra interpunkcyjna unosi się nad całością przestrzeni humanizmu posegregowanego ważnością kreacjonizmu zależności.
- 2) to głos wiodący a twardy to głos nie uznający kompromisów i jedyny to utwór nie zapominający o żadnym z nas.
- 3) brak neologizmów negatywnych
- 4) wartka akcja
- 5) dobrze oznakowana łączność rozwoju wydarzeń
- 6) wyważone liczby porządkowe dobrze pojęte we wspólnym interesie.

To wszystko dobrze świadczy o pracy intelektualnej nad tekstem. Jedynym konkurentem jest tu konstytucja miasta GRUX, ale ograniczony rygiem ankiety rezygnuję z możliwości wysunięcia dwóch kandydatów.

łączę wyrazy szacunku

OBYWATEL MIASTA GRUX

ERCH.

p.s.

konstytucja miasta GRUX mieszka na SŁONOWCU i nie można się do niej dodzwonić.

NIE DOPUSZCZAJ MYŚLI ŻE JESTEŚ ZNOWU POKONANY

wojna! wojna!: zarepetowali głosem karabinierzy
czerwone wstążki zakwitły na ciałach postrzępionych koszul
ktoś zakaszał! mamusi w kościele pan jesus wypluł język
brać go!

nie mam rąk ani sił odmawiał głos cywilny
żółte ptaki gazu lądowały w kałużach
drewniany chłopiec puszczał okręcik krwią
OBYWATELU ERCH MY do was czy jesteście odpowiedzialni
[czy nie

szybkimi łopatami rozkopał się dół
gregorze samons co sądzisz o tym ani jednego pokoju nawet
nawet nie dobrze wiadomo kto dokonał przemiany na oczach

kilku tysięcy niewidomych bo niewidzialność wizji pod gołym
[niebem

by nie tracić czasu przejdźmy się
jabłko wpadło do głowy przejrzałego trupa
a do ciebie rzucali najbliżsi — to jeszcze można znieść
tu niecny przyodziewek przekonani
nie ma już kościołów dla ciebie
brudne kadzidło obłoku niech wystarczy
kto tyle razy zginął w jednym ciele spotwarzony niech patrzy
na krzyk europejskich równin pokonanych blaskiem
bez przerwy giniemy
operacja GIPS
tylko powoli w rozumieniu bliźnich!
kwiaty polne obsypane ciałami
kwiaty rodne mężczyzn popstrzone łuskami
kto to pozbiera kiedy wyrośnie mój syn z twarzą pooraną
drutem wolności tego nikt nie odegnie za niego kiedy powie
kocham! wszyscy z drogi ja teraz kocham — no jazda
a jeżeli to będzie wolny kraj i wbiją mu drut ot z gorliwości
i nie będzie nawet wojny to komu sprzyja czas umierania?
bo bez przerwy giniemy a podczas pokoju najwyższe są nogi
kobiet jakby mniej kucwały
to jedyne gdzie przechowasz się na chwilę trafiając impetem
że nie nazwę miejsca bo po co ale ta chwila
spełnienia dodaje wolności posmaku który przedawnia kłamstwo!
dawniej bronią — teraz sloganem nas gonią
dawniej wagonami bydłecymi — teraz samochodami luksusowymi
spędzają nas albo ciebie jednak tylko jego po prostu większość
ech to tylko mniejszość zawołasz zwilżając językiem brzuch
bo TOBIE DOBRZE
ty jesteś lepszy ty — jeden — ty — drugi — ty — cwany
nie ma odwrotu gadacie
no to ja was wszystkich pod kulami przeniosę
ciężko! ciężko: zarechotali komisarze otwierając ośrodki oświaty
a ja żądam zapłaty za wszystkie usterki w biologicznym orgazmie
ideologii
rozłożę się wygodnie na szatach dostojników wszystkich stanów
każdy stan dobry przecież wszystkie stany pod stienku
z jakąś dobrą dziwką dla niepoznaki dopuszczę kogo trzeba

więc nie dopuszczaj myśli że jesteś znowu pokonany
póki nie przyjdziemy po ciebie
na razie idź tam gdzie każą.

Z DOKUMENTÓW
SZÓSTEJ MIĘDZYJARODÓWKI
OBYWATELA K.K.

od kiedy powietrze pochodu zapaliło wiatr drzewa odmówiły
[posłuszeństwa]
a kiedy metodyczny ośrodek przemocy zapłonął od środka ludzie
[zrobili to
zrazu powoli zgrzytała kość piłowana ale kiedy ruszyły tarczowe
[piły
dobry humor nie opuszczał pola walki
od kiedy usypiska przekonani wywożone samochodami rosły
[potężniały
od czasów bohaterkich poczynań zaszytletowanej
[prawdomówności
tysiące miejsc obsuwało ziemię w głąb nie opuszczając pola walki
od czasów wzniesionej uciętymi rękami cywilnej pogardy
w usztywnionym pisku dyplomatycznych opon ogrzewała się śmierć
a grzybnia przyjaźni z pożytkiem otaczała przedstawicielstwo szyi
pod skórą propagandy pulsowała wspólna sprawa przemysłowego
[życia
od czasów wszytej pod skórę przemocy każda zbrodnia pachnie
[świeżymi
mówcami w rozchylonych przez dziennikarzy drzwiach
i dlatego kiedy zatrzaśniesz za sobą ostatnie drzwi
mordercy rozsądku przeniosą w zarękwkach administrowany
wyrok
od kiedy sztandary sloganów stały się narodowym metrum
jestem w stanie wojny z okolicznościami łagodzącymi
od kiedy getto pałacu natury stało się etatowym oknem na świat
jestem w stanie wojny z okolicznościami łagodzącymi
od kiedy pałac drogowy stał się dyktatorem mody z pokazami
w luksusowych piwnicach jestem w stanie wojny
[z okolicznościami łagodzącymi
od kiedy centralny dom światła stał się zmasowanym
atakami na jakość bankructwa
jestem w stanie wojny z okolicznościami łagodzącymi
od kiedy ministerstwo znaku uznaje sztukę przystosowaną
jestem w stanie wojny z okolicznościami łagodzącymi
od kiedy ministerstwo brygad policyjno-socjalnych nobilituje mur
jestem w stanie wojny z okolicznościami łagodzącymi

od kiedy zwykli ludzie mówią sztuczna woda
a sztandary sloganów stały się narodowym metrum
jestem w stanie wojny z okolicznościami łagodzącymi

KRZYSZTOFOWI KARASKOWI KTÓRY
W NOCY USTALA PORZĄDEK ŚWIATA

brunatne słowa — rodzą — czerwone słowa: pogarda miesza barwy
nie było nocy nie mogłem zaakceptować świata
traktat snu i rzeczywistości atakuje manifest człowieka
stworzonego dla podpory czerwonych sortów
zielone mundury — czarne maski — czerwone okulary
zawiłe blaski bagnetów i powolna kipiela zważonego mózgu
choroba nóg — wyobrażenia rąk zdolnych do każdego czynu
na pierwszej linii krótkie serie alkoholu
buty rozsadzają bieg
w maskach wyprowadzam rodzinę bocznym korytarzem dnia na
[spacer
na trasę pewniejszą już nie ma czasu
ci którym zabrakło czasu na oskalpowanie języka zrobią to
w późniejszym terminie
ci którym zabrakło otwartych słów ujrzą je we własnym zamknięciu
przemoczony szacunek drży na sienniku pod ludzkim niebem
[gwiazd
średnice gardeł uzależniają kaliber wybuchem wewnętrznym
i tak aż do zewnętrzności rozrzuconej połyskującej wnętrzościami
nasza kompania śpiewa dwuwiersz
gdyby nie było nocy
gdyby nie było dnia
ci dla których watek ciemności jest opozycją zwartą na tyle
aby mogły ją unieść brunatne słowa mogą zaakceptować świat
cień przypadkowej śmierci domagać się będzie dnia
co prawda organizacje tropiące rzadko wychodzą poza konwencje
operetkowe, ale można spróbować w późniejszym terminie
wszyscy podeszliśmy do okien! pogaszono światła! jedno było
[pewne!
jesteśmy otoczeni!
OKNA BUNTU BYŁY OTWARTE
w niektórych wypadkach mogą być rzeczywiste szanse
[przedarcia się
czerwone okulary zwielokrotniały zachód słońca czyniąc pogodę
ceremonia rowu strzelniczego wykopywanych czarnych masek

plac wojny porośły świeżo uszytymi mundurami zieleni
 noc przerywana kilkuminutowymi spacerami agonii
 tym razem dobrze wiedzieliśmy
 że państwo nie ma obowiązku ustalenia winy ponad wszelką
 [wątpliwość
 czego wyrazem były trzy linie obszarów językowych otaczających
 nasze położenie bez specjalnej żenady
 emocjonalnie obca składnia gramatyczna odbezpieczyła reguły gry
 brunatne komendy w czerwonym potoku zmieszały się
 a obolałą pogardę dwóch najemników brało po kolei.

Krzysztof MROZOWSKI

Powyższe wiersze powstały jesienią 1972 roku. Są one wyjęte z większego cyklu pt. „Pakt”. Powtarzają się w nich stale: nazwa miasta GRUX (przypuszczalnie szyfr dla Warszawy) oraz nazwisko ERCH (przypuszczalnie szyfr szefa policji).

Krzysztof Mrozowski, należący do grupy młodych poetów, prawie wcale nie był drukowany w PRL: cenzura odrzucała jego wiersze albo dlatego że je rozumiała albo dlatego że ich nie rozumiała i bała się ukrytych treści.

Wiersze drukujemy bez wiedzy i zgody poety. (Red.).

**“ AN
 EKS ”**

kwartalnik polityczny

**UKAZAŁ SIĘ
 « ANEKS », Nr 4**

POLITYKA — IDEOLOGIA —
 NAUKA — TŁUMACZENIA —
 ARTYKUŁY WŁASNE.

W numerze 4-tym m.in.: L. Kołakowski, Z. Bauman,
 D. Lane, R. Aron, A. Sołżenicyn.

Prenumeraty i zamówienia prosimy kierować na adres
 redakcji:

BOX 23057, S-750 23 UPPSALA 23, SUEDE (SWEDEN)

Archiwum polityczne

Materiały do refleksji i zadumy

W dniu 10 grudnia 1948 — kiedy pamięć zbrodni Hitlera była jeszcze bardzo żywa — OZN uchwaliła „Powszechną Deklarację Praw Człowieka”. Tylko chrześcijaństwo — wierzący czy niewierzący — mogli uchwalić deklarację tego typu. Jest rzeczą charakterystyczną, że blok sowiecki, Arabia Saudyjska i Unia Południowo-Afrykańska wstrzymały się od głosu.

Antyklerykalnie nastrojony Czytelnik zauważył w tym miejscu, że deklaracja ONZ wywodzi się z liberalnej, świeckiej filozofii, która wyprodukowała uprzednio angielski *Bill of Rights* z roku 1689, francuską Deklarację Praw Człowieka i Obywatela z roku 1789 i amerykański *Bill of Rights* również z roku 1789.

Odpowiedź jest prosta: Bez chrześcijaństwa nie byłoby powyższych deklaracji. Nie marksizm tylko chrześcijaństwo jest genetycznym źródłem zachodniej demokracji. Kościół nawet w tych okresach kiedy sam ciężko grzeszył przeciwko chrześcijaństwu, kiedy sprzymierzał się z feudalnym absolutyzmem i sankcjonował krzywdę społeczną — nigdy nie przestawał głosić zasad chrześcijańskich w nieskażonej formie. Głosił na długo przed wszystkimi liberalno-rewolucyjnymi deklaracjami, że ludzie są równi, głosił zasadę miłości bliźniego i choć kościół — jak i inni ludzie — wykazywał chciwość bogactw i wpływów, nie przestawał głosić socjalistycznej przypowieści o bogaczu i uchu igielnym. Chrystus przebaczył w godzinę śmierci łotrowi ale nigdy bogaty wyzyskiwacz czy napuszony faryzeusz nie znalazł łaski w Jego oczach.

Kościół rzymski nie fałszował nigdy Ewangelii — co jest jego wielką zasługą i co gwarantuje jego przetrwanie. Niemniej interpretował ewangelię w zgodzie z tzw. duchem epoki. Wyrównanie krzywd społecznych wymagałoby jeżeli nie rewolucji to w każdym razie radykalnych reform. Kościół natomiast usiłował zawsze kojarzyć instytucjonalne chrześcijaństwo z konserwatyzmem. Dlatego bronił niewolnictwa, później feudalnego poddaństwa i

przeciwstawiały się wszelkiej myśli postępowej. Jeszcze sto lat temu działaczy związków zawodowych, przy pełnej aprobacie Kościoła, wysyłano do karnych kolonii. A przecież ludzie ci walczyli z nieopisanym wyzyskiem, który wołał o pomstę do nieba.

Kościół nauczał w owych czasach, że należy pokornie godzić się z nierównością społeczną, ponieważ wszystkie krzywdy zostaną wyrównane na tamtym świecie. Lecz Chrystus — w przeciwieństwie do Kościoła — ustroju sprawiedliwości społecznej nie przesuwiał w sferę pozagrobową. Domagał się natomiast, by bogacze tu — na tej ziemi i w czasokresie ziemskiego bytowania — rozdali swe mienie pomiędzy ubogich i szli za Nim.

Społeczna filozofia Chrystusa była tak dziwna, tak nie podobna do niczego co kiedykolwiek głośzono na tej ziemi, że nie dziwota, że współcześni Chrystusa mówili często: „twarda jest mowa Twoja”.

Spotykałem się z opiniami intelektualnych „półgłówków”, którzy twierdzili, że socjalizm jest „ersatz-religią”. Socjalizm nie jest w ogóle religią — należy natomiast stwierdzić, że socjalizm mógł powstać tylko w społeczeństwach chrześcijańskich. Karol Marks nie mógł przyjść na świat w Japonii, w Chinach czy na Malajach. Marksa mogła wydać tylko chrześcijańska Europa.

Instytucjonalne chrześcijaństwo przekształcało się czasami w swoją własną antytezę. Podobnie instytucjonalny socjalizm przekształca się w całym bloku wschodnim w swoją własną antytezę. Nie potrafimy obejść się bez instytucjonalizmu, choć wiemy z doświadczenia, że instytucja staje się grobem idei.

Socjalizm powinien pozostać „kościółem walczącym”, ponieważ w ideach takich jak chrześcijaństwo czy socjalizm droga do celu ważniejsza jest niż sam cel. Cel w swojej doskonałości jest nie do osiągnięcia i tylko stopień przybliżenia się do celu jest wykładnikiem sukcesu lub klęski. Dlatego ogniwą próbą socjalizmu jest chwila zwycięstwa. Partia socjalistyczna, która w wolnych wyborach zdobywa ogromną przewagę w parlamencie — jest władna nie tylko przeprowadzić radykalne reformy, lecz również jest władna interpretować wszelką działalność antysocjalistyczną jako działalność antypaństwową. I to są owe wrota instytucjonalizmu, które gdy zwycięzcy raz przekroczą — są zgubieni. Socjalizm zwyciężył i upadł.

Nie ma i nie może być państwa socjalistycznego. Można mówić tylko o społeczeństwie socjalistycznym. Państwa, jako instytucji narodowej, w chwili napaści z zewnątrz można i należy bronić siłą. Natomiast socjalizmu nie można wprowadzać w czyn ani bronić siłą — ponieważ socjalista, który ucieka się do przemocy przestaje być socjalistą. Podobnie socjalista, który wprowadza cenzurę prasową w celu obrony socjalizmu — przestaje być socjalistą, a system, który pragnie obronić przestaje być socjalizmem.

Niewolnicy, wyzyskiwani i krzywdzeni mają prawo do rewolucji, tak jak ujarzmiony naród ma prawo do zbrojnego powstania. Lecz nie mówimy o rewolucji czy powstaniu — rozważamy nato-

miast zagadnienie czy socjalizm jest zdolny przeżyć swoje własne zwycięstwo?

W moim przekonaniu socjalizm w postaci państwa socjalistycznego nie jest w stanie przeżyć swojego własnego zwycięstwa. Inaczej mówiąc, tak jak musi być zachowany surowy przedział pomiędzy państwem a kościołem — ponieważ demokratą może mówić tylko o społeczeństwach katolickich a nie o państwach katolickich — tak samo musi być zachowany surowy przedział pomiędzy socjalizmem a państwem nawet tam, gdzie socjaliści dysponują parlamentarną większością. Socjalizm winien być zawsze programem społecznym a nie oficjalną ideologią państwową.

Pozornie mamy do czynienia z sytuacją paradoksalną. Każdy bowiem socjalista pragnie nie częściowego lecz pełnego zwycięstwa socjalizmu. Pragnie, by socjalizm wywarł decydujący wpływ na wszystkie dziedziny ludzkiej działalności. Lecz droga do tego celu prowadzi nie przez upaństwowienie socjalizmu i wyposażenie go w przymus prawno-policyjny. Socjalizm, jeżeli ma być socjalizmem — musi być poglądem z wyboru, bo tylko wówczas będzie socjalizmem z przekonania. Społeczeństwo w którym tylko jedna trzecia ludności składa się z socjalistów — lecz z socjalistów z wyboru i z przekonania — jest w znacznie większym stopniu godne miana społeczeństwa socjalistycznego niż społeczeństwo w którym 90 % ludności składa się z socjalistów, którzy jednak są socjalistami z oportunizmu lub z przymusu.

Innymi słowy, trzeba zrezygnować z państwa socjalistycznego by móc budować społeczeństwo socjalistyczne. Trzeba świadomie zrezygnować z socjalizmu instytucjonalnego, by móc zachować socjalizm żywy i zaangażowany. Trzeba zrezygnować z ideologii państwowej, wyposażonej w aparat przymusu policyjnego — by móc zachować przy życiu socjalizm jako żywą, dynamiczną ideę społeczną. Prawdziwy socjalizm budować mogą tylko przekonani, bezinteresowni socjaliści a nie aparatczycy, urzędnicy i policjanci. Socjalizm musi być żywotnym, nigdy nie wyczerpanym i nie ukończonym ruchem reformy i postępu, który równoważyłby i korygował permanentne choć nieuchronne zło instytucjonalizmu. Socjalizm musi być twórczym, krytycznym duchem opozycji w stosunku do *status quo* — ponieważ *status quo* jest zawsze formą kostnienia postępu w konserwatyzm.

Komuniści odpowiedzą na to, że trzeba mieć władzę i policję by wyciąć wszystkie „święte dęby” kapitalizmu i by móc na owym ugorze budować socjalizm. Komuniści powiedzą również, że jeżeli rezygnuje się z władzy, rezygnuje się z socjalizmu, bo 30 milionom ludzi socjalizm można narzucić, jest jednak mrzonką nie mieć, że 30 milionów ludzi można przekonać. Ponieważ istnieje przymus szczepienia przeciwko ospie — nie mamy ospy. Gdyby nie było przymusu, epidemie ospy byłyby zjawiskiem nagminnym.

Socjalizm nie jest ospą i traktowanie go na równi z ospą doprowadziło do jego likwidacji. Pragmatyzm socjalistyczny musi polegać na tym, że praktykuje się dosłownie to co się głosi.

Głębokość grobu w którym pochowano w Sowietach socjalizm można wymierzyć przepaścią jaka oddziela konstytucję Związku Sowieckiego od codziennej praktyki.

Prawdziwy socjalizm może być głoszony i praktykowany tylko w ustroju demokratycznym. Doświadczenia historyczne wykazały, że nie jest rzeczą możliwą obalenie demokracji i zachowanie władzy ludu. Alternatywą demokracji jest totalizm i dyktatura. Dyktatura z istoty rzeczy jest faszyzmem ponieważ nie ma innej dyktatury niż faszystowska.

Demokracja nie gwarantuje rozkwitu socjalizmu. Parlamente w których większość stanowią konserwatyści uchwalają często ustawy antysocjalistyczne. Demokracja nie gwarantuje rozkwitu socjalizmu — lecz likwidacja demokracji gwarantuje likwidację socjalizmu. 50 lat istnienia Związku Sowieckiego i niemal 30 lat istnienia państw satelickich stanowią wymowną choć ponurą ilustrację słuszności powyższej tezy.

Być może, że demokracja parlamentarna jest przeżytkiem. Być może zmierzamy do „Nowego Wspaniałego Świata”, w którym rządzić będą oligarchie w oparciu o skomplikowane systemy komputerów. Jeżeli jednak przeżyła się demokracja — przeżył się również i socjalizm.

Trudno mi w to uwierzyć. Albowiem chrześcijaństwo i socjalizm ucieleśniają najintymniejsze i najsilniej odczuwane tęsknoty i dążenia ludzkie. Tym, którzy owe idee nazwą mitem należy odpowiedzieć, że historia cywilizacji ludzkiej od Eufratu, Nilu, Tybru po Sekwanę, Ren i Tamizę jest również mitem.



Kryzys naftowy spowodował, że przepowiednie futurologów sprzed 10 laty — choć w owym czasie traktowane ze śmiertelną powagą — okazały się niewczesnym żartem. Na łamach *Kultury* omawiałem studia Hudson Institute, w których autorzy zapowiedzieli trzydniowy tydzień pracy, bogactwo dóbr konsumpcyjnych, stałą pensję państwową dla każdego Amerykanina, bez względu na to czy pracuje czy nie pracuje, i w oparciu o powyższe założenia uczeni autorzy wysunęli tezę, że najważniejszym problemem niedalekiej przyszłości będzie sprawa wolnego czasu.

Jeszcze kilkanaście lat temu wydawało się, że większość pracy produkcyjnej będzie można stopniowo przekazywać zautomatyzowanemu zespołom fabrycznym kierowanym i nadzorowanym przez prawidłowo zaprogramowane komputery.

Niewolnikiem, który by za nas pracował i poniekąd myślał (mózgi elektronowe) — miała być energia — przeważnie w formie energii elektrycznej. Porównanie z Rzymem, którego świetność oparta była na pracy niewolników, byłoby fałszywe, ponieważ niewolnik jako jednostka energetyczna przedstawiał się bardzo mizernie. Każdy Amerykanin czy zachodni Niemiec posiadał kilka samochodów oraz niezliczoną ilość „gadżetów” elektro-

nicznych — dysponuje potencjałem energii o jakim żaden rzymski właściciel niewolników nie mógł marzyć.

Przypomniałem sobie futurologiczne przepowiednie czytając surową wypowiedź gubernatora Bank of England. Musimy oszczędzać i zaciskać pasa przynajmniej do roku 1984 jeżeli pragniemy przemoć obecny kryzys. Gubernator wyraził pogląd, że obniżenie stopy życiowej, radykalne zmniejszenie konsumpcji, dyscyplina pracy i oszczędność — oto hasła na najbliższą dobę.

Wizja futurologów rozwiła się jak mgła, a wszystkiemu winien jest kryzys energetyczny. Nasi Czytelnicy, którzy w przeciwieństwie do mnie posiadają samochody — oburzą się gdy powiem, że kryzys energetyczny jest „zamaskowanym błogostawieństwem”, by użyć w polskiej formie angielskiego idiomu. Nie jesteśmy bowiem przygotowani do futurologicznego rajy, w którym całą pracę wykonywałaby za nas bezduszna energia.

Lenin wyobrażał sobie, że socjalizm plus elektryczność jest prostą drogą do komunistycznie idealnego państwa. Doświadczenie nie potwierdziło tych nadziei ani w Rosji ani gdziekolwiek indziej. Moja Żona w przeciwieństwie do mnie „przeszła przez Rosję” — jak się to potocznie mówi. W Kazachstanie, gdzie ją wywieźli, był głód, tyfus, gruźlica, malaria i brak dosłownie wszystkiego z wyjątkiem elektryczności, której nie brakowało nigdy. Owa elektryczność oświecała nie tyle socjalizm ile wręcz niewiarygodną nędzę.

Prosta logika mówi nam, że surowce, które są nieodnawialne, są tym samym skazane na wyczerpanie. Ropa naftowa nie ulega odnowieniu i dla tego musi się skończyć. Natomiast woda czyli tzw. „biały węgiel” w ekologicznie prawidłowo gospodarowanej przyrodzie ulega odnowieniu, ponieważ co roku padają deszcze.

Lecz nie to jest ważne, że w stosunku do wyczerpywalnej ropy naftowej wykazaliśmy karygodną bezmyślność. Istotne natomiast jest, że owemu żarłocznemu konsumowaniu energii w ubiegłych dekadach towarzyszył wprawdzie wzrost ekonomiczny lecz nie wzrost sprawiedliwości społecznej. Przeciwnie — proces ów powodował, że bogaci stawali się coraz bogatszymi a biedni coraz biedniejszymi.

Nęda nie wyklucza sprawiedliwości społecznej. Można wyobrazić sobie ubogi kraj, którego wszyscy obywatele są niemal w nędzy, zachowując równocześnie maksimum sprawiedliwości społecznej. Sprawiedliwość społeczna nie dotyczy wysokości dochodu danej jednostki, lecz dotyczy relacji owego dochodu w stosunku do „bochenka chleba”, reprezentującego całość dochodu narodowego. Wydawałoby się, że im bochenek jest większy tym łatwiej jest go sprawiedliwie pokrajać. Niestety doświadczenie nas uczy, że im bochenek jest większy, im szybciej wzrasta jego waga i objętość — tym jest niesprawiedliwiej dzielony.

Jeden z ekonomistów brytyjskich obliczył, że gdyby dokonać absolutnie równego podziału dochodu narodowego Wielkiej Brytanii — to na każdego Brytyjczyka przypadałoby 4 tysiące funtów rocznie. Niewątpliwie byłibyśmy wówczas wszyscy średnio za-

możni — zakładając, że funt nie uległby dalszej dewaluacji. Lecz czy w państwie, w którym każdy obywatel posiadałby dochód 4 tysięcy funtów rocznie panowałaby sprawiedliwość społeczna?

Czy byłoby rzeczą sprawiedliwą, by nagradzać identycznie pilota linii lotniczych i listonosza? Lub gdyby wybitny chirurg miał identyczną pensję jak młoda stenotypistka w takim czy innym biurze?

Jest oczywiste, że podstawowym postulatem jest sprawa zarobków najniższych, które powinny zapewniać skromne lecz w pełni dostateczne utrzymanie. Pensje czy zarobki „głodowe” są nie do pogodzenia ze sprawiedliwością społeczną. To jest punkt, w którym wszyscy są zgodni — lecz trzeba podkreślić, że to jest jedyny punkt jedności zapatrywań.

Przez sprawiedliwe wynagrodzenie robotnicy brytyjscy rozumieją nie tylko stosunek ich płac w relacji do dochodu narodowego — lecz przede wszystkim wysokość płac danej grupy robotniczej w stosunku do stawki płac innych grup robotniczych. Strajk górników spowodowany był faktem, że górników uważają, że w „tabeli ligowej” płac należy im się pierwsze miejsce. Górnicy mniemają, nie bez słuszności, że ich praca jest brudna, niebezpieczna i często prowadzi do śmiertelnego schorzenia płuc.

Można jasnok powiedzieć, że pielęgniarki w szpitalach pracują również bardzo ciężko. W pierwszej połowie stycznia br. telewizja brytyjska w czasie strajku górników zaprosiła do studio górnika, pielęgniarkę, elektryka, kolejarza, listonosza i menadżera bankowego. Wszyscy uczestnicy programu zadeklarowali swoje płace w stosunku tygodniowym. Następnie kierownik audycji poprosił każdego kolejno, by ustalił „tabelicę ligową” wysokości płac dla grup pracowników reprezentowanych w programie.

Menadżer bankowy umieścił menadżerów bankowych na pierwszym miejscu. Górnik umieścił górników. Tylko listonosz nie umieścił listonoszy na pierwszym miejscu lecz pierwsze miejsce przyznał pielęgniarkom.

Program wykazał ponad wszelką wątpliwość, że zgromadzeni w studio przedstawiciele świata pracy nie uzgodniliby nigdy pomiędzy sobą „tabeli ligowej” płac — to znaczy, na którym miejscu w odniesieniu do wysokości zarobków winna się znajdować dana grupa pracowników.

Ponieważ nawet w studio na przeciąg godziny nie można ustalić sprawiedliwej polityki płac, którą wszyscy zgodnie mogliby zaakceptować — związki zawodowe wierzą, że zasada *free bargaining* jest najlepszą metodą w tej sprawie. Nie ulega jednak wątpliwości, że potężne związki zawodowe, które strajkiem sparyżować mogą gospodarkę kraju — są władne wytargować dla siebie nieproporcjonalnie wyższe stawki niż robotnicy w mniej istotnych gałęziach przemysłu, ponieważ siła przetargowa tych ostatnich jest niewielka. Widzimy więc, że choć wszyscy robotnicy są równi — niektórzy z nich są „równiejsi” od innych.

„Kapitał” Marksa został napisany w Anglii. Marks wyobrażał sobie, że jak brytyjska klasa robotnicza zostanie zorganizowana

w potężne związki zawodowe — użyje swej potęgi do przebudowy ustroju. Jeżeli przez „przebudowę” rozumieć komunizm — tak się nie stało i tak się nie stanie.

Zorganizowana klasa robotnicza jest władna obalić każdy rząd i byłaby władna narzucić Anglii każdy ustrój z komunistycznym ustrojem włącznie. Lecz robotnicy brytyjscy w znakomitej większości nie chcą komunizmu, czego najlepszym dowodem jest fakt, że w parlamencie nie ma nawet jednego posła komunistycznego. Związki zawodowe i reprezentowana przez nie klasa robotnicza przywiązują największą wagę do zasady *free bargaining*. Najmniejsze ograniczenia tej zasady zwalczane są przez związki z niezmierną konsekwencją.

Komunizm likwiduje zasadę *free bargaining*. Państwo jednostronną decyzją ustala wysokość płac robotniczych, a strajki tłumione są policją, wojskiem a nawet czołgami.

Od czasów drugiej wojny światowej potęga związków zawodowych rosła jak na drożdżach. Równocześnie jednak rosła i upowszechniała się wiedza o komunizmie. Romantykę wojny cywilnej w Hiszpanii przystąpiło powstanie węgierskie i najazd na Czechosłowację. Robotnicy brytyjscy czytają prasę, słuchają radia patrzą na telewizję i już od dawna nie mają złudzeń jak wygląda komunizm w praktyce.

Komuniści brytyjscy zdają sobie z tego sprawę i głoszą, że komunizm w wydaniu brytyjskim wyglądałby inaczej niż w wydaniu sowieckim. W rezultacie komunistom brytyjskim nie ufają ani Sowiety ani brytyjska klasa robotnicza.

Komunizm mógłby być w Anglii narzucony tylko siłą przez okupacyjną armię sowiecką. Oczywiście pierwszym krokiem okupacyjnych władz sowieckich byłoby uwięzienie członków komitetu centralnego brytyjskiej partii komunistycznej za rewizjonizm i „odchylenia prawicowe”. Na czele przeorganizowanej partii stanęliby Brytyjczycy importowani z Moskwy z dłuższym stażem w KGB.

Tak się nie stanie. Brytyjczycy gotowi są zawsze do kompromisów lecz nie do kapitulacji. Niepodległości swoich Wysp broniliby do upadłego.

Marksiści winni się głęboko zastanowić nad przykładem Anglii. Oto jest kraj, gdzie zorganizowana klasa robotnicza stała się najpotężniejszą klasą społeczną. Równocześnie, rewolucja i komunizm są propozycjami mniej prawdopodobnymi w Anglii niż gdziekolwiek indziej. Wypada więc stwierdzić, że marksizm narodził się w Anglii i w Anglii najoczywiściej zbankrutował. Zorganizowana i potężna brytyjska klasa robotnicza głosuje w przytłaczającej większości na Labour Party, która jest partią socjalistyczną, lecz nie marksistowską.

Brytyjskiej klasie robotniczej i innym klasom robotniczym zachodnio-europejskim można postawić zarzut, że są mało ideowe, egoistyczne i w gruncie rzeczy dbają wyłącznie o swoje własne interesy i korzyści.

W tej sprawie należy podkreślić dwa punkty. Robotnicy bry-

tyjscy są wychowani przez kapitalistów. Zasada *free bargaining* jest bliźniakiem zasady *free enterprise* i wolnej gry sił rynkowych. Od kapitalistów przejęli również robotnicy zasadę, że jedyną obiektywną miarą sukcesu życiowego i awansu społecznego są pieniądze. Od kapitalistów robotnicy przejęli również filozofię, że ponieważ pieniądź stanowi główny cel o który warto zabiegać — walczyć należy o każdego funta wszystkim dostępnymi środkami.

I punkt drugi. Nie wszyscy robotnicy w Anglii są dobrze płatni. Ci z nich, którzy są dobrze płatni, jak np. górnicy — są dobrze płatni dopiero w pierwszym pokoleniu. Ich ojcowie i dziadkowie byli źle płatni i wyzyskiwani. Nic więc dziwnego, że współczesny robotnik bardziej jest zajęty i przejęty umacnianiem własnego dobrobytu niż społeczną przebudową świata.

System kapitalistyczny w Anglii ulega coraz większym przemianom, ponieważ staje się oczywiste, że w przyszłości nie robotnicy będą musieli się dostosowywać do kapitalistów — lecz odwrotnie — kapitaliści będą zmuszeni przystosować się do klasy robotniczej, której związki zawodowe stanowią największą potęgę w brytyjskim systemie gospodarczo-społecznym. Ów nowy *balance of power* nie znalazł jeszcze właściwej formy socjalno-ekonomicznej i proces ewolucyjny w tym kierunku trwać będzie przez następne dekady.

Nadużywane słowo „kryzys” implikuje, że jeżeli przewyciężymy kryzys — system kapitalistyczny nie tylko przetrwa lecz wróci do kwitującego zdrowia. Jestem przekonany, że po dłuższym okresie zmagania przewyciężymy obecny kryzys — lecz system kapitalistyczny już nigdy nie będzie tym czym był. Inaczej mówiąc przewyciężenie kryzysu nie będzie oznaczało restauracji kapitalizmu dawnego stylu. Przebudowa kapitalizmu odbywa się na naszych oczach i owa przebudowa w wielu dziedzinach powoduje chaos i zamieszanie, które określamy zbiorczym mianem „kryzysu”.

Kapitalizm w klasycznym tego słowa znaczeniu nie został na zachodzie Europy obalony tylko po prostu przeżył się — tak jak przeżyły się wcześniejsze systemy społeczno-gospodarcze. Jest to cios dla komunizmu, który reklamowany był jako radykalne i jedyne lekarstwo na kapitalistyczną chorobę. „Choroba” wygasa szybciej niż nam się wydaje — więc co komu z lekarstwa, które nawet w czasie kapitalistycznej „epidemii” nikogo nie uzdrowiło.

Jest tylko jedno sanktuarium, w którym kapitalizm zabezpieczony jest przed kryzysem, przed przebudową czy przed ewolucją. Owym sanktuarium jest propaganda komunistyczna dla której nieskażony kapitalizm potrzebny jest jak woda dla ryby. Gdyby nagle mężczyźni przestali łysieć — co robiliby jakże liczni fabrykanci „cudownych” i „naukowych” eliksirów na porost włosów? Pomyślcie!

Zarówno w tej sprawie jak i w większości spraw społecznych nie ma idealnego rozwiązania. Tabela płac pracowniczych, którą można by nazwać zgodną z ideałem sprawiedliwości społecznej

— musiałaby być uznana za słuszną i sprawiedliwą przez 80 czy 90 % pracowników danego kraju. Takiej tabeli płac nie ma i zapewne nigdy nie będzie.

Sprawiedliwość społeczna nie jest pojęciem statycznym — tylko jest procesem ewolucyjnym, który nie ma i nie może mieć końca. Pomijając zmiany ekonomiczne, polityczne i socjalne — każde następne pokolenie pracowników ma inne kryteria ocen zarówno w tej jak i we wszystkich innych sprawach.

W moim przekonaniu żaden ustrój czy teoria społeczna nie może zgłaszać pretensji do naukowości. Nie ma naukowego socjalizmu — tak jak nie ma naukowej demokracji. Natomiast zgodnym z nauką będzie ustrój, który bierze pod uwagę naturalne cechy rozwoju społeczeństw ludzkich a więc ustrój, który nie opiera się na dogmatach lecz umożliwia w swych ramach uporządkowaną walkę ewolucyjną o realizację ideałów społecznych danego pokolenia. Każda ewolucja jest walką, choć nie każda walka jest krwawa i z bronią w ręku.

Ustrojem, w którym walka cywilna o postęp i sprawiedliwość społeczną jest legalna — jest demokracja typu zachodnioeuropejskiego. Demokracja jest ustawiczną walką o postęp i sprawiedliwość — jest walką pomiędzy pokoleniami — jest ustawicznym ścieraniem się poglądów i prądów — jest krytyką przeszłości i projektowaniem przyszłości. W demokracji można znaleźć wszystko z wyjątkiem spokoju. Lecz spójność nie cechował nigdy zdrowych i wolnych ludzi. Wolność nie jest spokojem. Wolność jest zawsze walką. I dlatego ludzie w bloku wschodnim nie są wolni.



Być może że Rosja, gdyby była państwem demokratycznym, uprawiała by w stosunku do nas politykę imperialną, wykorzystując prawo wielkich liczb — tzn. przewagę w cyfrach ludności, obszaru, armii, itp. Państwa demokratyczne uprawiają czasem imperializm — lecz przeciw imperializmowi tego typu można się bronić. W demokratycznej Rosji istniałyby stronnictwa, które by nas broniły i nie brakłoby pism rosyjskich, które zamieszczałyby obiektywne przeglądy demokratycznej prasy polskiej. Nawet w demokratycznej Rosji mielibyśmy zapewne wrogów, lecz mielibyśmy i przyjaciół i w żadnym wypadku nie byłibyśmy bezbronni. Demokratyczna Rosja dysponowałaby siłą rzeczy znacznymi wpływami w Polsce i leżałoby w naszym interesie mieć dobre stosunki z tak potężnym sąsiadem.

Każdy totalizm jest imperialistyczny — lecz imperializm nie stanowi głównej cechy totalizmu. Główną cechą totalizmu jest przemianowanie mitu w „obiektywny fakt”. Ateizm, podobnie jak wiara — to są postawy subiektywne. Naukowo nie można udowodnić ani istnienia ani nie istnienia Boga. Jeżeli jednak ateizm uznaje się za obiektywną prawdę naukową — wkracza się na równię pochyłą.

Jest absurdem fakty nienaukowe prezentować jako fakty

naukowo udowodnione i ów absurdalizm jest główną cechą ustrojów totalnych. Jest obojętne czy jako fakty naukowo udowodnione prezentuje się ateizm czy rasizm, mit „krwi i żelaza”, czy „naukowy socjalizm”.

Totalizm musi opierać się na fałszu, ponieważ żadną racjonalną argumentacją totalizmu nie można usprawiedliwić. Religiom wystarczy fideizm — to znaczy przekonanie oparte na wierze. Totalizm — a zwłaszcza totalizm sowiecki — poszły o krok naprzód likwidując metafizykę. Operacji dokonano w sposób naiwny lecz prosty — postawiono mianowicie znak równania pomiędzy metafizyką a fizyką. Komunizm, w który wierzy nieznaczny procent społeczeństwa, prezentuje się w szkołach i na uniwersytetach jako teorię naukową o tym samym statusie co teoria ewolucji gatunków Darwina, która wytrzymała próbę czasu i z pewnymi poprawkami przyjęta jest jako obiektywnie odpowiadająca prawdzie.

Na Chrześcijaństwo trzeba ludzi nawracać, trzeba ich przekonywać i olśnić pięknem i dobrem tej „unikalnej” religii. Natomiast nie ma powodu nikogo nawracać na „wiarę”, że dwa razy dwa jest cztery. Wystarczy danego osobnika nauczyć tabliczki mnożenia. Totalizm sowiecki zamordował socjalizm, ponieważ odebrał mu jego „metafizykę” zastępując ją fałszywą „fizyką”.

Prawdziwy socjalizm jest przekonaniem, jest wiarą w dobroć i bezinteresowność ludzką, jest postawą psychiczną, którą cechuje gotowość poświęcenia i pracy dla innych. Tak pojęty socjalizm nie jest ideologią ani „teorią naukową” lecz jest ideą dla której ludzi należy zjednywać i którą należy wcielać w czyn wszystkimi środkami z wyłączeniem przemocy.

Komuniści i reakcyjniści powiedzą, że tak pojmowany socjalizm jest utopią — ponieważ powodzenie reform socjalistycznych może zapewnić tylko administracyjny przymus.

Jeżeli w demokratycznie wybranym sejmie większość parlamentarna uchwali socjalistyczną reformę — to owa ustawa staje się prawem, obowiązującym wszystkich obywateli. Nie oznacza to jednak, że socjalizm jest ideologią obowiązującą wszystkich. Wszystkich obowiązuje praworządność — lecz socjalizm obowiązuje tylko socjalistów.

Konserwatyści, którym zarówno trudno jest zrozumieć istotę socjalizmu jak i chrześcijaństwa — wysuwają często argument, że niesprawiedliwość społeczna jest wynikiem „naturalnego porządku rzeczy”. Jedni ludzie z natury są uzdolnieni i pracowici, drudzy są leniwi i tępi. Jedni są piękni i zdrowi — drudzy są brzydzy i chorowici. Przyroda jest niesprawiedliwa a my — stanowiąc część przyrody — musimy zaakceptować ów naturalny obraz świata.

Społeczne posłanie chrześcijaństwa zmierza do przeciwstawienia się owemu naturalnemu porządkowi rzeczy. Przykazanie miłości bliźniego, które z wszystkich przykazań Chrystus postawił na pierwszym miejscu — domaga się od nas wyrównania lub złagodzenia krzywd spowodowanych niesprawiedliwością natury.

To jest ów podbój natury najwyższego rzędu zainicjowany przez chrześcijaństwo. Kto tego nie rozumie jest poganinem, choćby był *de nomine* chrześcijaninem w setnym pokoleniu.

Gdyby natura była sprawiedliwa i miłosierna, nikt nie domagałby się od nas sprawiedliwości i miłosierdzia — ponieważ ideał sprawiedliwości i miłosierdzia byłby spełniony. Ponieważ tak nie jest — ów nakaz przekształcenia niesprawiedliwego i niemilosierdnego świata w ludzki świat ładu i sprawiedliwości społecznej — stanowi istotę tak chrześcijaństwa jak i socjalizmu.

Niech mi wolno będzie podkreślić jeszcze raz. Tak w chrześcijaństwie jak i w socjalizmie droga do celu ważniejsza jest niż sam cel. Społeczność prawdziwie socjalistyczna jest utopią — podobnie jak społeczność idealnie chrześcijańska jest wizją nie z tego świata. Jednak sens życia jest do odnalezienia tylko na drodze, która wiedzie do celu większego i lepszego niż my sami. I w tym aspekcie człowieczeństwo jest koncepcją utopijną. Lecz owa utopijność wyznacza człowiekowi wyjątkowy, nadrzędny — to co religia określa „nadprzyrodzony” — status w panoramie tego co istnieje.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Widziane z Brukseli

OD MALTHUSA DO MANSHOLTA

„Nastąpią drugie siedem lat takiego nieurodzaju, że się zapomni wszystka obfitość przeszła. Głód bowiem popsuje wszystkie ziemie”. Genesis, 41,30.

Uprzejmie zawiadamiam, że postanowiłem nie uczestniczyć w tym roku w kroazjerze statku „France”. Dowiedziałem się mianowicie, że statek ten (taki francuski, *toute proportion gardée*, „Batory”, tylko, że nikt z niego nie ucieka), jest mocno deficytowy (ponad 20 milionów dolarów rocznie), w związku z czym dyrekcja postanowiła zastosować ostry plan wyrzeczeń. Wino nie będzie już *à discrétion*, a najważniejsze, że porcje kawioru zostaną obcięte do połowy. Samo tylko kawiorowe cięcie oznacza oszczędność rzędu ok. 100.000 dolarów rocznie. Ponieważ nie widzę powodu, dla którego mam być ofiarą wadliwej gospodarki na statku „France”, jasne, że mnie już kroazjera nie interesuje. Zostaję na lądzie.

Zostaję m.in. po to aby móc delektować się czytaniem prasy

codziennej. Dowiedziałem się mianowicie, że w Afryce zachodniej (tzw. Sahel) ok. 6 milionów czarnych dzikusów, co prawda, ale zawsze to ludzie, zagrożonych jest nie brakiem kawiorka a śmiercią głodową i że 500.000 z tych 6 milionów opuściło nasz najlepszy ze światów w ciągu ub. 12 miesięcy nic nawet nie wiedząc o trudnościach „France”. Z powodu posuchy 90 % pogłównia bydła w północnym Nigerze, i połowa pogłównia w Maurytanii już padła, a połowa pogłównia ludzkiego w Górnej Wolcie wybiera się w te same ślady. W najlepszym razie potrzeba będzie teraz 10 lat aby odtworzyć poprzedni stan pogłównia, potrzeba będzie 5 lat intensywnej pomocy i racjonalnej gospodarki, aby kraje Sahelu mogły wrócić do poziomu życia, jeżeli w ogóle można użyć tego słowa, sprzed posuchy. To w najlepszym razie, albowiem jeżeli nie nadejdą deszcze, to nastąpi taka katastrofa, że najstarsi Afrykanie nie pamiętają...

Ponieważ opatrność nie lubi biednych, więc klęska spadła na kraje, które już przedtem i bez posuchy ostrożna skądinąd ONZ umieściła na liście 25 najbiedniejszych krajów świata, takich co to nie tylko jedzą kiedy deszcz spadnie, ale mają ponadto lekkomyślność nie posiadania żadnych zasobów naturalnych. Nie trzeba dodawać, że te najbiedniejsze kraje mają równocześnie jeden z najwyższych na świecie przyrostów naturalnych i że jest to jedyne bogactwo naturalne, którego natura im nie poszczędziła.

1 metr kwadratowy ziemi na mieszkańca

Darwin kiedyś wykalkulował, że para słoni — ssaków znanych z powściągliwości erotycznej — będzie miała po upływie 750 lat 19 milionów potomków. Ja obliczyłem, że kiedy dziś poczęte dziecko ukończy w roku 2.000 25 lat, będzie jednym z 6,5 miliarda mieszkańców ziemi — liczby dwukrotnie wyższej od stanu dzisiejszego — z których, dodajmy ku pamięci, 5 miliardów mieszkać będzie w krajach na tzw. drodze rozwoju, a co czwarty człowiek będzie Chińczykiem.

To samo dziecko, kiedy osiągnie wiek 65 lat będzie już żyło w świecie o 12 miliardach mieszkańców. Oznacza to, że w ciągu 60 lat ludzkość wzrośnie 3,5 razy co jest rzeczą absolutnie fantastyczną, aczkolwiek całkowicie możliwą. Jeżeli wszystko pójdzie „normalnie”, to znaczy jeżeli ludzie, jak słonie Darwina, będą się rozmnażać zupełnie bez sensu, to za 650 lat człowiek będzie miał do dyspozycji tylko 1 m² ziemi. Kwaternion warszawski ofiarowuje 7 czy 9 m², a jakie skargi słysząc. Pozornie nie mam wielkich szans aby być klientem kwaternionu za 650 lat, ale po pierwsze, nigdy nic nie wiadomo, a po drugie chcę zapewnić jako taką przyszłość następcom Brukselczyka, których będzie wówczas 19 milionów...

Halucynacja? Zapewne, ale tylko w pewnym stopniu. Teoretyczne ekstrapolacje są istotnie niebezpieczne w dziedzinie nauk

społecznych, ale to nie tylko chorobliwi maniacy przemierzają świat przestrzegając ludzkość przed śmiercią z przeludnienia. Przewodniczącą Mao — człowiek znany z umiaru — już w 1957 r. opowiedział się za ustabilizowaniem ludności Chin na poziomie 600 milionów. Nie udało mu się to, nie tylko zresztą to, i Chińczyków będzie niedługo dwa razy tyle, co nie znaczy, że Mao nie miał racji. Gdybym był Francuzem to głosowałbym na René Dumont, przede wszystkim dlatego, że inni kandydaci mi nie odpowiadali, następnie dlatego, że był to jedyny kandydat, który nie traktował wyborów poważnie, po trzecie dlatego, że był to jedyny poważny człowiek wśród kandydatów i zamiast obiecywać rzeczy niemożliwe do spełnienia, przepowiadał rzeczy niemożliwe do uniknięcia. Chyba, że coś się zmieni.

Podstawowy błąd Malthusa

Trzeba więc np. obalić dwa podstawowe tabu. Po pierwsze tabu demograficzno-polityczne. Niektóre rządy propagują szybką rozrodczość sądzą bowiem, że to w liczbie siła i że hasło „kupa mości panowie” decyduje o pozycji w świecie. Po drugie — tabu religijne. Niektórzy pośrednicy między nami a opatrnością uważają mianowicie, że skrobanka to otwarcie drogi do piekieł, nie uważają natomiast wcale, aby życie za 50 dolarów... rocznie w „bidonwili” mogło nie być skutkiem łaski pańskiej i nie obrażało godności ludzkiej i boskiej. Ani tendencje mocarstwowe ani kontrakt z opatrnością nie mogą bowiem ukryć faktu, że dziś na głowę człowieka (przeciętnie) przypada żywności... mniej niż w latach trzydziestych, w okresie wielkiego kryzysu. Że dziś w krajach rozwiniętych średni dochód na człowieka wynosi ok. 2.400 dolarów rocznie, a w krajach niedorozwiniętych tylko 180 dolarów. Że — jeżeli tak dalej pójdzie — to w 1980 roku dochód „rozwinętego” człowieka wzrośnie o 1.200 dolarów, a dochód „niedorozwiniętego” tylko o 100 dolarów rocznie.

Żebyście państwo nie mogli powiedzieć, „myśmy o niczym nie wiedzieli”, to spójrzcie, proszę, na poniższą tabelkę. Sporządził ją Bank Światowy, którego nie należy podejrzewać o tendencje subwersyjne czy rewolucyjne. Według tych obliczeń, widły (bo przecież nie widełki) w przedmiocie przeciętnego rocznego dochodu na jednego mieszkańca kształtowały się w 1971 r. (teraz, po wzroście cen nafty, może być tylko gorzej) na Bliskim Wschodzie jak 1 do 43, w Azji jak 1 do 30 i w Afryce jak 1 do 24. Oczywiście, zachowajmy ostrożność, dochód na człowieka nie oddaje całej złożoności sytuacji gospodarczej kraju. Poczytajmy jednak, bo lektura kształci.

Otóż w Afryce listę otwiera Libia: 1.500 dol. rocznie na mieszkańca, Afryka Południowa — 810, a zamykają Dahomej i Niger po 100 dolarów, Gwinea, Zaire i Malawi — po 90, Czad i Abisynia po 80, Górna Wolta i Mali po 70, Burundi i Rwanda po 60 dolarów rocznie na mieszkańca.

W Azji na czele jest Japonia: 2.130 dol., potem Singapur —

1.200, Hong Kong — 900, Formoza — 480, a na końcu są: Indie — 110, Wietnam Północny i Cejlon po 100, Nepal — 90, Burma, Indonezja i Afganistan po 80, no i Bengla-Desz — 70 dolarów rocznie na mieszkańca.

Bliski Wschód jest najbardziej kontrastowy. Przewodzi Kuwejt: 3.900, Emiraty arabskie — 3.150, Katar — 2.370 i nienaftowy Izrael — 2.200. Listę zamykają Syria — 290, Jordania — 260, i obie republiki Jemenu, Demokratyczna — 120, i Arabska — 90.

Wystarczy dość pobieżnie zbadać okoliczności dodatkowe, aby dojść do wniosku, że jedynym błędem tak dokładnie przez Marksa i jego uczniów pogrzebanego Malthusa, dwojga imion Tomasza Roberta, ekonomisty i duchownego angielskiego, było nie to co głosił, a to że ogłosił to za wcześnie. Jego teza o tym, że nie starczy dla wszystkich ludzi miejsca u stołu natury dopiero dziś staje się nie tylko prawdziwa, ale i jasna dla wszystkich. Oczywiście, jest sporo prawdy w tym, że maltuzjanizm i neo-maltuzjanizm to argument, przy pomocy którego „imperializm w stanie rozkładu” stara się na zbyt wielki przyrost naturalny przetrzymać wyłączną odpowiedzialność za wszystkie zło tego świata i za wszystkie swe własne sprzeczności. Oczywiście, samo tylko ograniczenie przyrostu nie może spowodować przełomu w bilansie spożywczym czy gospodarczym Nigeru czy Czadu. Oczywiście, potrzebne jest ostre działanie industrializacyjne, modernizacyjne, konieczny jest przełom w nożycach cen światowych. Ale jest również oczywiste, że należy myć i ręce i nogi i że żadne wyklinanie Malthusa nie ukryje faktu, iż przede wszystkim należy ograniczyć przyrost naturalny. „Róbcie oszczędności zamiast dzieci” wołał Malthus i miał rację. To zbrodnicza ślepotą nie pozwala pogromcom neomaltuzjanizmu dostrzeżać, iż co miesiąc przybywa... milion Hindusów (110 dolarów rocznie na głowę) i że w roku 2.050 liczba Filipińczyków (200 dol. rocznie) wzrośnie z 41 milionów obecnie do 100 milionów.

Wystarczyłaby mała katastrofa w USA...

Nędza obecnego świata jest nędzą dynamiczną, jak to określają fachowcy. Lord Snow, eseista angielski, w książce pod tytułem „Stan wyjątkowy” przepowiadał już przed kilku laty: „Do katastrofy dojdzie przed upływem naszego wieku. Kraje bogate zostaną oblane morzem głodu, który zniszczy miliony ludzkich istnień”. Niedoszły prezydent René Dumont w książce pt. „Utopia lub śmierć”, udawał już w 1966 roku że „idziemy do głodu”. No i co? No i nic, już dochodzimy — niektórzy już nawet doszli. 2,5 miliarda „niedorozwiniętych”, 60 % jest chronicznie niedożywionych, a 20 % wegetuje na granicy śmierci głodowej. Codziennie przybywa nas ponad 200.000 czyli ok. 75 milionów rocznie. Otóż z powodu tego „słoniowego” przyrostu (a liczby są naturalnie odpowiednio bardziej przygniatające w krajach niedorozwiniętych) w Afryce zachodniej, gdzie począwszy od lat

sześciodziesiątych produkcja żywności globalnie biorąc podniosła się o 22 %, średnia spożycia na mieszkańca (i to bez posuchy) spada... o 5 %. Nie musimy dodawać — bo to wiemy z własnego doświadczenia — że w tym samym czasie spożycie naszego, małego rodzającego się, świata, wzrosło w przeliczeniu na proteiny od 5 do 10 %.

Oczywiście, zachowajmy spokój, nie należy zwracać zbytniej uwagi na nieszkodliwych lunatyków i potomków Kassandry. Warto jednak przynajmniej wiedzieć, że chodzi nie tylko o kawior, że nigdy od 25 lat, zapasy żywności na świecie nie stały tak nisko. W czerwcu 1974 roku — a więc w chwili kiedy czytacie te słowa — zapasy zboża wynosić będą ok. 21 milionów ton, (bez zboża sowieckiego, bo jego zapasy są naturalnie tajemnicą Kremla, ale wiadomo, że nie ma ich wcale) to znaczy, że się równają trzem tygodniom światowego spożycia.

Wszystkie rządy baczyły aby nie spaść poniżej dwumiesięcznych zapasów nafty, progę, który nazywa się strategicznym. Otóż takiego progę nie ma w zbożu. I to się nazywa sztuka rządzenia. Dzięki tej sztuce miliony ludzi albo już umarli albo się układają do śmierci głodowej, ale nikt jeszcze nie umarł z braku nafty. Przepraszam, poprawka. Wśród skazanych na śmierć głodową są również tacy, których mogła uratować szybka dostawa taniej nafty. Nafta jednak podróżowała, nie nadeszła. Aby zapewnić sobie niezbędne dostawy nafty kraj trzeciego świata nie produkujące tego życiodajnego płynu musiałyby obecnie wydać rocznie więcej niż wynosi cała pomoc udzielana im przez bogatą resztę ludzkości. Ale to jest już inna historia.

Przed wojną tylko Europa Zachodnia i Japonia były importerami zboża „netto”. Dziś zboże importuje cały świat, a przede wszystkim świat socjalistyczny, mimo — a może właśnie z tego powodu — zwycięskiego kolektywizowania rolnictwa. Wszyscy kupują zboże, ZSSR, Chiny i Wspólny Rynek, Japonia, Ameryka Łacińska no i Afryka, naturalnie jeżeli ma za co.

Tylko USA, a potem Kanada, w mniejszym stopniu Australia, Argentyna, a w jeszcze mniejszym Francja dysponują liczącymi się na giełdzie nadwyżkami zbożowymi. Ale, uwaga, mała katastrofa atmosferyczna w USA wystarczyłaby, aby skazać na śmierć tych co oczekują pomocy w Afryce, a spowodować niezwykle ostre napięcia w krajach na razie nie zagrożonych. Breżniew wypina dziś dumnie pierś z medalami, bo jego statystyki wykazują po raz pierwszy pewne nadwyżki żywności i eliminują konieczność zawstydzającego, choć śmiesznie taniego, importu zboża z USA. Ale co by Breżniew zrobił w 1972/73 roku, kiedy Rosji groził głód, gdyby Amerykanie z Jowy pracowali jak kołchoźnicy z Białorusi?

Otóż dziś zapasy amerykańskie są tak niskie, że rząd USA był o krok od nałożenia embarga na eksport zboża (tak jak to było w 1972 roku z soją), że EWG przejęła amerykańskie zobowiązania eksportowe na 500.000 ton, że cena niektórych gatunków zboża, zupełnie jak nafta, potroiła się w ciągu ub. roku. Rezul-

tat? Kraje bogate w naftę i dewizy jakoś wiążą koniec z końcem, mają nawet pewne nadwyżki na kroazjery statkiem „France”. A reszta? Co z 25 państwami z końca statystyki, z listy absolutnej nędzy dynamicznej? Zdechną, albowiem i tak oscylowały na granicy głodu. Muszą dziś żyć za... 30 centów dziennie. Przesada? Według obliczeń tegoż Banku Światowego ludzi zmuszonych do „życia” za 30 centów dziennie jest dziś ok. 800 milionów. Więcej pytań nie ma?

Oblani morzem nędzy

Bądźmy sprawiedliwi. Przejęty kawiorowymi brakami przy malthusowym „stole natury” Zachód nie pozostał głuchy na woltaż dochodzące z pustyni, stepów i dżungli.

Najpierw były tylko wzruszenia. Co za klęska żywiołowa! Jaka ta opatrność jest niesprawiedliwa! Co za fatalny zbieg naturalnych okoliczności! Cóż my biedni śmiertelni możemy przeciwstawić temu odwetowi natury?! Pewnie, Sahel, Abisynia czy Indie to straszny dramat, ale cóż, wola Boska!

Obrodziły latoś — jak zwykle — apele. Kto ich nie podpisywał? Wszyscy, od lewicy do prawicy, od rządu do opozycji. Podawano numer konta bankowego, wykupywano stronicę w poczytnych gazetach. I to było wszystko. Kiedy „dyżurni” podpisywacze się zmęczeni, apel ogłosił Czerwony Krzyż. „Wydaje się być nieuniknionym losem setek tysięcy mieszkańców Górnej Woly, Nigeru, Mali, Maurytanii, Senegal i Czadu umrzeć z głodu zanim ten rok dobiegnie końca”, zapowiedzieli panowie z Genewy. Stylistycznie nawet ładnie, ale zjeść się nie da, śmierci z głodu nie zapobiegnie.

Dopiero kiedy cudzy głód zaczął nabierać znajomych kształtów, kiedy stało się jasne, że bajeczki o naturalnych wyłącznie przyczynach głodu nie przekonają nikogo, że głód staje się kategorią politycznego układu świata, wtedy Zachód się obudził.

FAO, światowa organizacja żywnościowa, taka ONZ od jedzenia, która — trzeba to przyznać — od dawna już bije na alarm, zaproponowała, aby, niezależnie od doraźnej i koniecznej pomocy, utworzyć „światową rezerwę bezpieczeństwa zbożowego”. Ta rezerwa miałaby — jak to już kiedyś zaproponował hebrajski młodzieniec imieniem Józef pewnemu faraonowi w Egipcie w kwestii siedmiu krów sytych i chudych — interweniować i ratować ludzi w czasach głodu i posuchy. FAO od razu zabrała się do dzieła. Samolotowy transport żywności dla zdychającej Afryki kosztował... 30 milionów dolarów, to znaczy połowę wartości wysłanego zboża.

ONZ zebrała się na nadzwyczajnej sesji zwołanej na wniosek trzeciego świata dla przedyskutowania polityki surowcowej. Sesja ta to temat oddzielny, tu jedynie wspomnijmy, że zakończyła się niczym. Po pierwsze bowiem, nie ma już trzeciego świata i nic nie łączy wytwornego emira z Kuwejtu z umierającym z głodu

obywatelem niepodległego państwa Czad. Po drugie, inicjatorem sesji chodziło nie tyle o ratowanie ludzi od głodu, a o rewanz, zrozumiały zresztą za lata wyzysku, czyli o zwyczajną politykę, a mianowicie o zdemaskowanie imperializmu, co jako jedyny rezultat konkretny przyniosło wycofanie amerykańskiej propozycji utworzenia i finansowania 4-miliardowego funduszu pomocy. Po trzecie miliard ludzi naprawdę i życiowo zainteresowanych ewentualnymi wynikami sesji nie może się z nimi, może to i lepiej, bliżej zaznajomić, albowiem nie umie czytać, nie posiada radia ani kolorowej TV, a przede wszystkim zajęty jest akcją bezpośrednią, to znaczy ratowaniem resztek ulatującego życia.

Zachód wymyślił „zieloną rewolucję”. Jej autor N. Borlaugh dostał za to nagrodę Nobla. I słusznie, albowiem uprawa nowych odmian zboża czy ryżu przyniosła niewątpliwe wyniki. Ale, po pierwsze, nie tak wspaniałe jak się mówiło. René Dumont, może maniak, na pewno jest jednym z najlepszych agronomów świata. Wykazał on, że triumf Borlaughta w rolnictwie południowej Azji obliczono w porównaniu z latami najgorszych urodzajów (1965-66) a nie z latami przeciętnymi i że ciągle średnie spożycie mieszkańca Indii nie sięga nawet 2/3 spożycia chińskiego, co nie powinno powodować zawrotu głowy od sukcesów. Po drugie, że wprowadzając nowe uprawy i zieloną rewolucję w Indiach czy Brazylii np., Zachód niesłusznie uznał swą misję za zakończoną. Okazało się bowiem, że zielona rewolucja bez odpowiedniej infrastruktury powoduje powstanie nowych milionów zbędnych rąk do pracy. Co robią zbędne ręce? Idą do miasta. A co w mieście? Nie ma miejsca ani pracy, więc oblicza się, że dziś już ok. 500 milionów ludzi vegetuje na granicy zespołów miejskich, w bidonwilach, że będzie ich miliard w 1980 roku, a dwa miliardy w 1990 roku. W ten sposób, proszę państwa, za 15 lat przy obecnym przyroście naturalnym, mieszkańcy miast czytający *Kulturę* otoczeni będą przez dwumiliardowe morze głodu, nędzy i nienawiści. Nie wiem, czy państwo dobrze mnie zrozumieli: dwa miliardy ludzi w bidonwilach to 10 razy więcej niż wynosi ludność Wspólnego Rynku.

Kainowie i Ablowie

Pomoc bogatych braci dla biednych braci miała w zasadzie wynosić 0,7% produktu narodowego brutto. Nie jest to tak strasznie dużo i kraje bogate, gdyby tak postępowały, nie wpadłyby w skrajną nędzę, nie mówiąc już o niewielkich rezerwach ukrytych w budżetach wojskowych. Ale musi chyba być inaczej, skoro mimo najlepszych chęci, pomoc ta nie przekroczy w pięcioleciu 1970-75 granicy 0,34% czyli połowy przewidzianej sumy. Najbardziej złośliwi obliczają, że pomoc ta i tak wraca do ofiarodawców w postaci procentów od kredytów udzielonych normalną drogą. Inni wskazują na ciekawe zjawisko, to mianowicie,

że próg 0,7% osiągnęły jedynie kraje „drugiego rzędu”: Holandia, Norwegia, Szwecja, Belgia i Dania. Wielka Brytania, Japonia i NRF oscylują między 0,38 a 0,45%, a USA, które same dostarczają połowy finansowej pomocy dla trzeciego świata spadły do 0,24% ich dochodu narodowego brutto.

Jeszcze gorszy przykład daje sam tzw. trzeci świat. W Brazylii np. (kraj cudu gospodarczego) produkt narodowy brutto wzrastał o 2,5% rocznie w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Tak, ale część tego dochodu przypadająca na najbogatszych 5% ludności wzrosła z 29 do 38%, podczas kiedy część przypadająca na 40% biednej ludności spadła z 10 do 8%. Rządy większości krajów trzeciego świata, niezdolne do prowadzenia właściwej polityki populacyjnej i stosowania bardziej sprawiedliwego rozdziału dochodu, stosują metodę najłatwiejszą, ale najgorszą w skutkach: niech spekulanci spekulują, niech bogaci się bogacą, a biedni biednieją. Stosują więc model Europy z XIX wieku, zapominając tylko, że w tej Europie nie było tak ogromnego przyrostu ludności no i że kapitalizm, który oni teraz małpują, wówczas był w stanie rozkwitu i dynamizmu.

Są zresztą liczne trzecie światy. Że Zachód europejski albo że Ameryka nie jest skora do wyrzucania pieniędzy dla ratowania czarnych czy żółtych, że syty nie jest zdolny do zrozumienia głodnego, do wypracowania odpowiedniej polityki zapobiegania nieszczęściu, to głupie, ale jakoś po ludzku rozumiały. To jednak, że nie chce, we własnym zakresie, natychmiast interweniować nieludzko bogata naftowa część trzeciego świata to prostu zbrodnicze.

I o co tutaj chodzi? W 1973 roku USA i Australia wyeksportowały 100 milionów ton zboża, co odpowiada rocznemu spożyciu 500 milionów ludzi w trzecim świecie. Dziś po to aby bezpośrednio zagrożeni nie umarli z głodu potrzeba jedynie 1,5 miliona ton. Znajdą się czy nie? Trudno namówić (a jednak się udaje) normalnego Belga na wyciąganie w każdą niedzielę uciulanych franków aby je wrzucić do pudełka z napisem Sahel czy Abisynia, natrętnie nadstawianego przez harcerzyków czy Armię Zbawienia, podczas kiedy szejkiowie, bracia uciskanych w doli, w polityce, oraz w Islamie rozbijają się w rolsach, płasają w haremach, wyrzucają forsy w Miraże. Trudno zaiste przekonać Belga czy Duńczyka, że to on właśnie ma ratować Sahel, że z 80 miliardów dolarów zarobionych extra przez właścicieli nafty można przeznaczyć miliard na jednotygodniowe zużycie broni w Syrii, a nie można znaleźć więcej niż 50 milionów dolarów podrzuconych jak z łaski przez Feisala na uratowanie czarnych braci od głodu, tym bardziej, że dolary te pochodzą właśnie od tych samych Belgów, Duńczyków czy innych. Czy państwo wiedzą ile wynosi udział państw naftowych w pomocy dla pozbawionych tego płynu braci? Mniej niż 1 (słownie jeden) procent całej (nie-wystarczającej) pomocy udzielonej biednym przez bogatych!!!

Sami zwariowani goszyci

No, dość narzekania. Nie chciałem nikogo straszyć, nie byłem kandydatem na prezydenta Francji, nie chcę zbawiać świata, poprzednia próba zakończyła się fatalnie. To powiedziawszy, nie zaszkodziło chyba o tych sprawach sobie porozmawiać, spokojnie, bez demagogii, na zimno. Rozwiązanie problemów świata, to bowiem nie tylko sprawa prezerwatyw i skrobanek, ale także pewnej świadomości społecznej, konkretnej opinii publicznej. Opinia ta jest, a jakże, świadoma. W sierpniu w Bukareszcie, a w listopadzie w Rzymie zbiorą się dwie wszechświatowe konferencje zwołane przez ONZ. Pierwsza na temat przeludnienia, druga — niedożywienia. Przypominam tylko wysokim obradującym stronom, że od dnia dzisiejszego do chwili otwarcia obrad ludzkość zwiększy się o następne... 30 milionów konsumentów.

René Dumont, ciągle do niego wracam, bo to jednak sympatyczny i inteligentny prorok zagłady, powiedział do Francuzów, że nie powinno im chodzić o zmianę polityki społecznej, a o zmianę społeczeństwa. Powiecie państwo — niepoprawny goszycista ten Dumont.

Ale oto pewien osobnik nazwiskiem Mansholt, którym mieliśmy już okazję na tych łamach się zajmować, od kilku lat prowadzi kampanię o „przyrost zero”. Mniejsza o to czy taki przyrost miałby sens, poza tym bowiem ten socjalista, były minister i premier Holandii, były przewodniczący EWG mówi bardzo mądre rzeczy. Ale, przemierzając świat, woła na puszczy.

Jego zdaniem sytuacja dzisiejsza to słaby dreszczyk tylko w porównaniu z co tym nas czeka ok. 1985 roku, czyli dosłownie jutro. Jeżeli ludzkość i spożycie będą nadal rosły w tempie dzisiejszym to za 15 lat zabraknie nafty i gazu oraz żywności, i żadne sesje, polityczne kapitulacje ani handel bronią nowych złóż nie wynajdą. Trzeba obciąć i przyrost naturalny i przyrost spożycia, albowiem przepaść między nędzą a bogactwem rośnie dokładnie wprost proporcjonalnie do przyrostu właśnie. Nie trzeba dodawać, że Mansholt został dość dokładnie obszczekany przez lewicę i prawicę, przez polityków i moralistów, przez kapitalistów i syndykalistów. Dla jednych subwersant i goszycista, dla drugich wróg postępu i przeciwnik idei polepszenia bytu klasy robotniczej. Na pytanie czy jego świat nie byłby jakiś taki smutny, Mansholt odpowiada, że po pierwsze niekoniecznie, bo zależy co kogo bawi, a po drugie, że lepiej świat smutny, ale żywy... Państwo powiedzą, maniak, idź Mansholt do ogródka...

Ale oto wpadła mi w ręce niewielka książeczka pt. „O lepsze życie dla dwóch miliardów ludzi”, pełna liczb i uwag, pokrywających się z tym co myślą Dumont, Malthus i Mansholt, przestrzegająca świat przed samobójstwem z przeludnienia, analfabetyzmu, niedożywienia, nedorozwoju, pełna sloganów żywcem jakby z Rousseau, lub z hippies'ów. Autor nazywa się McNamar-

ra, jest prezesem Banku Światowego, byłym ministrem wojny w rządzie Kennedy'ego. Kończy on swe uwagi westchnieniem: „Należy mieć nadzieję, że jakieś minimum rozsądku jednak rządzi światem”.

Niepoprawny optymista z tego goszysty.

BRUKSELCZYK

Pisane 7 maja 1974 roku

Korespondencja z Rzymu

„Akcja S” (ślubowania) czyli nowa dywersja antykościelna

„Ślubuję uroczyście dochować wierności Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, przestrzegać jej porządku prawnego i nie przedsiębrać niczego co mogłoby zagrażać dobru PRL” — tak brzmi formuła przysięgi składanej przez nowomianowanych biskupów-ordynariuszy i proboszczy w obecności przedstawicieli administracji państwowej (na szczeblu województwa lub powiatu).

Obowiązek „ślubowań” został wprowadzony dekretem o nominacjach kościelnych z 31 grudnia 1956 roku na podstawie porozumienia pomiędzy Kościołem a Państwem z 11 listopada tegoż roku. Należy pamiętać, że porozumienie z 1956 roku (i wydany dekret), zawarte w określonych warunkach politycznych, po przewrocie październikowym i powrocie kard. Wyszyńskiego z przymusowego wygnania, przywróciło Kościołowi prawa pogwałcone w okresie tzw. wypaczeń. Reżym Gomułki cofnął m.in. stalinowski dekret z 9 lutego 1953 roku o obsadzaniu stanowisk kościelnych. Dekret ten dawał władzom państwowym prawo nie tylko do wyrażania zgody lub sprzeciwu na nominacje *wszystkich* stanowisk eklezjastycznych, ale także prawo do usuwania duchownych z tych stanowisk. Dekretem posługiwano się w następnych latach jako głównym narzędziem nacisku i ingerencji w sprawy należące do autonomicznej sfery działalności Kościoła. Był to również instrument służący próbom rozbijania jedności kleru i popierania „księży-patriotów” (przy walnej pomocy PAX-u) Przekreślenie tego dekretu i nowo ustalone przepisy, ograniczające wpływ władz państwowych na nominacje kościelne, wymagały pewnej koncesji ze strony episkopatu. Taka jest geneza obecnych „ślubowań”. Istniały one *nota-bene* w przedwojennym konkordacie pomiędzy Polską a Watykanem zawartym w lutym 1925 roku (wypowiedzianym przez reżym Bieruta w 1945, pomimo za-

strzeżeń ówczesnego wiceministra Spraw Zagranicznych Z. Modzelewskiego).

Art. XI konkordatu stwierdza, że: „porozumiewanie się Stolicy Apostolskiej z Prezydentem Rzeczypospolitej jest wymagane przy mianowaniu arcybiskupów i biskupów diecezjalnych, a nie przy mianowaniu biskupów sufraganów i przy wyborze wikariusza kapitulnego”. Art. XII ustalał natomiast: „Ordynariusze powyżsi, przed objęciem swych czynności, złożą na ręce Prezydenta Rzeczypospolitej przysięgę wierności według brzmienia następującego: Przed Bogiem i Świętą Ewangelią przysięgam i obiecuję, jak przystoi Biskupowi, wierność Rzeczypospolitej Polskiej. Przysięgam i obiecuję, iż z całą lojalnością szanować będę Rząd ustanowiony Konstytucją i że sprawię aby go szanowało moje duchowieństwo. Przysięgam i obiecuję nadto, że nie będę uczestniczył w żadnym porozumieniu, ani nie będę obecny przy żadnych naradach, które by mogły przynieść szkodę Państwu Polskiemu lub porządkowi publicznemu. Nie dozwolę memu duchowieństwu uczestniczyć w takich poczynaniach. Dbając o dobro i interes Państwa, będę się starał o uchylenie od niego wszelkiego niebezpieczeństwa, o którym wiedziałbym, że mu grozi”.

Formuła przysięgi znacznie więc szersza i bardziej wiążąca niż obecnie składana. Powie ktoś: „no dobrze, ale tamten to był legalnie wybrany prezydent wolnego i legitymistycznego państwa... uzgodniono to w konkordacie, czyli umowie międzynarodowej”. Otóż to. Episkopat polski wybrał w 1956 roku mniejsze zło: w zamian za usunięcie przepisów pozwalających na drastyczną ingerencję władz w nominacje kościelne wyraził zgodę na formułę przysięgi nader skromną i zwięzłą, niebudzącą zastrzeżeń natury moralnej i politycznej (ślubowania odbywają się na szczeblach administracji publicznej, a nie aparatu partyjnego czyli właściwego centrum władzy; brak jakiegokolwiek odniesienia do narzuconego na modłę sowiecką ustroju „socjalistycznego”). Episkopat wychodził ponadto z założenia, że tego rodzaju publiczny wyraz lojalności może przyczynić się do stworzenia sprzyjającego klimatu w stosunkach Kościół-Państwo. Po nowym „przełomie” i zmianie warty na szczycie partyjnym w roku 1970 episkopat prawdopodobnie liczył na to samo, mimo doznanego zawodu w okresie popaździernikowym. Przez dwa lata sprawa „ślubowań” nie wywoływała zadrażeń i protestów. Dopiero na jesieni ub.r. partia postanowiła zdyskontować je propagandowo, uruchamiając „Akcję S” (w reżymach komunistycznych kampanie społeczno-gospodarcze podejmowane dla doraźnie określonych celów, nazywa się „akcjami”) jako narzędzie siania zamieszania w opinii publicznej i posługując się nią jako środkiem mającym na celu podważanie zaufania do kierownictwa episkopatu i do Kościoła w ogóle. Radosna wrzawa jaką podniosła prasa krajowa i telewizja wokół „ślubowań” od razu wydała się mocno podejrzana. Uroczystości kościelne o charakterze ogólnonarodowym nie bywają reklamowane, lecz wręcz ignorowane przez środki masowego przekazu, katolickie imprezy kulturalne, myśl i opinie

katolickiej społeczności nie znajdują dostępu do radia i telewizji. Przeciwnie, cenzura nie dopuszcza nawet do druku tekstów przemówień sejmowych członków Koła ZNAK (jeśli to w formie okrojonej), konfiskuje się teksty wystąpień publicznych duchownych i świeckich.

W niektórych województwach urządza się przy okazji „ślubowań” propagandowe zebrania i obfite poczęstunki dla księży, nie notyfikując tych zaplanowanych, uroczystych imprez biskupom-ordynariuszom. *Massmedia* czynią wszystko by wytworzyć w społeczeństwie wrażenie, że poprzez „ślubowania” duchowni podporządkowują się władzom państwowym. Istnieją uzasadnione obawy, że władze zamierzają rozciągnąć „Akcję Ślubowań” na biskupów-sufraganów i prowincjałów zakonów. Na tę dywersyjną akcję zareagował episkopat na konferencji plenarnej z 27 i 28 marca.

Nie wiadomo jak Gierek i jego najbliżsi współpracownicy, odpowiedzialni za sprawy wyznaniowe (wicepremier Tejchma, sekretarz KC Kania, nac. wyd. towarzysza Siemuskiewicz) wyobrażają sobie dalszy tok negocjacji z Watykanem. Forsując widowsko-propagandowy aspekt tzw. ślubowań prawdopodobnie podnoszą cenę przyszłego *modus vivendi*, licząc na „realizm” abp. Casaroli, tzn. na jego ustępliwość i technokratyczne podejście („technokratyzm” abp. Casaroli i niektórych członków delegacji watykańskiej w rokowaniach z rządem brzmi dziś w ustach eksponentów partii jako najwyższej klasy komplement). Pod koniec maja lub w pierwszej połowie czerwca projektowany jest przyjazd do Rzymu delegacji rządowej dla odbycia „roboczego” spotkania w ramach „stałych kontaktów” przewidzianych w komunikacie wydanym po lutowej wizycie delegacji watykańskiej w Warszawie. Sytuacja w kraju jest tymczasem dziś bardziej napięta i gorsza niż przed misją abp. Casaroli (nie tylko zresztą na odcinku kościelnym). Nie brak biskupów i księży w kraju, którzy twierdzą, że przy stole konferencyjnym sprawy wyglądają oczywiście inaczej i negocjatorom watykańskim, nie obeznanym z „tajnikami” — z podszewką krajowych realiów — wydają się one dość proste choć wymagające cierpliwego poszukiwania stosownych formułek prawnych i dyplomatycznych.

Do dywersji antykościelnej wprowadzono ostatnio nowy element: duchownych katolickich z pobratymczych „krajów socjalistycznych”. Delegacja biura zagranicznego episkopatu węgierskiego przybyła do Warszawy w drugiej połowie kwietnia na zaproszenie... PAX-u. Komunikat opublikowany po tej wizycie w prasie paxowskiej reklamuje nawiązanie kontaktów z przedstawicielami Kościoła węgierskiego i zapowiada „współpracę”. Co na to Watykan? Czy będzie znowu milczeć tak jak w roku 1966 podczas uroczystości milenijnych w kraju, kiedy wyszło na jaw, że to nie episkopat polski (o co był oskarżany), ale partia stordedowała przyjazd zaproszonych przez Prymasa Polski delegacji episkopatów czechosłowackiego i węgierskiego? Czescy biskupi protestowali wówczas przeciw atakom *Rude'go Prava* na polski epis-

kopat, węgierscy zaś udali się po dyrektywy do partii (dwa lata przedtem abp Casaroli zawarł w Budapeszcie pierwszy układ w ramach watykańskiej *Ostpolitik*). Watykan natomiast odradził wtedy opublikowanie wyjaśnienia tej sprawy na łamach znanego, katolickiego dziennika *L'Avvenire d'Italia*. Tylko dzięki staraniom polskim fałszerstwo propagandy gomułkowskiej zostało zdemaszkowane w nocie *Il Popolo*, organie włoskiej Democrazia Cristiana. Jest to typowy przykład preferowania przez dyplomację watykańską pół-prawd (lub wręcz ukrywania prawdy), o których słusznie Prymas Polski mówi, że są bliższe kłamstwu niż prawdy! Czy słowa uznania i podziwu wypowiedziane pod adresem polskich biskupów i Kościoła przez dostojnych przedstawicieli Kurii Rzymskiej są tylko czczymi pochwałami, wypranymi z konkretnej treści? Czy funkcjonariusze Rady do Spraw Publicznych Kościoła (watykańskiego min. spraw zagr.) z abp. Casaroli na czele dadzą się wywieść w pole tak jak na Węgrzech, wyrządzając tym samym obiektywną szkodę miejscowemu Kościołowi? Kolejne, kierownicze elity partyjne w PRL nie były i nie są nadal w stanie rozgryźć twardego orzecha, tzn. spoistości episkopatu i duchowieństwa polskiego. Czyżby miało im to udać się przy pomocy Watykanu? Pytania te nie powinny zawiśnąć w próżni.

„Uwaga! Ściśle tajne!”

„Zachowanie tajemnicy jest rzeczą jak najbardziej odpowiadającą naturze ludzkiej; wynika to jasno przede wszystkim z faktu, że jakkolwiek istnieje wiele działań podejmowanych i widocznych na zewnątrz, rodzą się one i ważą w głębokiej skrytości serca i przezornie wychodzą na jaw tylko po długim przemyśleniu”. Nie jest to wstęp do oderwanej od życia dysertacji filozoficznej, lecz do bardziej przyziemnej „instrukcji” watykańskiej dotyczącej tajemnicy urzędowej. Ogłoszona w marcu bież. roku przez kard. Villot, Sekretarza Stanu, przy aprobacie papieskiej, „instrukcja” ta bierze asumpt z przesłanek teologicznych i moralnych: „tym, którzy są przeznaczeni do służby bożej słusznie bywają powierzane sprawy wymagające ukrycia w tajemnicy; są to te sprawy, które w razie rozpowszechnienia lub ujawnienia przedwczesnego czy niestosownego, przeszkadzają budowie Kościoła lub szkodzą dobru wspólnemu...”. Wszyscy muszą podporządkować się normom zawartym w nowej „instrukcji”: kardynałowie, biskupi, duchowni, funkcjonariusze Stolicy Apostolskiej, a w teorii także i wierni.

Co spowodowało, że Sekretariat Stanu ogłosił, a właściwie przypomniał, dyspozycje z roku 1968 dotyczące tzw. tajemnicy papieskiej (*segreto pontificio*)? Zdaniem obserwatorów polityki watykańskiej, właściwy motyw należy upatrywać w niepokoju panującym w niektórych dykasteriach Kurii Rzymskiej, wywołanym stałym przeciekaniem wiadomości i dokumentów nie przeznaczonych do publikacji. W ostatnich latach przecieki te nie-

jednokrotnie stały się źródłem poważnego zakłopotania dla Sekretariatu Stanu. Na przykład tekst encykliki *Humanae Vitae*, Pawła VI przeciw kontroli urodzeń ukazał się na łamach znanego tygodnika amerykańskiego *Time* kilka dni przed oficjalną publikacją; dwa lata temu pewien dziennik włoski antycypował o dwa tygodnie enuncjację papieską *Octogesima adveniens* o kwestii społecznej i stosunkach pomiędzy chrześcijaństwem i marksizmem. W czerwcu ub.r. natomiast zaszedł wypadek, który, aczkolwiek nieprzewidziany przez normy „instrukcji”, należy do kategorii spraw związanych pośrednio z ujawnianiem „tajemnicy papieskiej”, mianowicie żandarmeria watykańska zaarrestowała wówczas kilku pracowników Państwa Watykańskiego pod zarzutem kradzieży pamiątkowych złotych medali, krzyży i innych drogocennych przedmiotów, zrabowanych w różnych gmachach, a nawet w prywatnym apartamencie papieża! W czasie śledztwa wyszło na jaw że pod pokrywką zwykłej kradzieży kryje się grubsza afery podśluchu telefonicznego (jakoby również dotycząca samego papieża). Przez dziesięć miesięcy panowała wokół tej afery kompletna cisza, dopiero w tych dniach podano do wiadomości że pięciu zaarrestowanych (i dwóch żandarmów, współpracowników rabunku), a później wypuszczonych tymczasowo na wolność, dziwnym trafem należało do personelu watykańskiej centrali telefonicznej; adwokat jednego z oskarżonych oświadczył, że proces nabierze szczególnego znaczenia jeśli zostanie potwierdzona „hipoteza zorganizowanej intrygi podśluchu telefonicznego”. Hipotezę tę Watykan energicznie zdementował. Niektóre włoskie organy prasowe donoszą, że wprawdzie nie znaleziono „mikrofonów szpiegowskich, jednakże stwierdzono, że kilka telefonicznych instalacji przekątnikowych uległo „niedozwolonemu naruszeniu”. Proces przeciw siedmiu pracownikom administracji watykańskiej odbędzie się przy drzwiach zamkniętych w połowie maja; będzie to pierwszy proces karny od czasu powstania państwa *Città del Vaticano*.

Do tajemnic służbowych, tj. „sekretów papieskich”, pilnie strzeżonych, zaliczają się również informacje o pociągnięciach dyplomatycznych i ich podłożu, zwłaszcza w ramach polityki wschodniej. Najbardziej drażniące dla Watykanu są w tej dziedzinie przecieki trafiające do prasy zachodnio-niemieckiej, reprezentującej czy też zbliżonej do opozycyjnej CDU. Watykan ma z tą prasą „na pieńku” od dłuższego czasu za uporczywie i często złośliwie podsycanie krytyki i ogłaszanie różnych „rewelacji” mających na celu kompromitowanie watykańskiej *Ostpolitik*. Tak się jednak osobliwie składa, że niektóre autentyczne rewelacje podrzucają lewicowej prasie niemieckiej (popierającej na ogół *Ostpolitik*) same czynniki watykańskie. Na jesieni ub.r. wielką sensację wywołało opublikowanie przez tę prasę listu nuncjusza w NRF, mons. Bafile, który znalazł się w konflikcie z pewnym biskupem niemieckim, a co miało posłużyć do odwołania nuncjusza z Bonn (uchodzi za bardzo sceptycznie ustosunkowanego zarówno do niemieckiej, jak i watykańskiej polityki wschodniej).

Prasa chadecka zarzuciła wówczas Watykanowi, że umożliwiła stronicznie ujawnianie tajemnic, wtrącając się w polityczne rozgrywki wewnątrz NRF. Nuncjusz Bafile zresztą uratował swą pozycję, a jego konflikt z biskupem zakłajstrowano.

Jak się więc okazuje interpretacja tego co stanowi „tajemnicę papieską” może być nie tylko nader rozciągliwa, ale wręcz obosieczna lub dwutorowa (tajemnicami służbowymi też można manipulować!). Obecna „instrukcja” watykańska zmierza do położenia kresu lub przynajmniej do przykrócenia przecieków nieautoryzowanych dokumentów kurialnych i *top-secret* informacji. Kontrola nad obiegiem informacji — zdaniem miarodajnych czynników watykańskich — uległa bowiem w ostatnim czasie znacznemu rozluźnieniu. Przewidziane są różne sankcje (przestroga, zawieszenie lub zwolnienie z piastowanych funkcji) za złamanie „sekretu pontyfikalnego”, które nakładać będzie specjalna komisja.

Z przykręceniem śruby na odcinku krążenia dokumentów i informacji wiąże się pośrednio rewizja kodeksu prawa kanonicznego. Komisja papieska dla rewizji tego kodeksu, powołana w roku 1963, opracowała m.in. rozdział „O wykroczeniach i karach”, przekazany w kwietniu bież. roku 103 konsultorom do wyrażenia opinii przy zobowiązaniu ich do tajemnicy (*sotto il vincolo del segreto*). Kanon 53 kodeksu w nowej wersji stwierdza m.in. (brzmienie projektu), że podlega karze „kto publicznie lub skrycie wzbudza nienawiść do stolicy apostolskiej lub do biskupa”. Za wykroczenie to kodeks przewiduje „słuszną karę”, ustalaną zależnie do okoliczności przez danego biskupa-ordynariusza w porozumieniu ze Stolicą Apostolską. Tenże sam kanon nakłada karę interdykcji (tzn. zakazu dostępu do miejsc sakralnych) na tego „kto nakłania podległych sobie do nieposłuszeństwa”. Przewidziane są różne stopnie „kar pokutniczych” aż do zawieszenia *ab divinis* (nałożono ostatnio tę sankcję na kilku duchownych za wypowiedzenie się na rzecz utrzymania w mocy ustawy rozwodowej wprowadzonej przez parlament włoski, a której abrogowanie było przedmiotem referendum 12 maja bież. roku). Zachowana została w mocy w nowym kodeksie najsurowsza kara: ekskomunika *latae sententiae* (tj. automatyczna, zarezerwowana dla stolicy apostolskiej i odwoływalna jedynie przez papieża). Zdaniem obserwatorów watykańskich nowe normy kodeksu, jak na przykład kanon 53, uderzają w *dissenso* (dosłownie „różnica poglądów”, czyli kontestacja), tzn. w opozycję w łonie Kościoła, zarówno wśród duchownych jak i świeckich. Kontrowersyjne poglądy, nie mówiąc o radykalnym odstępstwie od oficjalnego stanowiska Stolicy Apostolskiej, podlegać będą w jeszcze większym stopniu niż dotychczas rygorom nowego kodeksu. Prace nad reformą prawa kanonicznego prowadzone przez komisję pod przewodnictwem kard. Felici, uważanego za jednego z czołowych prawników kościelnych, ciągną się jednak od ośmiu lat i mówi się o tym, że mają potrwać do 1980 roku. Podobnie jak *Lex fundamentalis*, rodzaj ustawy konstytucyjnej Kościoła, uchwalonej

z inicjatywy Pawła VI (a kontestowanej przez niektórych kardynałów), tak i pewne normy (w projektowanej wersji) nowego kodeksu kanonicznego budzą (wyptywające z *Lex fundamentalis*) zastrzeżenia w katolickich środowiskach naukowych, teologicznych i prawniczych). Zdaniem prof. G. Alberigo, kierownika katedry historii kościelnej na uniwersytecie we Florencji, „jedynym prawem jakim Kościół winien rządzić się jest Ewangelia”.

Fałszywy alarm

3 maja redakcje dzienników i agencji rzymskich, a także niektóre ambasady przy Stolicy Świętej przeżywały chwile wielkiego napięcia. Krótka wiadomość „Umarł Papież” wyszła z biura prasowego centrali policji. Ten pierwszy sygnał przekazany do wszystkich newralgicznych ośrodków wywołał stan alarmowy, który trwał aż do późnych godzin wieczornych kiedy wiadomość zdemontował sam substytut Sekretarza Stanu, mons. Giovanni Benelli (rzecznika prasowego nie można było znaleźć). 4 maja rzecznik prasowy Watykanu prof. Federico Alessandrini zaprzeczył „pogłoskom rozeszłym się wczoraj o zawale serca, jakiemu rzekomo uległ Papież, na skutek czego jego życie miałyby znaleźć się w niebezpieczeństwie. Są to pogłoski tendencyjnie fałszywe, niegodne rzetelnej informacji”. Fałszywy alarm (nikt nie jest w stanie dziś dociec jak doń doszło) natrafił na podatny grunt: od kilku miesięcy bowiem krążą coraz bardziej uporczywe wieści na temat „tajemniczej choroby” Pawła VI. Coraz częściej komunikaty zapowiadają że z powodu „przemęczenia” lub „stanu grypowego” zmuszony jest ograniczać program zajęć (telewizja unika od pewnego czasu „pierwszych planów”). „Wygląda bardzo zmęczony, postarzały, coś go trawi” — mówią ci co mieli sposobność ostatnio z bliska go oglądać. Od dwóch tygodni kilka najpoczytniejszych tygodników włoskich zaczęło druk materiałów dotyczących „cichej walki o sukcesję” jaka się rozpoczęła. Snuje się różne analizy na temat układu tendencji na *conclave* gdyby miało doń dojść w najbliższym czasie. Wśród kandydatów włoskich prognostyki wysuwają na czoło dwa nazwiska: kard. Sergio Pignedoli, b. dyplomata, prefekta sekretariatu dla wyznań niechrześcijańskich oraz kard. Michele Pellegrino, arcybiskupa Turynu, uchodzącego za przedstawiciela nurtu progresywnego. Wśród *papabili* niewłoskich najczęściej powtarza się kandydatura kard. Franza Koeniga, Prymasa Austrii i prefekta watykańskiego sekretariatu dla niewierzących, dalej kard. Gabriel Marie Garrone (Francuz), prefekta kongregacji wychowania (dawniej: seminariów), kard. Léon Etienne Duval, arcybiskupa Algieru i kard. Leo Suenens, Prymasa Belgii. Jest rzeczą znaną, że wobec internacjonalizacji kolegium kardynalskiego przez Jana XXIII i Pawła VI, wzrosły znacznie szanse wyboru papieża nie Włocha. Wszelkie dzisiejsze prognostyki mają sens tylko w razie gdyby Paweł VI nie zdołał przeprowadzić reformy *conclave*, która polega na wprowadze-

niu doń przedstawicieli krajowych konferencji biskupów (104) plus 15 kardynałów kurialnych, kierujących poszczególnymi kongregacjami i dykasteriami. Projekt tej reformy napotyka jednak na duże opory w Kurii Rzymskiej. W stosunku do tradycyjnego *conclave*, w którym przygniatającą przewagę posiadają kardynałowie europejscy i północno-amerykańscy — w *conclave* zreformowanym nastąpiłoby odwrócenie sytuacji (konferencje biskupie Afryki i Azji uzyskałyby większość).

Dominik MORAWSKI

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

„Nasze gazety są robione inaczej, niż gazety na Zachodzie” — oświadczył naczelny redaktor *Prawdy*, Michaił Zimianin, korespondentem zachodnoniemieckiego pisma *Der Spiegel*. I każdy czytelnik, któremu uda się przeczytać nie tylko sowiecką gazetę, ale jednocześnie jakiegokolwiek pismo zachodnie, przyznaje rację Zimianinowi. sowieckie gazety „są robione inaczej”. W końcu kwietnia br. upadła najstarsza dyktatura Zachodniej Europy, rozpoczęła się agonía ostatniego zachodnioeuropejskiego kolonialnego imperium. Jeśli będziemy szukali w prasie sowieckiej informacji o przewrocie w Portugalii to dowiemy się, że gniew mas ludu zgniótł dyktaturę, że partia komunistyczna była natchnieniem przewrotu.

Informacje o wydarzeniach w Portugalii przesiewa się w ten sposób, by u czytelnika nie powstawały niepotrzebne i szkodliwe skojarzenia. A takie skojarzenia same się nasuwają. Rozpadła się — jak domek z kart — dyktatura, istniejąca prawie pół wieku, ściśnięta pięścią tajnej policji politycznej, dopuszczająca jedynie jedną partię, rządzącą na podstawie konstytucji stworzonej przez Salazara w 1932 roku, tj. cztery lata przed konstytucją stalinowską. Łańcuch nieproszonych asocjacji jest jeszcze dłuższy: wybuch spowodowała książka generała Spinali „Portugalia i jej przyszłość”, wyrażająca niezadowolenie armii, która od trzynastu lat prowadzi niepopularną wojnę kolonialną. Jak to się już nieraz zdarzało w historii, generał poparty przez wojsko, obalił reżym dyktatorski. Nawet bez przelewu krwi.

I ostatnia analogia, której nie chcą ujawniać sowieckie pisma: przewrót w Lizbonie w kwietniu 1974 roku zdumiewająco przypomina przewrót w Petersburgu w lutym 1917 roku. Do tego stopnia, że przybyły do Lizbony z Pragi leader komunistyczny, Alvaro Cunial, zwrócił się z powitalnym przemówieniem do wolnych obywateli Portugalii, stojąc na czołgu.

Portugalia to kraj daleki, ze Związkiem sowieckim — jak

dotąd — mało związany, tym niemniej obalenie dyktatury, to jednak sprawa podejrzana. Dlatego łatwo zrozumieć powściągliwość prasy sowieckiej. Ale oto podaje się do dymisji kanclerz NRF, Willy Brandt — ojciec nowej polityki wschodniej, niezmorowany bojownik o odprężenie. Podaje się do dymisji zaraz potem, jak wśród jego sekretarzy został zdemaskowany wschodnoniemiecki szpieg, Günther Guillaume, który po swoim zaarrestowaniu oświadczył dumnie, że jest majorem bezpieczeństwa NRD i że wypełnił polecenia partii i rządu.

Prasa sowiecka przez dobę milczała. Później *Prawda* na 5-jej stronie opublikowała krótki komunikat TASS, cytujący oświadczenie niemieckiej partii socjal-demokratycznej, że Willy Brandt stał się ofiarą „oszczerczej kampanii, prowadzonej w ostatnim czasie przeciwko niemu przez opozycję”. W oświadczeniu SPD była co prawda wspomniana sprawa Guillaume’a, ale to, dla wygody czytelników, TASS wyrzucił. Z artykułu korespondenta *Prawdy* w Bonn, zamieszczonym w dwa dni później, można się było dowiedzieć, że NRF przeżywa w chwili obecnej „wyjątkowo trudny i ważny okres”, a ostatnie wydarzenia tj. dymisja Brandta zostały spowodowane „przez przeciwników odprężenia i wrogów umów zawartych przez rząd Willy Brandta z krajami Europy Wschodniej”.

Mija tydzień od chwili odejścia kanclerza NRF, a *Komsomolska Prawda* zamieszcza artykuł swego korespondenta w Bonn, który dokonuje prawdziwie cyrkowej sztuki, by nie powiedzieć o co chodzi: „Powodem (dymisji) jest nie tylko niebywale wzmożony i sprzeczny proces ekonomicznego i politycznego rozwoju NRF. Te obiektywne problemy komplikują się przez sztucznie rozdmuchiwane zagadnienia. I właśnie wobec tych ostatnich, opozycja zorganizowała krzykliwość i nieprzyzwoitą kampanię”.

Prasa zachodnia, która — wydawałoby się — nie jest jeszcze podporządkowana redaktorowi *Prawdy*, pisze o sprawie Guillaume’a bardzo dużo. Ale w tej masie artykułów, komentarzy i wzmianek uderza określony, wspólny punkt widzenia. Zachodni dziennikarze szukają winowajców odejścia Brandta wśród jego politycznych wrogów, wśród jego politycznych przyjaciół, a najbardziej wreszcie odważni pozwalają sobie na nieśmiałe wyrzuty w stosunku do tajnej policji wschodnoniemieckiej — STASI. Nigdzie jednak nie spotkałem nazwisk tych, którzy „operację Günther Guillaume” zaaprobowali na najwyższym szczeblu, to jest nazwisk Jurija Andropowa, szefa KGB ZSSR i Leonida Breżniewa, generalnego sekretarza KC KPZS.

Niewątpliwie nie ma najmniejszej wątpliwości, że polityczni przeciwnicy Brandta chcą wykorzystać powstałą sytuację, niewątpliwie jest co najmniej dziwne zachowanie się zachodnoniemieckiego kontrwywiadu, który przekonał kanclerza, by przez 10 miesięcy tolerował przy sobie zdemaskowanego szpiega. Ale jak by tam nie było, to nie chrześcijańscy demokraci i nie zachodnoniemiecki kontrwywiad dał Guillaume zlecenie przeniknięcia do kancelarii Brandta. Dziś wystarczająco dużo już wiemy o

strukturze KGB, i metodach jej pracy, by nie wątpić, że decyzja o zakresie działalności Guillaume'a została podjęta w Moskwie, na najwyższym szczeblu. Niemcy Zachodnie uważane są od dawna za raj dla sowieckich szpiegów. Niemało było skandali przy Adenauerze i Erhardcie. Ale „sprawa Guillaume” ma inny charakter. Sowiecki (powiedzmy wschodniemiecki) szpieg był przystawiony do człowieka, którego polityka — zdawałoby się — całkowicie zadawała Breżniewa. Należy wykluczyć hipotezę o antybreżniewowskiej akcji KGB. Jurij Andropow jest najwierniejszym z wiernych towarzyszy broni Breżniewa. Można przypuszczać, że kierownictwo sowieckie uważało Brandta za tak związanego swoją „wschodnią polityką”, że nie przewidziało możliwości jego dymisji, licząc że ryzyko skandalu, związanego z odkryciem roli Guillaume'a jest niewielkie, a korzyść niewątpliwa.

Mniej więcej w tym duchu rozumuje *Neues Deutschland*, centralny organ wschodniemieckiej kompartii. W numerze z 2 maja bież. roku czytamy: „Istnienie organów wywiadowczych w NRF i NRD, których cele są zasadniczo różne, w niczym nie zmienia warunków tworzących podstawę stosunków między tymi obu państwami”. W tym przyznaniu specjalnie interesująco brzmi stwierdzenie o „zasadniczo różnych celach” organów wywiadowczych „u nich” i „u nas”. Wątpliwe by autor artykułu w *Neues Deutschland* znał powieść wybitnego pisarza rosyjskiego Jewgienija Zamiatina pt. „My”, napisaną w 1920 roku. Powieść ta w NRD — jak zresztą i w innych socjalistycznych krajach — jest zakazana. Przeszło pół wieku temu Zamiatin, pisząc o przyszłym, jedynym państwie, mówił o logice tego państwa: „Konwalia pachnie przyjemnie: tak. Ale nie możecie przecież powiedzieć o zapachu, o samym pojęciu „zapach”, czy to jest dobre czy złe... Jest zapach konwalii i jest obrzydliwy zapach blekotu: i to i to jest zapachem. W danym państwie istnieli szpiegowie — i są szpiegowie i u nas... ale przecież jest jasne: tam szpieg — to blekot, a tu — konwalia”.

W myśl tej logiki *Neues Deutschland* uznała Günthera Guillaume'a za konwalię. W jedynym państwie może to być normalne. Dziwne jednak wydaje się tylko to, że i prasa zachodnia pogodziła się z tą szpiegowsko-botaniczną klasyfikacją. Jak to się mówi — odprężenie obowiązuje.



W bezklasowym sowieckim społeczeństwie od dawna istnieją sklepy, hotele, szpitale dla tych co są przy władzy, a także dla bogatych cudzoziemców, przyjeżdżających z dewizami. Szereg lat temu utworzono specjalną agencję wydawniczą, nazwaną *Nowosti* (APN), która zajmuje się rozpowszechnianiem informacji, przeznaczonych dla cudzoziemców. Tak jak sowiecki obywatel nie może wejść do sklepu „Bieriozka”, gdzie towary są sprzedawane za dolary, tak samo nie może wiedzieć czym APN karmi cudzoziemców. Jest tylko jedna różnica między „Bieriozka” a

APN — w sklepie można kupić — co prawda drogo płacąc — produkty żywnościowe i zabawne pamiątki, APN zaś sprzedaje zawsze zatrutą, kłamliwą informację. I jeszcze jedna różnica — obywatele polscy, bawiący w Moskwie, w „Bieriozce” niczego nie mogą kupić — to nie ta waluta. Ale coś niecoś mogą dostać z kuchni APN. Tygodnik *Prawo i Życie* (nr 17/498) opublikował na swych gościnnych łamach komentarz pierwszego zastępcy ministra Sprawiedliwości ZSSR, Aleksandra Sucharewa, z okazji pozbawienia Aleksandra Sołżenicyna obywatelstwa sowieckiego. Obywatelom sowieckim wystarczyło kilka słów dekretu, cudzoziemcom jednak zdecydowano dać uczony komentarz dyplomowanego prawnika. Przede wszystkim wiceminister sowieckiej sprawiedliwości informuje cudzoziemców o niezwyklej zaletach ustawodawstwa sowieckiego. W USA — jak się okazuje — „niezbędnym warunkiem otrzymania obywatelstwa jest pięcioletni okres pobytu w kraju, znajomość języka angielskiego, niejasny wymóg zdrowia moralnego. Bardzo skomplikowana jest procedura związana ze „sprawdzeniem lojalności”. A w Związku Sowieckim tego wszystkiego nie ma — ludzie sowieccy, w przeciwieństwie do Amerykanów, otrzymują sowieckie obywatelstwo, z chwilą urodzenia. Prawda, że sowieckie ustawodawstwo przewiduje pozbawienie obywatelstwa ZSSR jako sankcję karną. Była ona stosowana — wspomina wiceminister — w „pierwszych latach istnienia Związku Sowieckiego”, a w szczególności „został wydalony z terytorium ZSSR nieubłagany wróg władzy sowieckiej, Lew Trocki”. Jak wiadomo Lew Trocki został wydalony w 1929 roku, tj. 12 lat po rewolucji, a nie w „pierwszych latach”. Za to w „pierwszych latach” — w 1922 roku — wydalono ponad 300-tu najwybitniejszych uczonych, prawników, pisarzy. Kończąc krótki „historyczny przegląd” ustawodawstwa słowami: „Później, po ostatecznym zwycięstwie socjalizmu, ten rodzaj kary był stosowany niezmiernie rzadko” (należałoby powiedzieć — nigdy, bo po „ostatecznym zwycięstwie” przestano wydalać za granicę, a zaczęto bezpośrednio likwidować) — sowiecki prawnik przystępuje do wylczenia oskarżeń pod adresem laureata Nagrody Nobla. I tu przejawia taką samą odwagę w operowaniu faktami, jak i w części historycznej. „W ciągu wielu lat — oświadcza wiceminister — Sołżenicyn nadużywał humanitaryzmu, który przejawiały wobec niego organy państwowe i społeczne...”. Jak wiadomo Sołżenicyna nie drukowano, nie pozwolono mu mieszkać w Moskwie, konfiskowano rękopisy, aresztowano jego przyjaciół. W rzeczywistości „humanitaryzm” sowieckich organów sprowadzał się do tego, że Sołżenicyna „w ciągu wielu lat nie aresztowano”. Tym humanitaryzmem szczyli się przed całym światem wiceminister sowieckiej sprawiedliwości. Nadzieja Mandelsztam wspomina, że gdy zimą 1937 roku Osip Mandelsztam przeczytał w gazetach, że Jagoda przekształcił sowieckie łagry w sanatoria, to powiedział: „Nie wiedziałem, że wszyscy byliśmy w łapach humanistów”. Możliwe, że i Sołżenicyn nie wiedział, że przez „wiele lat” był w łapach humanistów.

Ale — kontynuuje wiceminister — cierpliwość się wyczerpała, zdecydowano zastosować sankcje. I znów strażnik sowieckiego prawa nie wiąże końca z końcem. Oświadcza: „Sołżenicyn systematycznie prowadził podżegającą, oszczerczą propagandę, która miała na celu dyskredytowanie i zachwianie sowieckiego ustroju państwowego, polityki zagranicznej ZSSR i rządu sowieckiego”. Oskarżenie to zostało oparte o kodeks karny, gdzie w §70-ym istnieje sformułowanie „Antysowiecka agitacja i propaganda”. Artykuł ten zaopatrzony jest sankcją karną pozbawienia wolności od 6 miesięcy do 7-miu lat. Zresztą sowiecki prawnik, oskarżając Sołżenicyna na podstawie §70-go, domaga się dla niego kary z §64-go „Zdrada ojczyzny”, przewidującego już pozbawienie wolności od 10-15 lat, lub karę śmierci. Ale, mimo to, przywódcy sowieccy jeszcze raz okazali swój humanitaryzm. „Zaden rząd suwerennego państwa — zapewnia wiceminister — nie mógłby obojętnie przyglądać się podobnym postępkom swego obywatela”. Aleksander Sucharew demonstruje również znakomitą znajomość i prawa międzynarodowego. Okazuje się, że i w USA i we Włoszech i w NRF — wszędzie można wydalic z kraju człowieka, który popełniał przestępstwa, takie jakich dopuścił się Sołżenicyn. Sowiecki wiceminister zapewnia swych zachodnich czytelników, że wszyscy postępują tak jak kraj zwycięskiego socjalizmu, a nawet gorzej „wydalając poszczególne jednostki i całe grupy osób za ich wystąpienia przeciw rasowej i narodowej dyskryminacji, a nawet za działalność w obronie pokoju”. W swoim pragnieniu by ostatecznie oszołomic czytelników sowieckim humanitaryzmem, wiceminister posuwa się tak daleko, że cytuje artykuł XXIX zakazanej w ZSSR Deklaracji Praw Człowieka. I — jak należałoby się spodziewać — cytuje go z opuszczeniami. „Każdy człowiek ma obowiązki wobec społeczeństwa” — cytuje. A w Deklaracji Praw Człowieka jest dalszy ciąg zdania: „wobec społeczeństwa, w którym jest możliwy swobodny i pełny rozwój jego osobowości”. Nawet z Deklaracji Praw Człowieka sowiecki wiceminister cytuje jedynie te fragmenty, które dotyczą praw społeczeństwa i państwa.

W rozpowszechnianym w Samizdacie liście jednego z więźniów mordwińskich łagrów jest napisane, że gdy przypomniał on naczelnikowi łagru o Deklaracji Praw Człowieka, ten przede wszystkim zainteresował się skąd więzień dostał zakazany tekst, a potem pobłażliwie — humanista! — wyjaśnił: „Ależ to przecież tylko dla Murzynów”.

Widocznie do tej kategorii *Nowosti* zaliczyły *Prawo i Życie*, jego redakcję i czytelników.



Wielokrotnie obowiązek sprawozdawczy wymagał odnotowywania rocznic, jubileuszy, zwykłych radosnych świąt, którym codziennie sowieckie pisma i gazety poświęcają miliony słów. Dziś po raz pierwszy muszę napisać o święcie, którego nie będzie.

Równo 250 lat temu, 14 maja 1724 roku, Piotr I podpisał dekret o stworzeniu w Rosji Akademii Nauk. Cały naród sowiecki już od szeregu lat przygotowywał się do uczczenia tej wielkiej rocznicy. Na obchody zostali zaproszeni liczni goście ze wszystkich krajów świata. Goście nabyli już bilety do Moskwy, zakupili prezenty i otrzymali wize. I nagle — na dwa tygodnie przed świętem rosyjskich uczonych — zagraniczni goście otrzymali z sekretariatu Akademii Nauk ZSSR listy, w których przyniesi są by się nie fatywali i nie przyjeżdżali na obchody, gdyż ich nie będzie — zostały odwołane.

Należy przypuszczać, że rozporządzenie o odwołaniu obchodów 250-tej rocznicy założenia Akademii zostało wydane w takim pośpiechu, że nie było czasu na wymyślenie jakiegoś prawdopodobnego pretekstu. Zagranicznym uczonym wyjaśniono w listach, że ponieważ 16 czerwca odbędą się wybory do Rady Najwyższej, to 14 maja nie można obchodzić jubileuszu Akademii. Ci z zagranicznych uczonych, którzy mają do czynienia z cyframi łatwo mogą obliczyć, że data założenia Akademii jest znana od 250-ciu lat, a wybory do Rady Najwyższej odbywają się raz na 4 lata, a więc coś tu nie tak...

Można założyć, że święto zostało odwołane z innych powodów. W ostatnich czasach władze sowieckie mają coraz więcej powodów do niezadowolenia z niektórych swoich uczonych (wystarczy wymienić tu akademika Sacharowa), którzy nie chcą być robotami, wykonującymi polecenia partii i rządu i domagają się choćby wolności badań naukowych. Dobrze wiadomo, że w Związku Sowieckim „nie ma ludzi niezastąpionych” i że można było rozprawić się z krnąbrnymi uczonymi wiadomymi metodami. Powstało jednak zjawisko, które bardziej nastraszyło przywódców sowieckich niż krnąbrność uczonych: mianowicie poczucie solidarności uczonych. Powstało ono również i w sowieckich kręgach akademickich. Akademia Nauk odmawia wykluczenia Andrieja Sacharowa i Wieniamina Lewicza. W okresie kampanii prasowej przeciwko Sacharowowi przyłączyło się do zaszczuwania wielkiego uczonego około 25 % akademików — to nie jest mało, ale to daleko nie wszyscy członkowie Akademii. Ponadto okazało się, że uczeni całego świata poczuli się solidarni ze swymi sowieckimi kolegami. W sierpniu ub. roku Amerykańska Akademia Nauk zagroziła sowieckim władzom sankcjami w wypadku aresztowania Andrieja Sacharowa. W kwietniu bież. roku ponad 80-ciu wybitnych francuskich uczonych wysłało depezę do Breżniewa wyrażając niepokój w związku z przesładowaniem w ZSSR niektórych uczonych. Brytyjski Królewski College psychiatrów uchwalił rezolucję „potępiającą powszechne wykorzystywanie w Związku Sowieckim psychiatrii w celach represji politycznych i działalność lekarzy, którzy pozwalają wykorzystywać się do tych celów”.

Ostatnim dzwonkiem, który przekonał przywódców sowieckich o szkodliwości zebrania wielkiej ilości zagranicznych uczonych na sowieckiej ziemi było wystąpienie Edwarda Kennedy na uni-

wersytecie w Moskwie. W wyniku różnych kombinacji politycznych, senator z Massachusetts został przyjęty w Moskwie z otwartymi ramionami. Dostał on całkowicie dotąd nieznanego zaszczytu — pozwolono mu wystąpić w MGU. Co prawda zebrani w audytorium studenci byli w przeważającej większości studentami ze szkół KGB, a pozostali po prostu funkcjonariuszami KGB w cywilu, ale i ich zafrapowały słowa niewdzięcznego Amerykanina. Edward Kennedy zwrócił się np. do słuchaczy zapytaniem: „Czy myślicie, że wydatki na obronę Związku Sowieckiego trzeba zwiększyć, czy zmniejszyć?”. Pytanie to wydało się przewodniczącemu zebrania tak dziwaczne, że oświadczył: gość nasz poczuł się źle i dlatego zebranie uważam za zamknięte. Gość próbował protestować, oświadczając że czuje się znakomicie. Ale przewodniczący wiedział lepiej kto i jak się czuje. Zebranie zostało zamknięte, a w szereg dni później zamknięto i jubileusz Akademii Nauk, tym bardziej że rozpoczęły się represje wobec przyjaciół Aleksandra Sołżenicyna. Został np. usunięty z Leningradzkiego Instytutu Pedagogicznego, po 23-ach latach pracy, znany historyk literatury, prof. Efim Etkind. Można oczekiwać kontynuacji tej kampanii*. Lepiej więc te rzeczy robić bez świadków. A do tego wszystkiego, na 17-ym zjeździe Kommołu, w kwietniu bież. roku, Leonid Breżniew specjalnie przestrzegł przed niebezpieczeństwem „wpływów zagranicznych”.



Na jednym odcinku — i tego nikt nie może zakwestionować — literatura sowiecka wyprzedza inne literatury świata: mianowicie w ilości orderów i medali przypadających na jednego „wybitnego pisarza sowieckiego”. Ale widocznie i ta ilość okazała się niewystarczająca. 27 marca bież. roku na pierwszej stronie *Litieraturnoj Gaziety* ukazała się decyzja Rady Ministrów ZSSR o stworzeniu jeszcze jednego medalu dla uczczenia „wybitnego pisarza sowieckiego”, medalu im. Aleksandra Fadiejewa. Żeby zasłużyć na ten medal należy tworzyć dzieła „odzwierciedlające bohaterskie osiągnięcia narodu sowieckiego — obrońcy swej socjalistycznej ojczyzny”. Nie ma powodu do niepokoju — takie utwory będą powstawały, medalistów będzie wielu. Zwraca na siebie uwagę co innego: nazwisko pisarza, pamięć którego zdecydowano „uwiecznić” medalem. Aleksander Fadiejew przez 30 lat kierował sowieckimi organizacjami pisarskimi, był „gospodarzem” literatury sowieckiej. Przez cały ten okres napisał dwie książki: w 1927 roku „Razgrom” i w 1945 roku „Maładuju Gwardiu” (którą na skutek odgórnej decyzji trzeba było w 1951 roku przerobić, gdyż w pierwszej wersji „niewystarczająco pokazano kierownictwo partyjne patriotycznym podziemiem”). W 1956 roku, gdy zaczęli wracać z łagrów niektórzy pisarze, na których aresz-

* 15 maja bież. roku radio francuskie powiadomiło o skazaniu Superfina na 5 lat łagru i 2 lata przymusowego osiedlenia.

towanie zgodę podpisywał „gospodarz” Fadiejew, gdy upadł Stalin, do którego autor „Rozgromu” modlił się przez całe życie — Fadiejew się zastrzelił. Jak powiedziano w *Litieraturnoj Encyklopedii*: „W stanie duchowej depresji zakończył życie samobójstwem”.

Świetny portret Fadiejewa dał w książce „Nowoje naznaczenie” Aleksander Bek, przedstawiając kierownika pisarzy sowieckich pod nazwiskiem Pyżowa. „Niespokojna ambicja Pyżowa (sam w momentach pogardy, lub być może rozpaczy, przeklinał tę swoją fatalną słabostkę) obejmowała — używając terminologii tej epoki — cały front sztuk. Pisarz za wszelką cenę chciał przodować, prowadzić za sobą wszystkie artystyczne talenty kraju. Prowadzić za sobą... To dla Pyżowa oznaczało: ze splendorem, z bojowym przekonaniem udawadniać, bronić, wyjaśniać punkt widzenia partii, albo to co uchodziło za identyczne — wymagania, oceny Stalina. Jeszcze w latach 20-tych... uwierzywszy w Stalina... nigdy, ani w wielkich ani w małych rzeczach nie zdradził Stalina. Co niekiedy zmuszało do pójścia na kompromis z sumieniem, gdyż — jak wiadomo — groźny gospodarz nie odznaczał się subtelnym smakiem...”.

Te zalety, którymi do swego samobójstwa odznaczał się Fadiejew, będą niewątpliwie wymagane od laureatów medalu jego imienia.

Pierwsze złote medale Fadiejewa zostały wręczone M. Szołochowowi, od dawna już skazanemu na twórczą bezpłodność, i A. Surkowowi, który — jak pisze Nadieżda Mandelsztam — powiedział kiedyś: „Niewątpliwie rozumiem, że Sołżenicyn jest wielkim pisarzem, no ale jeśli wróg się nie poddaje, to go się niszczy” (za te doskonałe, lotne słowa mogliby dzisiaj dać medal Fadiejewa i — pośmiertnie — M. Gorkiemu). Dwa srebrne medale otrzymali redaktorzy pism: Anatolij Ananiew, który zastąpił zmarłego Koczetowa na stanowisku redaktora naczelnego *Oktiabria* i Wiktor Kondratienko, który kieruje kijowską *Radugą*.

Adam KRUCZEK

Kronika czeska i słowacka

Międzynarodowe sympozjum pisarzy krajów socjalistycznych

W marcu tego roku w Pradze odbyło się międzynarodowe sympozjum przedstawicieli związków pisarzy z krajów Europy Wschodniej, Związku Sowieckiego, Mongolii, Północnego Wietnamu, Kuby. Nie zamierzam tutaj referować całego spotkania, jedynie kilka jego aspektów. Sam fakt, że sympozjum odbyło się w Pradze wskazuje na „normalizację” na odcinku litera-

tury (oczywiście w sensie organizacyjnym, nie twórczości literackiej) u naszego południowego sąsiada. Świadczy o tym zagajenie Jana Kozaka, który z racji zajmowanego stanowiska: przewodniczącego Związku Pisarzy Czeskich oraz Czechosłowackiego Komitetu Związków Pisarzy (organu koordynującego prace związków pisarzy w Czechach i Słowacji — jak widzi my nadbudowa już działa) wezwał braci pisarską do doskonalenia swego dzieła przez wzmocnienie ładunku ideologicznego tudzież do zacieśnienia współpracy pomiędzy organizacjami pisarzy poszczególnych krajów. Współpracę tę widzi Kozak w postaci utworzenia międzynarodowego organu, którego zadaniem byłoby czuwanie, by dzieła „najbardziej wartościowe” mogły się szybko ukazywać we wszystkich krajach wspólnoty. Innymi słowy, chodzi o utworzenie organu oznaczającego integrację w dziedzinie ideologii, „wspólną broń ideologiczną”. Przyznać trzeba, że Kozak dobrze się nadaje do przedstawienia podobnych propozycji, bowiem jako aktywny „antyrewizjonista” skutecznie tępi wszelkie odchylenia natury ideologicznej wśród swych kolegów. On to uważa za stosowne mówić o „zdradzie” popełnionej przez „dobre płatnych literackich własowców”, czyli Solženicyna i Pavla Kohouta.

Propozycja Kozaka, poparta przez niektórych innych delegatów, spotkała się z zastrzeżeniami ze strony delegacji polskiej (Putrament). Wprawdzie było oczywiste, że zastrzeżenia te są natury politycznej — nie można przecież pominąć takich momentów, jak różnice w „etapach” pomiędzy poszczególnymi krajami — ale wolał Putrament posłużyć się argumentami ekonomicznymi w szczególności niedostateczną wydajnością przemysłu poligraficznego. Należy zatem odnotować, iż na tym odcinku brak całkowitej zgody.

O zadaniach własnej literatury wypowiedział się Kozak w artykule opublikowanym w dzienniku *Rude Pravo*. Tu nawołuje on do powrotu do wypróbowanej metody socrealizmu z wszystkimi wynikającymi stąd konsekwencjami, potępia zarazem tych pisarzy, którzy nie zerwali z „potępionymi”.

Nowa Encyklopedia czechosłowacka

Institut Encyklopedyczny Czechosłowackiej Akademii Nauk prowadzi pracę nad wydaniem nowej 12-tomowej encyklopedii powszechnej. Zgodnie z założeniami ma to być „marksistowskie dzieło” przypominające inne „wielkie” encyklopedie krajów socjalistycznych, przede wszystkim zaś BSE. Planowane jest również wydanie 6-tomowej encyklopedii słowackiej (wielki brat jest na etapie wydawania encyklopedii republikańskich). Nie wspomniano, kiedy ukazać się pierwsze tomy owego dzieła.

Karol SZWEDOWICZ

Słowacja

Słowacy na Zachodzie, podobnie jak inne grupy etniczne czy mniejszościowe, mają organizacje lokalne, krajowe, a równocześnie — tym się różnią np. od Polaków, że posiadają organizację o charakterze światowym: Światowy Kongres Słowaków. Prezesem jej jest Stephen B. Roman, kanadyjski multimilioner, wiejski chłopak, który w 16 roku życia — na krótko przed ostatnią wojną światową — przybył do Kanady. Odgrywa on bardzo wielką rolę w życiu gospodarczym kraju.

Największe skupienie słowackie znajduje się w USA. Przyuszczalnie ściślej byłoby powiedzieć „osób pochodzenia słowackiego”, gdyż przytłaczająca większość, to ludzie urodzeni i wychowani w USA. Niewątpliwie jednak powojenny przyrwył elementu inteligentnego przyczynił się znakomicie do wzmocnienia świadomości, jeśli nie narodowej, to kulturowej, wśród potomków imigrantów słowackich.

W czerwcu 1971 roku odbyła się w Toronto konferencja Światowego Kongresu Słowaków, a przed kilkoma miesiącami ukazał się w języku angielskim tom zawierający wygłoszone na niej referaty. Znacznie lepiej niż inne grupy narodowościowe, organizacje polityczne, kongresy naukowe nie mogą się pochwalić taką publikacją. To niewątpliwie osiągnięcie, które zasługuje na uznanie, ba — na podziw. Tom przygotował do druku znany historyk słowacki, Józef Kirschbaum*.

Sądząc z ogłoszonych materiałów, konferencja miała charakter czysto naukowy, choć oczywiście z wyraźnymi akcentami politycznymi. Występowały one nie tylko w referatach poświęconych problemom politycznym, głównie aktualnym, lecz u wszystkich mówców. Lista referatów przedstawia się imponująco, jeśli chodzi o piastowane przez nich stanowiska; nie można tego samego powiedzieć o poziomie.

Obok arcyksięcia Habsburga udział wzięło także kilku innych referentów nie-Słowaków. I tak prof. dr Tadeusz Gromada mówił o stosunkach polsko-słowackich; Perenyi-Lukaacs, były dyplomata węgierski, a obecnie profesor historii w New York University at Albany, o stosunkach słowacko-węgierskich; prof. Kurt Glaser wygłosił referat na temat: państwa narodowe wobec federalizmu w przyszłym układzie centralnej Europy, a b. wiceminister Eugen Loebel mówił o gospodarce narodowej Słowacji po ostatniej wojnie światowej, ukazując rolę i dążenia Dubczeka w zapewnieniu Słowacji pełnej równości na każdym odcinku.

Wysoce interesujące były wywody dr. Stefana Osusky'ego, niedawno zmarłego czołowego dyplomaty przedwojennej Czechosłowacji, i prof. J. A. Mikusa o powstaniu państwa czechosłowackiego i stosunku doń Słowaków. Osusky wyraża się bardziej niż krytycznie o Beneszu, którego wręcz obarcza odpowiedzialnością za złamanie umowy o państwie federacyjnym. Okres przedmonachijski omówił wnikliwie historyk, prof. Franciszek Vnuk; on też i dr Ferdynand Durczansky, b. minister Spraw Zagranicznych w rządzie słowackim, przedstawili następnie tło narodzin republiki słowackiej.

Redaktor tomu, dr Kirschbaum, zabierał głos kilkakrotnie w dyskusjach nad referatami o stosunkach z Węgrami i na temat przyszłości centralnej Europy. Stosunkom słowacko-rosyjskim poświęcone były referaty profesorów Stefana Glejdu i Mirosława Micko. Były oczywiście również referaty na temat filozofii narodowej, osiągnięć literackich, problemów przyszłościowych itp. Tom ma na celu wykazanie, iż problem Słowacki jest jednym z kluczowych, jeśli chodzi o przyszłość Europy, że tylko nieszczęśliwy bieg wypadków nie pozwolił narodowi słowackiemu odegrać tej roli, do jakiej jest powołany. Słowacy posiadają wszelkie dane, by rozwijać się samodzielnie i świecić przykładem innym.

Nie chciałbym tu wszczynać dyskusji, ograniczę się jedynie do stwierdzenia, iż najsłabsze i najmniej przekonujące są właśnie wywody dr. Stefana Polakovica, prof. Ch. Murina i msgr. J. Rekeba, które ten „słowakocentryzm” akcentują.

Benedykt HEYDENKORN

* *Slovakia in the 19th and 20th centuries*, edited by Joseph M. Kirschbaum, LL.D., Ph.D.; published by The Slovak World Congress — Toronto, Ont., 1973, pp. 368.

Kraj

Polska a Komekon

W styczniowych artykułach prasa krajowa pisała na intencję 25-lecia istnienia Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, jakoby powstała ona dla obrony wspólnych interesów gospodarczych młodych państw socjalistycznych, zagrożonych polityką dyskryminacji, prowadzoną wówczas przez państwa zachodnie. Jak ta „dyskryminacja” wyglądała wobec Polski świadczą dane GUS z pierwszych lat powojennych. Jeszcze w 1947 roku dostawy do Polski dóbr inwestycyjnych w 53,7 % pochodziły z UNRRA, a wraz z przywozem z USA i innych krajów zachodnich procent ten był jeszcze wyższy! Czytanie liczb jest na ogół zajęciem nudnym, ale statystyka z tamtych lat stanowi lekturę wyjątkowo ciekawą. Otóż we wspomnianym roku przywóz do Polski niektórych towarów z krajów zachodnich i UNRRA kształtował się następująco: maszyny i aparaty, sprzęt elektrotechniczny — 53 % z UNRRA, 25 % z USA i 8 % ze Szwecji; lokomotywy i tendry — 80 % z USA i 20 % z UNRRA; wagony kolejowe — 54 % z USA i 46 % z UNRRA; samochody — 70 % z USA i ok. 18 % z Francji; ciągniki — ponad 80 % z USA; aluminium — 33 % z UNRRA, ok. 30 % z USA, niecałe 20 % ze Związku Sowieckiego i reszta z Norwegii; cyna — 50 % z UNRRA i niecałe 50 % z Holandii; rudy żelazne — ponad 70 % ze Szwecji i 25 % ze Związku Sowieckiego; mąka pszenna, kukurydza, tłuszcz kokosowy, przetwory spożywcze i tytoń, słonina, sadło i smalec — w 100 % z UNRRA i USA łącznie...

Dostawy towarów z Zachodu stanowiły istotny czynnik w procesie powojennej odzyskiwania gospodarki polskiej, taka a nie inna jest prawda o „dyskryminacji” Polski przez mocarstwa zachodnie.

Gospodarka w izolacji

Polska przystąpiła do Komekonu nie z przyczyn ekonomicznych lecz politycznych i nie dobrowolnie, lecz pod dyktandem

Kremla. Polska weszła do ugrupowania gospodarczego, którego członkowie nie pasowali do siebie i nie byli w stanie wzajemnie się uzupełniać. Jeszcze obecnie, po dwudziestu pięciu latach, Komekon jest związkiem krajów jedynie ze sobą handlujących, wymieniających towary, nie przekształcił się on jednak w *integrację gospodarczą* — nie zdołano doprowadzić na większą skalę do specjalizacji produkcji między tymi krajami, nie potrafiono ujednoczyć zasad kształtowania cen wewnętrznych (co utrudnia oparcie handlu zagranicznego na rachunku ekonomicznym), nie udało się rozwinąć kooperacji przemysłowej. O ile dawniej gospodarka Rosji, Polski, Czechosłowacji i innych krajów była trudna do integracji na skutek występujących między nimi różnic, to po upływie ćwierćwiecza integracja jest nie mniej trudna na skutek *upodobnienia się* gospodarki tych krajów.

We wszystkich krajach Komekonu udział zatrudnionych w rolnictwie jest wysoki, ale poziom rolnictwa (z wyjątkiem NRD) jest niski. Każdy rozwinął na szeroką skalę kosztowną produkcję stali, jednak przetwórstwo pozostało na niskim poziomie technicznym i wszędzie mniej więcej takim samym. Ciągniki produkuje się w Związku Sowieckim i w Polsce, w Czechosłowacji i w NRD, na Węgrzech i w Rumunii, nawet w Bułgarii. Tak samo rozrzucona jest produkcja samochodów osobowych i podobnie rzecz ma się z setkami innych wyrobów przemysłowych. Specjalizacja, integracja gospodarcza? Polski przemysł maszynowy wytwarza obecnie aż 100 tysięcy tzw. typowymiarów, co stanowi około 40 % tego wszystkiego, co produkuje światowy przemysł maszynowy i blisko 60 % asortymentów produkowanych w innych krajach Komekonu. Na tak szeroki wachlarz produkcji może sobie pozwolić niewiele krajów, tylko USA, Japonia, Związek Sowiecki, NRF, któż więcej? Trudno się tedy dziwić, że produkcja masowa (a więc ekonomicznie najbardziej opłacalna) stanowi w polskim przemyśle maszynowym zaledwie siedem procent, a małoseryjna, jednostkowa aż 51 %. Podobne dane np. dla Francji wynoszą 28 i 17 %. I tak jest nie tylko w Polsce, *dekoncentracja procesów wytwórczych* występuje w całym Komekonie i jest jedną z głównych przyczyn zacofania technicznego gospodarki jego krajów.

Na rozwój gospodarczy Polski w okresie blisko trzydziestu lat decydujący wpływ wywierały dwa nakładające się na siebie czynniki. Jednym z nich był sam system gospodarczy (system zarządzania i planowania) oparty na wzorach sowieckich, drugim zaś stał się Komekon. Pierwszy rodził gospodarkę autarkiczną na szczeblu przedsiębiorstw, drugi izolował gospodarkę narodową od reszty świata. Według oficjalnej statystyki, Polska zajmuje w Europie pierwsze miejsce w wydobyciu siarki, drugie — w wydobyciu rud cynku i miedzi, trzecie w produkcji węgla, czwarte — w surowcach energetycznych, piąte — w wytwarzaniu kwasu siarkowego, szóste — w produkcji energii elektrycznej. Ale cóż z tego, skoro w handlu zagranicznym Polska jest nader skromnie reprezentowana: pod względem wartości obrotów w

przeliczeniu na jednego mieszkańca Polska zajmuje w eksporcie europejskim dopiero *osiemnaste*, a w imporcie aż *dwudzieste pierwsze* miejsce...

Stabe związki z gospodarką światową cechują również wszystkie inne kraje Komekonu, ale w przypadku Polski są one najslabsze (z wyłączeniem Związku Sowieckiego). Miało to dla gospodarki narodowej brzemienne konsekwencje: ponad 65 % obrotów handlu zagranicznego przypadło na kraje socjalistyczne, ponad 6 % na kraje Trzeciego Świata i tylko nieco ponad 28 % na wysoko rozwinięte kraje zachodnie. To znaczy, gospodarka krajowa skazana została na związki z rynkami z jednej strony — mało wymagającymi, z drugiej — pozostającymi daleko w tyle za głównymi nurtami światowego postępu techniki i technologii.

Chory organizm

Jedne i te same przyczyny prowadzą do identycznych albo podobnych skutków. Problemy, z jakimi boryka się Związek Sowiecki, w większej lub mniejszej skali występują także w innych krajach Komekonu. I aczkolwiek istniejące w ich gospodarce kryzysy i napięcia przejawiają się w inny sposób niż ma to miejsce na Zachodzie, sygnalizują one poważne schorzenia. Jednym z przejawów trapiącej Komekon choroby jest zwiększający się (ale względny) niedobór rąk do pracy. Sowiecki dziennik *Trud* pisał na ten temat w ubiegłym roku:

„Przejechaliśmy wiele kilometrów stepem zawołańskim. Jakże smutny widok przedstawiają niektóre systemy nawadniające. Oddano je do eksploatacji, ale nie ma komu na nich pracować. Przyczyna tkwi w tym, że odczuwa się brak ludzi, zwłaszcza wykwalifikowanych”.

Niewątpliwie, trudne warunki bytowe w stepie zawołańskim odstraszały ludzi, ale nie to jest główną przyczyną. Według planistów sowieckich, w samej tylko Federacji Rosyjskiej brakuje w stosunku do planu przeszło miliona osób. Takie same zjawisko występuje w innych krajach Komekonu. W Bułgarii w bieżącym pięcioleciu dzięki nowym inwestycjom ma powstać pół miliona miejsc pracy, tymczasem z obliczeń demograficznych wynika, że przebędzie tylko 200 tys. pracowników, a zatem powstaną trudności z obsadzeniem pozostałych trzystu tysięcy nowych miejsc pracy. W Polsce przyrost ludności w wieku zdolności do pracy (mężczyźni 16-59 lat, kobiety 16-54 lat) ulega zwolnieniu: w latach siedemdziesiątych wyniesie on 3,1 mln osób, ale w następnym dziesięcioleciu przybędzie tylko jeden milion. W NRD w pierwszym okresie liczba ludzi w wieku zdolności do pracy zwiększyła się o milion, w następnej dekadzie zaledwie o pół miliona. W Bułgarii odpowiednie dane wynoszą 250 tys. i 180 tys. Podobnie dzieje się w pozostałych krajach Komekonu.

Brak rąk do pracy występuje również w niektórych krajach zachodnich, np. gospodarkę NRF i Francji zasilają miliony obcokrajowców. Jednakże w tym przypadku jest to zjawisko jakościowo zgoła inne, wiąże się m.in. z silną ekspansją handlu zagranicznego, niskim przyrostem naturalnym i ze zmianami w samej strukturze zatrudnienia, w wyniku których rolnictwo (wieś) przestało odgrywać rolę rezerwuaru siły roboczej.

Zupełnie inna jest sytuacja w krajach Komekonu. Olbrzymie zasoby siły roboczej posiada wieś (np. w Związku Sowieckim stanowią one 30 % ogółu zatrudnionych, w PRL również ok. 30 %, w USA ponad 5 %, w NRF niecałe 9 %), ale nie można tej rezerwy wykorzystać, ponieważ przemysł nie jest w stanie zapewnić modernizacji rolnictwa. Drugim takim rezerwuarem siły roboczej w krajach Komekonu są zatrudnieni poza rolnictwem, a więc w przemyśle, w budownictwie, w transporcie. Występujący tu niedobór rąk do pracy jest pozorny, w istocie panuje *ukryte bezrobocie*. Według niektórych szacunków np. w przemyśle polskim nadmierne zatrudnienie wynosi w niektórych gałęziach od 10 do 20 %, a w poszczególnych przedsiębiorstwach nawet trzydzieści i więcej procent!

Przyczyny względnego braku rąk do pracy w warunkach istnienia wielkich rezerw ludzkich są rozmaite. Jedną z nich jest relacja cen maszyn i... ludzi. W całym Komekonie siła robocza jest tania, a maszyny relatywnie drogie. Nic więc dziwnego, że opłaca się inwestować raczej w tworzenie (a więc mnożenie) nowych miejsc pracy, aniżeli w modernizację procesów wytwórczych. I tutaj dotykamy głównego schorzenia gospodarki Komekonu, w tym również Polski. Chorobę tę dobrze odzwierciedla sytuacja panująca w polskim przemyśle maszynowym, co sygnalizuje od czasu do czasu prasa krajowa.

W okresie 1956-1970 tempo inwestycji w tym przemyśle miało tendencję rosnącą, co jednak nie znajdowało odpowiedniego odbicia w rozwoju produkcji: mimo rosnących nakładów inwestycyjnych tempo wzrostu produkcji przemysłu maszynowego wykazywało spadek bezwzględny. Jeszcze w latach 1956-1960 na 1 % przyrostu nakładów inwestycyjnych przypadało 2,1 % przyrostu produkcji, w okresie 1961-1965 tylko 1,8 %, a w latach 1966-1970 zaledwie 1,4 %. Innymi słowy, wzrost produkcji stawał się z roku na rok *coraz droższy*, pochłaniał coraz więcej nakładów inwestycyjnych. Ogólnie biorąc działo się tak dlatego, ponieważ cały mechanizm ekonomiczny nie stwarzał dostatecznych bodźców dla zastępowania maszyn starych — maszynami nowocześniejszymi, o wyższej wydajności i sprawności. Produkowane przez ten przemysł maszyny, aczkolwiek nowe, niczym albo niewiele różniły się od starych — były nowe, jeszcze nie zużyte, lecz już przestarzałe... W konsekwencji rosnące z roku na rok nakłady inwestycyjne przeznaczone były nie na podnoszenie technologii, lecz na utrwalanie i rozbudowę wszere starych nieekonomicznych procesów wytwórczych. System ekonomiczny okazał się bezsilny

wobec potrzeby odejścia od ekstensywnej drogi rozwoju i przejścia do intensywnych dróg wzrostu gospodarczego.

Starzenie się przemysłu maszynowego znalazło także wyraz i w innej postaci. Procesowi temu ulegała nie tylko technologia wytwarzania — także *struktura* tego przemysłu. O poziomie nowoczesności decyduje nie tylko standart, wydajność samych maszyn, również to, jaki jest udział branż najbardziej nowoczesnych, decydujący o postępie technicznym, w całej gospodarce. Zalicza się do nich elektronikę, nowoczesne oprzyrządowanie (dla maszyn), obrabiarki plastyczne, sprzęt służący automatyzacji itd. Taki kierunek rozwoju przemysłu maszynowego wymaga spełnienia co najmniej trzech warunków: *po pierwsze*, sam przemysł maszynowy musi być ekonomicznie zainteresowany w rozwijaniu wspomnianych branż; *po wtóre*, w innych gałęziach gospodarki winien występować odpowiednio silny popyt na wyroby nowoczesnych branż; *po trzecie*, wyroby przemysłu maszynowego (dotyczy to zresztą także innych gałęzi przemysłu) powinny być nieustannie konfrontowane z podobnymi wyrobami na rynkach światowych. Ani jeden z tych warunków nie został spełniony.

Przemysł maszynowy, który miał spełniać rolę modernizatora całej gospodarki narodowej, nie mógł się z tego zadania wywiązać. Wprost przeciwnie — jak słusznie pisał jeden z tygodników krajowych — przemysł ten przyczyniał się do „samoutrwalenia starych struktur” — w Polsce ani w innych krajach Komekonu nie wykształciły się dostatecznie silne potrzeby na nowoczesne maszyny i nowoczesne gałęzie przemysłu, natomiast związek z gospodarką krajów zachodnich był za słaby. Dziś co najmniej 50-70 % wszystkich maszyn wielu gałęzi przemysłu polskiego jest przestarzałych, a nie do rzadkości należą przedsiębiorstwa wyposażone w maszyny pochodzące jeszcze sprzed... końca ubiegłego wieku. Nie jest to choroba typowo polska, panuje ona z różnym natężeniem we wszystkich krajach Komekonu. W tym świetle jaśniejsze stają się przyczyny zwiększającego się na tym obszarze niedoboru rąk do pracy, mimo potencjalnych rezerw. I bardziej zrozumiałe stają się motywy silnego ostatnio zainteresowania Komekonu dla zachodnich kredytów i do zachodniej technologii.

Pilna potrzeba zmian

Nie jest przedmiotem niniejszego artykułu analiza systemu zarządzania gospodarką w Polsce, ani ocena połowicznych, marginesowych zmian wprowadzonych po upadku Gomułki i dojściu do władzy Gierka. Jest oczywiste, że bez radykalnych reform ekonomicznych nie da się uzdrowić gospodarki narodowej, tylko z ich pomocą może ona otrzymać nowe bodźce pchające jej rozwój w kierunku postępu, nowoczesności. Jest również jasne, że wspomnianych reform nie da się przeprowadzić w czasie sto-

sunkowo szybkim z przyczyn politycznych. W tych warunkach szczególną rolę może odegrać współpraca gospodarza Polski z krajami trzecimi, w szczególności z wysoko rozwiniętymi. Powiedzmy sobie jednak wyraźnie: rozszerzenie tej współpracy, a także ewentualne wysokie kredyty zachodnie *nie zdotają zastąpić reform ekonomicznych*, nie zapewnią same przez się uzdrowienia gospodarki polskiej. Mogą natomiast zwiększyć potrzebę zmian wewnątrz gospodarki i ułatwić proces reform.

W tej sytuacji powstaje ważne pytanie, na które ekonomiści krajowi powinni szybko znaleźć odpowiedź. Obecne obroty polskiego handlu zagranicznego z Komekonem wynoszą ponad sześćdziesiąt procent — *czy i do jakich granic może wzrastać udział Komekonu, jaki powinien być optymalny poziom tych obrotów?* Rozpatrując ten problem w kategoriach jedynie ekonomicznych (wyłączając implikacje polityczne) można śmiało założyć, że w interesie Polski na obecnym etapie leży jednoczesne szybkie rozszerzenie współpracy gospodarczej z krajami zachodnimi przy równoczesnym zmniejszaniu zakresu obrotów handlowych z krajami Komekonu, a zwłaszcza ze Związkiem Sowieckim. Obroty polskiego handlu zagranicznego wynoszą ze Związkiem Sowieckim ponad jedną trzecią, a z wszystkimi krajami zachodnimi niecałe 30 %. Są to relacje wysoce niepomyślne. Związek Sowiecki jest wielkim i stosunkowo łatwym rynkiem zbytu, co ma jednak również swoje ujemne strony, bowiem rynek taki nie wywiera dostatecznie silnej presji na postęp techniczny w gospodarce polskiej. Jednocześnie sowiecki eksport do Polski również nie wnosi do gospodarki polskiej nowoczesnej myśli technicznej. Import i eksport sowiecki są *czynnikiem utrwalającym w gospodarce polskiej przestarzałe struktury*, o czym w innym kontekście była poprzednio mowa.

Rozważmy ten problem na paru przykładach. Polska eksportuje do Związku Sowieckiego ok. 30 % wytwarzanych wagonów towarowych (przeciętnie ponad pięć tysięcy rocznie). Jest to eksport mało opłacalny, bowiem wagony towarowe to stal i drewno o niskim stopniu przetwórstwa — korzystniejszy byłby eksport innych wyrobów opartych na tych surowcach ale o znacznie wyższym stopniu przetwórstwa. Związek Sowiecki posiada jednak słabo rozwiniętą sieć komunikacji samochodowej, wobec czego cały ciężar przewozów spoczywa na komunikacji kolejowej, co tłumaczy duże zapotrzebowanie na wagony towarowe, które w części zaspakając musi gospodarka polska. Inny przykład. Obrabiarki polskie i również sowieckie pod wieloma względami ustępują zachodnim. Toteż nic dziwnego, że np. w 1970 roku ponad jedną trzecią ich eksportu przyjął Związek Sowiecki, z kolei w imporcie polskim obrabiarki sowieckie stanowiły też 30 %. A zatem maszyny sowieckie pomagały utrwalać przestarzałe technologie w przemyśle polskim, polskie zaś czyniły to samo w przemyśle sowieckim... Innymi słowy, mamy tu doczynienia z cyrkulacją starej technologii w małym zamkniętym kręgu Komekonu. Można stąd wyprowadzić wniosek, że *wysoki udział obro-*

tów handlowych w obrębie Komekonu jest szkodliwy nie tylko dla Polski, także dla pozostałych krajów.

Przemysł wymaga także forma współpracy gospodarczej Polski z krajami trzecimi, m.in. z Komekonem. Dotychczas współpraca ta opiera się na wymianie towarowej, inne formy nie zdołały się rozwinąć. I tak np. mimo wysokich obrotów PRL z Komekonem (ponad 60%), udział wyrobów pochodzących z kooperacji międzynarodowej nie przekracza *dwóch procent* całego eksportu polskiego. Jest rzeczą godną uwagi, że Komekon nie potrafił rozwinąć na szerszą skalę *wspólnych międzynarodowych przedsiębiorstw*, które na Zachodzie odgrywają zasadniczą rolę w rozwijaniu handlu zagranicznego i w finansowaniu coraz kosztowniejszego postępu technicznego. Wielkie międzynarodowe koncerny były przez wiele lat domeną jedynie propagandy partyjnej, dopiero od niedawna zaczynają im się baczniej przyglądać również ekonomiści krajowi, odkrywając tajemnice ich powodzeń ekonomicznych i technicznych. Otóż wydaje się, że jedna z dróg, która może stosunkowo szybko wyprowadzić Polskę na szerokie rynki światowe, prowadzi właśnie przez wspomniane wspólne międzynarodowe przedsiębiorstwa. Z tego punktu widzenia należy pozytywnie ocenić trwający w Polsce od dwóch lat proces tworzenia tzw. Wielkich Organizacji Gospodarczych (WOG), obdarzonych także szerszym zakresem samodzielności ekonomicznej. Takim przedsiębiorstwom będzie dużo łatwiej wchodzić w stosunki z wielkimi koncernami, zawiązywać z nimi spółki, wchodzić przy ich pomocy na nowe rynki zbytu i korzystać z ich wiedzy technicznej.

Groźba inflacji zawleczonej

Konieczność rozszerzenia handlu zagranicznego nie była dla Polski nigdy tak pilna jak obecnie. Nie można jednak zamykać oczu na fakt, iż ma to miejsce w okresie dla Polski niepomyślnym. W wielu krajach zachodnich występuje inflacja, przez co nastąpił znaczny wzrost cen artykułów, jakie Polska sprowadza bądź znacznie importować. W tym samym czasie następuje szybki wzrost światowych cen podstawowych surowców. Jednocześnie świat przeżywa ostry kryzys energetyczny, którego skutki Polska już zaczyna odczuwać, a ich zakres będzie coraz większy. Drożeją paliwa płynne, surowce żelazne, zboża, mięso wołowe... Ulegają pogorszeniu relacje cen importu i eksportu (*terms of trade*) Polski i pozostałych krajów Komekonu. Indeks cen towarów importowanych przez Komekon spoza tego obszaru podniósł się w okresie 1970-1973 o 15,8%, przy czym w przypadku Polski jeszcze wyżej — o 16,1%. Zjawiska, o których mowa, zaskoczyły polski handel zagraniczny, okazał się on nieprzygotowany do tych zmian — jeszcze raz potwierdziła się opinia o nieznajomości rynków światowych.

Propaganda krajowa nie ukrywa pogorszenia się w polskim handlu zagranicznym relacji cen importu i eksportu, szeroko komentuje procesy inflacyjne na Zachodzie, przemilcza jednak groźbę nadciągającą ze Wschodu. Dotychczas Polska pokrywała swoje stosunkowo nieduże zapotrzebowanie na ropę naftową poprzez import ze Związku Sowieckiego. Oficjalnie twierdzi się, jakoby Polska importowała ten surowiec po niezminionej cenie. Wiadomo natomiast, że Rosjanie sprzedają na Zachód ropę naftową po „arabskich” cenach. W najlepszym więc wypadku cena ropy naftowej sprzedawana Polsce ulegnie drastycznej podwyżce poczynając od nowego pięciolecia. I to jest jeden aspekt zagadnienia. Drugi. Ropa naftowa stanowiła dotychczas zaledwie niecałe dziesięć procent ogółu zużycia surowców energetycznych w Polsce (w 1971 roku niecałe 10 mln. ton), w 1975 roku import ropy wzrośnie o ponad 40%, w pięć lat później ma być podwojony, a w 1990 roku dojdzie przypuszczalnie do 55-60 mln. ton. Jest już rzeczą pewną, że Związek Sowiecki pokryje tylko część polskiego importu ropy naftowej, może połowę, może mniej — więcej nie będzie mógł i... nie będzie chciał. Bowiem ropa naftowa staje się dla Związku Sowieckiego jednym z podstawowych atutów w rozwoju jego współpracy gospodarczej z Zachodem, na której mu przecież bardzo zależy. Polska zmuszona więc będzie importować coraz więcej ropy naftowej z innych krajów, za co płacić trzeba będzie dewizami zachodnimi albo odpowiednio atrakcyjnymi maszynami, artykułami przemysłowymi, usługami. Tak więc inflacja może uderzyć z całą ostrością w gospodarkę polską z różnych stron — poprzez wzrost cen importu z Zachodu, w wyniku skoku cen surowców sprowadzanych ze Związku Sowieckiego i z krajów Trzeciego Świata.

Polska nie jest jednak bezbronna, jest w stanie obronić się przed skutkami omawianych zjawisk. Pod jednym wszak warunkiem — *rozpoczęcia szeroko zakrojonej modernizacji podstawowych gałęzi gospodarki narodowej*. W tym celu musi ona skorzystać z wielostronnej pomocy krajów wysoko rozwiniętych, z tego samego względu Polska powinna energiczniej wychodzić poza ciasny obszar Komekonu. Sprzyja temu klimat odprężenia w stosunkach Wschód-Zachód. Czas nagli do podjęcia ważnych, dalekosiężnych decyzji.

Antoni GUTOWSKI

Sprawy i troski

List z Londynu

Szanowny Panie Redaktorze,

Ostatniej soboty wybrałam się do Biblioteki Polskiej po nową porcję duchowych obroków. Idzie się po nie w dzień wolny od pracy, gdy jest tam pełno Rodaków, ruch jak na odpuście, a w wypożyczalni robi się giełda towarzyska i można usłyszeć różne ciekawe rzeczy. Wybrałam się więc po ojczyście słowo, choć przez tę chętkę czuję się winna: kryzys energetyczny i strajk górników, prasa i TV ciągle nas sztorcują, żeby COŚ WYŁĄCZYĆ i opowiadają, że jak zgasimy piecyk, to za to komuś wytną wrzód z żołądka, a jak zgasimy wszystko i pójdziemy spać, to starczy do upieczenia chleba na całą dzielnicę. Choć z drugiej strony straszą, że jeśli usłuchamy powyższego, to grozi nam eksplozja ludności. Szkoda, że nikt nie powie, jak w tym wszystkim ma się zachować człowiek, dla którego *sapiens* nie jest czymś komplementem.

Tłumię się między półkami, grzebię w katalogu, a tym czasem wypożyczalnia się napełnia. Rodacy ugwarzają, a jest o czym, bo zimą mnóstwo dzieje się w Życiu Polskim: karnawałowe bale, nadchodzący sezon urlopowy, no i epidemia Tradycyjnych Opłatków, która zwykle przeciąga się do Tradycyjnych Święconych Jajek, a Jajka do sierpniowych urlopów.

Ale *ad rem*. Za stołem Sympatyczna Pani Bibliotekarka odbiera i wydaje kilogramy kryminałów do poduszki okraszonych wojennymi wypominkami i literaturą narodowego cierpiętnictwa, a ja ukryta w mroku marudzę między półkami. Nagle wpada mi w ucho, jak pani w sile wieku zwraca się do Sympatycznej Pani Bibliotekarki:

— Proszę pani, kto to jest Grażyna Nowak?

— Niestety — odpowiada Sympatyczna Pani — nic mi o tym nie wiadomo.

— Szkoda. To jakieś okropne babsko. Wiadomo: wtyczka na reżymowym żołdzie. Warto by ją zdemaskować. Daj Boże zdrowie temu Orionowi, że ją tak ostatnio przebrał w *Tygodniu*: czemu czepia się bzdur zamiast alarmować, że Emigracja nie kupuje polskich książek, nie prenumeruje swej prasy i gwizdże na los Biblioteki? Powinni się nią zająć nasi publicyści. Może mi pani da jaki dobry kryminał? Tylko, uważa pani, krwi nie lubię. Wojna się przypomina.

Prelekcję kwituje przyjazny szmerek. Uszy mi latają ale nic, z kamienną twarzą buszuję w literaturze. Po całym tygodniu wśród Anglosasów przyjemnie się nadyszeć polszczyzny, usłyszeć głos wolnej opinii publicznej i oglądnąć współczesny sarmatyzm. Od dawna słyszę, że Rodacy żywo interesują się mą tożsamością — próżna ludzka ciekawość: nie ważne CO, tylko KTO. Zresztą co do KTO, to z tego co napisałam można sobie niezgorzej odtworzyć *curriculum vitae*, oczywiście jeśli się przeczyta. Ale dla naszych snobów i bywalców jest obelgą osobistą, że jest i działa ktoś, o kim oni nic nie wiedzą. Naiwnością było by oczekiwać, że ktoś rozsądny powie: wszystko jedno czy psu Burek, czy Łysek, i tak nie znam. No cóż, wścibstwo również należy do współczesnego sarmatyzmu. Czytałam kiedyś w polsko-amerykańskiej gazecie pretensjonalną rozprawkę jakiejś damy o sarmatyzmie. Była przekonana, że jest to zespół naszych cnót narodowych jak patriotyzm, pobożność i przywiązanie do ojczyństw tradycji. Nie raz wspominam ją z sentymentem, bo była bliższa prawdy niż się może wydać.

Wychodzę na światło i rozglądam się wokół: same starsze twarze. Ja — średniak — jestem wśród nich nieomal podlotkiem. Oto w obrazowym skrócie klucz do przyszłości Biblioteki. Czy w ogóle może ona liczyć na jakąś przyszłość? Ani tu na lekarstwo naszej patriotycznej Działwy, która na akademiach ślubuje iść w ślady Orłąt — łatwiej na scenie oddawać życie za Ojczyznę, niż poza nią splamić się ojczyzną lekturą. Ani wychowanków naszych Sobotnich Gimnazjów, ani tych, co tak ukochali tańce „narodowe”, że żyć nam z nimi nie dają, ani nawet Szarej Braci Harcerskiej, która ślubowała ponad wszystko miłować Ojczyznę i jej mowę. Niepotrzebnie ta starsza dama zwracając *W pustyni i w puszczy* zgłasza protest, że emigracyjna instytucja trzyma krajowe wydanie tego dzieła, z komunistyczną przedmową obliczoną na deprawowanie naszej młodzieży. Próżna troska, naszej młodzieży ani w głowie czytać to czy cokolwiek innego, chyba

tylko pod przymusem, *Anielkę* albo inne *Treny* przepisane do angielskiej matury, i to koniecznie w angielskim tłumaczeniu o ile istnieje, a jak nie to rozpacz. Któż więc przejmie troskę o byt Biblioteki i, przede wszystkim, kto z niej będzie korzystał, jeśli już moje pokolenie — to ostatnie, które normalnie mówi po polsku — wcale się nie garnie do polskiej książki zebranej tu z taką troską — dla kogo? Może jednak dla kogoś, bo oto wchodzi jakaś dziewczyna. Nie do wiary — taka młodzianka i przyszła tu dobrowolnie! Tajemnica się wyjaśnia, gdy swobodną, kulturalną polszczyzną zwraca się do Sympatycznej Pani. Przyjechała na krótko z kraju, jest studentką polonistyki i bardzo się interesuje Broniewskim. Czy to prawda, że on pisał wiersze antyradzieckie? Naprawdę?! I można je tu na własne oczy zobaczyć! Można też dostać *Hłaskę* i *Gombrowicza*! Dziewczyna jest uradowana, a Sympatyczna Pani rzuca się organizować dla niej literaturę. Ledwo skończyła, a tu znów wchodzi młoda twarz. Jej właściciel przyjechał z Warszawy na naukę angielskiego i z mocnym postanowieniem przeczytania wszystkiego, co w kraju jest nieosiągalne i niewymawialne. Wyciąga paszport i jakieś świstki, chce się przed Sympatyczną Panią legitymować. Co, nie potrzeba?! Więc można coś załatwić bez formularzy i dokumentów, zaufać komuś, o kim nic się nie wie, że zwróci cenne książki?! Niesłychana rewelacja, chyba pierwsza w jego życiu. Ledwo poszedł, a już wchodzi starszy pan, palto na nim nabite watoliną, od razu poznać krajowca. Rzeczywiście: przyjechał z wizytą i w te pędy przybiegł po *Zbrodnię katyńską* i *Bez ostatniego rozdziału*. A gdyby jeszcze mógł coś z tego zabrać do Polski — cóżby to była za radość wśród kolegów! Co — naprawdę można dostać książki, tak za nic, w prezencie?

Urodzaj dziś na gości z Polski, choć to zima, martwy sezon. Co innego latem, drzwii się za nimi nie zamykają. Oto odpowiedź na pytanie komu będzie służyć Biblioteka: im oraz angielskim instytucjom i studentom poszukującym informacji o Polsce czy piszącym tezy na polskie tematy, a tych ostatnich jest coraz więcej. Ale utrzymać ją i poprowadzić muszą tutejsi Polacy, a z tutejszych Polaków wkrótce nie zostanie śladu. Z patriotycznej *Dziatwy*, *Szarej Braci Harcerskiej* i miłośników tańców „narodowych” wyrosną kundle wyobrażające sobie, że są Anglikami, choć przez Anglików bynajmniej nie uważani za rodaków. Na co w tych warunkach może liczyć Biblioteka? Na rozproszenie po angielskich księgozbiorach czy na opiekę (po uprzednim ocenzeniu) Towarzystwa Łączności Polonia?

Niewesołe to myśli, całe szczęście, że nie ma czasu ich przeżuwać. Obok mnie jakiś pan w pobałzakowskim wieku z coraz

większą irytacją grzebie w katalogu. Wreszcie podniesionym głosem zwraca się do Sympatycznej Pani: czemu tu nie ma jego ostatnich utworów? Tak, taka można powiedzieć — odbitka. Sam ją tu przyniósł, dziesięć egzemplarzy, każdy z odręczną dedykacją. Że co, nie zginęły i są na górze, w zbiorach odbitek? Niesłychane, oburzające! Czy polski pisarz po to tworzy, żeby go zamykać „na górze w zbiorach odbitek”? Nie, on tworzy dla czytelnika, żeby mu być udostępnianym. A w ogóle, to po co istnieje Biblioteka? Żeby dzieła pisarzy polskich trzymać „na górze”? To skandal, napisze o tym do prasy. Niech Społeczeństwo się dowie, jak się je tutaj krzywdzi. Bo przecież nie jego, wcale mu na sobie nie zależy, tylko Społeczeństwo. Tych czytelników, co czekają na jego dzieła, potomność oraz historyków literatury, którym takie zdumiewające praktyki utrudniają badania i deformują obraz literatury polskiej!

Na sali robi się cisza, patrzymy z szacunkiem na naszego Twórcę i uświadamiamy sobie, że faktycznie dzieje nam się krzywda. I ogarnia nas wdzięczność, że nasi wieszczowie przeprowadzają okresowe inspekcje katalogu i upominają się o nasze interesy. A tymczasem ruch nie słabnie, ciągle ktoś czegoś chce. Jakiś pan przyjechał aż z Kentu po Trylogię, w nadziei że może syn da się ubłagać i przeczyta. — Bo, wiecie państwo — zwraca się do obecnych — przecież to ukochane dzieło mej młodości, jaka by bez niego była uboga! A syn — ogarnia go pasja — nic nie rozumie, nawet słuchać nie chce, choć taki wykształcony, po studiach. — Ładuje tomiska do teczki ustępując miejsca pani, która osiem lat temu miała stąd taką piękną książkę i znów by ją chciała przeczytać. Jaką? No, taką grubą, w zielonej okładce. Jest urażona, że Sympatyczna Pani nie wie o co chodzi, powtarza że przecież gruba i zielona. Zresztą Sympatyczna Pani nie ma czasu na zgadywanki. Ruch jak na bazarze, więc zwija się jak w ukropie. Biegnie na górę, gna na dół, wyszukuje, znosi, podaje i odbiera — dość by było roboty dla dwóch, a musi podołać jedna. Na dodatek co chwila ryczy telefon i widać, że Rodacy po tamtej stronie mają mnóstwo czasu. Aż dziwne, że taka chętna każdemu dogodzić. Jest publiczną tajemnicą, że za to wszystko nasze Hojne Społeczeństwo, które tak skrupulatnie ogłasza w gazecie każdego szylinga kapniętego na cele publiczne, wynagradza ją taką nędzną pensyjką, że więcej zarobiłaby w fabryce jako niewykwalifikowana analfabetka. No cóż — trzeba przyznać, że Sympatyczna Pani jest sama sobie winna. Czy jej kto każe lubić polską książkę bardziej niż gotówkę, i to jeszcze w czasach inflacji, gdy każdy dostaje podwyżki?

Ledwo wpadła zdyszana z naręczem książek, a tu znów solidny

pan na ciemno żąda *Legalizmu polskiego w świetle prawa publicznego*, i to już, śpieszy się okropnie na konsultacje, za 10 minut spotkają się przywódcy partii i ugrupowań. Spoglądam nań z zainteresowaniem: więc to tak wygląda jeden z naszych legendarnych Mężów Stanu. Oblicze jak z moskiewskiego pomnika (o cudna raso słowiańska!), czarna kapota, kapelusze też czarny, szeroki — takutki, jak partyjne kapelusze w Warszawie, i teka nabita ściśle Tajnymi. Rzeczywiście — przypominam sobie — przecież aktualnie nie mamy Rządu — na Eaton Place nie ma ministrów. Jakie, swoją drogą, powietrze w Londynie zrobiło się ostatnio niezdrowe dla rządów: Downing Street też w tarapatkach a tu sytuacja w świecie podejrzana i co będzie, jeśli damy się zaskoczyć?

Zjawienie się Męża Stanu kieruje naszą uwagę na sprawy publiczne. Ktoś wspomina świeżo odbyty Bal Emigracji: jak tam było tłoczno i szampańsko, można było oglądać najwyższe osobistości rządowe, wojenne, społeczne, towarzyskie i kulturalno-oświatowe, całą jednym słowem Elitę Emigracji, a przy tym najwytworniejsze panie i najdroższe toalety. Szkoda — myślę sobie — że Dior i Harrods jeszcze nie przyszywają swych etykietek na biuście jak order, wtedy już każdy by je musiał oglądać. Bal dał dobry dochód i nic dziwnego: wszyscy ludzie dobrej woli chcieli się przyczynić, skoro odbywał się na Skarb Narodowy. I ten dochód byłby jeszcze większy, gdyby nie położyli na nim łapy Anglicy i nie zdarli podatku VAT. Jak to — irtuje się jakiś czerstwy pan — wiadomo że Skarb Narodowy jest skarbem Państwa Polskiego na Wygnaniu, więc jakim prawem rząd angielski ściąga podatek z obcego rządu? Co na to prawo międzynarodowe? Rozgląda się wokół pytająco, a my się głowimy: rzeczywiście — co? Szkoda, że nie jestem biegła w prawie i nie potrafię zająć stanowiska.

A tu ruch nie słabnie, ciągle ktoś wchodzi i wychodzi, jedni się wyłączają, inni włączają do rozmowy. Ożywiony pan już od wejścia rzuca w przestrzeń: — Wyobraźcie sobie państwo, otrzymałem zaproszenie żeby wygłosić odczyt! — Wyłuskuje z portfela jakiś karteluszek i tka nam przed oczy. Patrzymy z szacunkiem: widać ktoś znany w świecie, proszę jak się o niego ubiegają! Wstyd mi, że nie mam pojęcia co zacz. Tymczasem jakaś leciwa dama grzebie w torebce, wrzuca monety do skarbonki i przeprasza Sympatyczną Panią, że nie może dać więcej, ale cóż — emerytka. Może jednak i to się przyda Bibliotece, na znaczki albo ołówki? Jaka szkoda — myślę sobie — że nie widzą tego ci wszyscy, którym dać 10 funtów byłoby łatwiej, niż jej 10 pensów, a który wśród wspierających Fundusz Biblioteczny świeca

przykładną nieobecnością. Zwłaszcza nasze sfery *business'owo-finansowe* (bo to jedna jaskółka nie czyni wiosny), którym do dobrego samopoczucia najmniej potrzebna jest książka. Choć nie, na pewno by się nie zawstydzili, zdolność do wstydu wymaga jednak pewnej subtelności charakteru. I wymaga ludzi, których niedawno w *Kulturze* tak celnie określił Pelikan jako Polaków z troską w sercu i książką w rękę, a w tym wypadku jeszcze trzeba dodać: i z dobrą forszą w banku. Wśród fundatorów i dobrodziejów Biblioteki Polskiej w Paryżu figurują najgłośniejsze i najbogatsze nazwiska Wielkiej Emigracji. Wśród przyjaciół Biblioteki Polskiej w Londynie pachnących monetą *business'owych* nazwisk Małej Emigracji mniej niż na lekarstwo. Nie znajdzie się tu pana ..., ... i innych (znane nazwiska i nazwy firm niech każdy sam sobie dośpiewa). Nie znajdzie się również mnóstwa zamożnych, ludnych i hurra-patriotycznych organizacji oraz parafii. Dla pierwszych książka nie ma nic wspólnego ze Sprawą Polską. A dla drugich? Czy dlatego woła z daleka, że książki zachęcają ludzi do myślenia, a myślenie nie zawsze tam prowadzi, gdzie duszpasterz by sobie życzył? Minęły czasy księży intelektualistów i bibliofilów, przynajmniej na emigracji.

Wśród przyjaciół Biblioteki jest za to urodzaj na bezimiennych emerytów i gdyby ten wdowi grosik mógł zabezpieczyć jej przyszłość, byłaby bogata instytucją. Nic więc dziwnego, że Sympatyczna Pani wylewnie dziękuje starszej damie i zapewnia, że a jakże, przyda się, i to bardzo. I zaraz zgłasza pretensję do innej pani, która mimo upomnień od roku przetrzymuje książkę Machejka. Nie ma rady, będzie musiała zapłacić karę. Winowajczyni oświadcza, że zapłaci chętnie, a z książką rozstać się nie sposób. Kupiłaby na własność, ale nigdzie nie mają: ani w Orbisie, ani u Kombatantów, ani nawet w reżymowym Poloniezie. Czy naprawdę tak się jej ten Machejek podoba? — Skądże znowu — protestuje krnąbrna czytelniczka — ale ja strasznie cierpię na bezsenność. Doktor przepisywał mi różne rzeczy, wszystkim próbowałam, liczyłam barany, przepowiadałam tabliczkę mnożenia, a wszystko na nic. Tylko ten Machejek mnie ratuje. Więc państwo rozumieją: zapłacę i od łóżka go nie puszcę.

Odczuwamy ulgę, że wyjaśnienie jest, jak zwykle, o wiele prostsze niż się podejrzewa. A tym czasem Sympatyczna Pani zaczyna strofować niepozornego człowieczka, który właśnie zwraca książkę, że zalał ją kawą i jak tak można postępować ze społeczną własnością. Zatroškany przestępca tłumaczy pokornie, że to nie kawa, bo kawy nie lubi, że to na pewno herbata, ale on coś wrzuci za to do skarbonki i więcej nie będzie. Burza cichnie, znów zaczynamy grzebać w książkach, które są tu wsze-

dzie, bardziej obecne niż w innych bibliotekach: na półkach ubite w dwa rzędy, spływają na stoły, pod stoły i na podłogę, ciasnota okropna, chyba rozsądzi ściany. Podobno rzeczywiście pękają i co będzie jak się zaczną walić? A tu o przeprowadzce nie ma mowy, pierwszeństwo mają restauracje i potańcówki, zresztą straszny brak pieniędzy. Żeby znaleźć się w gazecie i na pamiątkowej tablicy, Rodacy rzucili się zdobywać tytuł Fundatora POSK'u: zadeklarowali po 250 funtów, wpłacili na odczepnego 50 i o reszcie nie ma mowy. Za to podobno żądają specjalnych odznak Fundatora do noszenia na kłapie (a może by je lepiej przyszpilić do tych szlachetnie myślących czół, żeby każdy widział ich hojność?). Ale te odznaki koniecznie muszą być złote — przecież Dobrodzieje nie mogą się obnosić ze zwykłymi metalowymi jak jaka hołota. Prawda, Panie Redaktorze, jakie to swojskie? Kochani Rodacy! Zresztą co do funduszu budowy, to chodzą plotki, że są bardzo poważne trudności, że jakaś bogata organizacja zarwała z przyobiecana wpłatą. Ale to tylko plotki, bo na Poczytnych Łamach panuje głucho milczenie, całkiem jakby chodziło o familijny *business*. Naszą rzeczą, członków i płatników, jest płacić i milczeć, informacje o tych sprawach nam się nie należą. A w Bibliotece pękają ściany i strach pomyśleć, że się zniemacka zawali.

— Kto to jest Grażyna Nowak?

— Nie wiem, proszę pana. Dotąd mi się nie przedstawiła.

— A ja podejrzewam, że pani wie. Proszę ją ode mnie ucłować!

Z wrażenia omal się nie walę na kark mego nieznanego przyjaciela, ale dalej grzebię w książkach, marudzę jakby nigdy nic. Postanawiam wszystkich przeczekać i zostać z Sympatyczną Panią sam na sam. Wreszcie sala zaczyna się opróżniać, wychodzą ostatni czytelnicy. Pani krząta się, dzwoni kluczami i szykuje do odejścia, spoglądając pytająco kiedy się wreszcie wyniosę. A ja zastępuję jej drogę:

— Proszę pani, kto to właściwie jest Grażyna Nowak?

— Nie mam pojęcia, słyszy się różne rzeczy. I słowa takie grube.

— Niech się pani nie krępuje. Co się słyszy?

Zastanawia się. — Po co rozsiewać plotki? Ale niech już będzie, powiem. A więc mówią, że to jest:

po pierwsze: zakamuflowany stary alkoholik,

po drugie: wściekły babsztyl,

po trzecie: W. A. Zbyszewski,

po czwarte: M. Danilewiczowa, jednakże z zastrzeżeniem, że chyba nie, bo to bardzo kulturalna osoba, a ta Nowak to ordynarny cham,

po piąte: triumvirat, bo jeden człowiek nie mógłby wszędzie być i wszystkiego podglądać,

i po szóste: reżymowa wtyczka nasłana do rozsądzenia Emigracji.

— A pani co myśli?

— Bo ja wiem... Że trzeba zamykać Bibliotekę.

— Już idę...

Grażyna NOWAK

Dzieci powojennej emigracji

Pierwsze pokolenie dzieci urodzonych poza krajem pochodzenia rodziców jest pokoleniem skazanym na podwójność. Dzieje się tak dlatego, że dzieci te, które uparcie — chociaż nie zawsze skutecznie — poszukują własnego miejsca na świecie i własnej filozofii życiowej, dojrzewają w warunkach sprzyjających podwójnej tożsamości.

Dojrzewanie ich i stopniowe, a czasem i gwałtowne oderwanie się od domu, skomplikowane jest procesami dostosowywania się emigrantów (rodziców i dzieci) do nowego otoczenia. Są to przeżycia trudne i dla rodziców i dla dzieci, nie pozbawione epizodów dramatycznych, nie zawsze zakończonych szczęśliwym *happy end'em*.

Chciałabym przyjrzeć się bliżej warunkom, w których wrosła i wzrastają dzieci powojennej emigracji, w nadziei że takie spojrzenie pomoże jeśli nie w złagodzeniu, to chociaż w zrozumieniu przyczyn konfliktów uczuciowych w polskich rodzinach emigracyjnych.

Rodzina polska na emigracji

Polska emigracja powojenna do Stanów Zjednoczonych była w przeważającej większości emigracją ludzi urodzonych, wychowanych i często wykształconych w okresie Dwudziestolecia. Wielu z nich przeszło przez polską szkołę podstawową, niektórzy ukończyli gimnazjum, a czasem i uniwersytet.

Emigracja powrześniowa, chociaż niejednolita pod względem wieku, wykształcenia i pochodzenia klasowego, miała wspólne cechy charakterystyczne i wspólne wartości. Przymiotnik „polityczna” przyłgnął do emigracji powrześniowej i podciągnął pod nią i tych emigrantów, którzy na emigracji pozostali nie ze

względów politycznych, lecz chętnie uwierzyli w swoje polityczne wygnanie.

Sprawą łączącą wszystkich wrześniowców — niezależnie od wieku, pochodzenia i głównych motywów pozostania — było doświadczenie polskiego Dwudziestolecia. „Eksplzja” Polski w roku 1918 wytworzyła klimat oszołomienia wolnością, egzaltację zachwytu nie pozwalającą na dystans, wiarę we własne i młodego kraju siły i rozdmuchaną dumę z własnego pochodzenia narodowego nieraz oślepiającą, zwężającą zakres swobodnego spojrzenia. Szok upadku państwa, rozpacz utraty ojczyzny, zmiana warunków politycznych, wpłynęły na ustawienie hierarchii wartości, którą wrześniowcy przywieźli z sobą do nowego kraju i przekazać chcieli młodemu pokoleniu.

Wartością dominującą emigracji politycznej było pragnienie wolności. Łączyło się z tym zachowanie honoru (raczej trwać poza krajem, niż pozwolić urazić swój honor w kraju) i kontynuacja pracy społeczno-politycznej dla kraju poza jego granicami. Wartościami niezależnymi od charakteru emigracji, a wpływającymi z silnych powiązań z kulturą polską, wartościami o typie Jungowskich „archetypów”, albo mówiąc językiem współczesnym, wartościami etnicznymi, było przywiązanie do ziemi i do miejsca zamieszkania.

Polacy, naród osiadły, nieco leniwy w swojej osiadłości, związany z ziemią: polem i puszcza, zależny od płodów pola i żyjący w cieniu drzewa, naród rolników, cieśli, bartników, związany z porami roku, niechętnie, boleśnie odrywał się od własnej osady.

Rzadko bywaliśmy sławnymi podróżnikami, odkrywcami, nie porywaliśmy się na zamorskie przygody, byliśmy „z roli”, w prostej chyba linii od kołodzieja Piasta, gościnni, ale niechętni zbyt odległym, zbyt przedłużającym się wizytom, uparci w pozostaniu na swoim. Stąd tęsknota emigrantów polskich za ziemią na której wyrosli, i ziemia jako wartość etniczna.

Z wartością przywiązania do ziemi łączy się wartość własnego domu, posiadania domu, stwarzania swoistej atmosfery domowej. Z wartości trwania na miejscu wypływa niechęć do zmiany: miejsca zamieszkania, pracy, lojalność wobec pracodawcy i otoczenia.

Jako naturalne następstwo długiej zależności młodszych od starszych w kulturze polskiej, wytworzyła się wartość szacunku i posłuszeństwa dla autorytetu wieku i pozycji. Wartość tę przekazywali rodzice-emigranci dzieciom. Uczyli je też szacunku dla obrzędów obyczajowo-religijnych, a specjalnie dla obrzędów Bożego Narodzenia: wieczerzy wigilijnej. Łamanie się przyszytanym z kraju opłatkiem, barszcz czerwony, ciasto drożdżowe, kolędy stały się rytuałem rodzinnym u większości emigrantów powrzesniowych. Przekazywanie języka polskiego, mimo jego niewątpliwej wartości jako symbolu i jako najbliższego rodzicom środka porozumienia z dziećmi, odbywało się z mniejszą gorliwością. Działo się tak pewnie dlatego, że uczenie języka polskiego wyma-

gało dużo większej i systematyczniejszej pracy niż doraźne opowiadania o przeszłości historycznej Polski i o własnej przeszłości bojowej, opowiadania w których rodzice przekazywali dzieciom ideały wolności, poczucia honoru i przywiązania do kraju. W porównaniu z dawnymi emigracjami powrześniowcy przyswajali sobie stosunkowo łatwo język angielski, i ta umiejętność wpływała również tamującą na porozumiewanie się z dziećmi wyłącznie po polsku.

W chwili lądowania na nowym kontynencie pragnieniem większości rodzin emigracyjnych było wychowanie dzieci jeśli nie „na Polaków”, to chociaż „w duchu polskim”. Wyrażali to poprzez mniej lub więcej podobne życzenia: Chciałbym, aby dzieci moje wyrosły na porządnych, uczciwych ludzi”, rzadziej: „na ludzi szczęśliwych”.

W badaniu „rodziny przeszczepionej” na 2.049 odpowiedzi aż 934 osoby (a więc prawie 46 % badanej grupy) odpowiedziały że chciałyby, aby ich dzieci czuły się przede wszystkim Polakami. Prawie 25 % odpowiadających wolało, aby ich dzieci czuły się raczej Amerykanami niż Polakami. Inni uważali, że nie należy stwarzać w dzieciach poczucia odpowiedzialności za uczuciową przynależność do Polski czy do Ameryki, lecz wyrabiać w nich świadomość zarówno polskiego jak i europejskiego pochodzenia. Bardziej sceptyczni stwierdzali, że żyjemy w świecie marzeń i że jednym z nich jest wychowanie dzieci na Polaków. Rzeczywistość jest jednak inna: dzieci emigrantów nigdy ani nie staną się stuprocentowymi Amerykanami, ani też pełnymi Polakami. Należy zatem spojrzeć prawdzie w oczy: na emigracji wychowanie dziecka na Polaka to usiłowanie „płynięcia pod prąd”.

Trzeźwe rozważania nie zawsze zgadzają się z ukrytymi, podświadomymi marzeniami. Marzenie przekazania siebie poprzez dzieci razem z własnym polskim dziedzictwem i polskim charakterem silniejsze bywa od rozsądku, a „płynięcie pod prąd” nieraz już bywało cechą charakterystyczną Polaków.

Z chwilą decyzji na emigrację do Ameryki, wrześniowcy decydowali się nie tylko na zmianę geograficzną, i mniej świadomie na zmianę kulturalną, ale szli na spotkanie zmianom socjalnym, które w świecie anglosaskim znacznie wyprzedziły analogiczne zmiany w Polsce. Spójrzmy na zarys tych zmian. W późnych latach czterdziestych i pięćdziesiątych fala urbanizacji i uprzemysłowienia, która rozpoczęła się u progu obecnego stulecia, dochodzi do niespotykanych dotąd rozmiarów. Tłum ludzki, czarnych i białych z Południa, wypychany rozrastającą się automatyzacją rolnictwa prze do wielkich metropolii, stwarzając zamieszanie i tłok, i poszerzając dzielnice *slums*’ów. Ruch migracyjny w całej Ameryce wzmaga nasilenie *anomie* — obojętności i bezosobowości zarówno człowieka wobec człowieka, jak i wielkich instytucji wobec spraw ludzkich. Rodzina, dawniej szeroko rozgałęziona, kurczy się obejmując tylko rodziców i dzieci, którzy odtąd muszą jedynie na sobie polegać. Instytucje ciotek, wujków, dziadków i babek coraz bardziej tracą na znaczeniu, coraz bar-

dziej odsuwane są przez usamodzielniającą się rodzinę nuklearną. Doświadczenie starszych przestaje być wartością, natomiast środki masowego przekazu, radio, telewizja, pisma popularne, zajmują miejsce dawnej, przekazywanej przez pokolenia mądrości życiowej. Łatwość pracy w przemyśle usamodzielnia wcześniej dzieci od rodziców, rozluźnia więzy posłuszeństwa i szacunku, podkopuje autorytet rodziców przemęczonych i nie zawsze pewnych własnych zasad wychowawczych.

W tłoku i w *anomie* metropolii amerykańskich emigrant polski, ze swoją troskliwie przewiezioną szkatułą narodowych wartości, wydaje się zagubiony i bezradny. W przeciwieństwie do emigracji zarobkowej, emigrant powrześniowy nie tworzył skupisk polskich. Emigranci powojenni albo omijali, albo też opuszczali szybko polskie dzielnice. Przeszło 78 % badanej przez mnie grupy emigrantów mieszkało poza dzielnicą polską. Wpłynęły na to dwa czynniki: upadek dzielnic polskich i szukanie lepszego miejsca zamieszkania dla siebie i dla dzieci. Wydaje mi się jednak, że głębsza przyczyna wyjścia poza dzielnicę polską leżała w chęci izolacji. To „uciekanie od siebie” emigrantów można by tłumaczyć poczuciem winy opuszczenia kraju, który znalazł się w potrzebie i w nieszczęściu. Wtrącona w nowe środowisko, często bez oparcia o dalszą rodzinę, albo o grupę sąsiadów czy przyjaciół o podobnym sposobie myślenia, rodzina powrześniowego emigranta zaczynała dostosowywać się do otoczenia. Najszybciej, jak zwykle, dostosowały się dzieci. Czy było to jednak dostosowanie o skutkach jedynie pozytywnych — nie wiemy. Nie wiemy też — nie mając badań na ten temat — jak wpłynęła na rozwój dziecka niemożność porozumienia się z dziećmi sąsiadów, jak zaciążyło na psychice początkowe odręczenie, albo też nie zupełne przyjęcie przez dzieci, które zawsze razi inność malowanego ptaka. Zakładam tu, że dzieci emigrujące z rodzicami nie mówiły jeszcze po angielsku, albo że mówiły słabo, że językiem ich pierwszego dzieciństwa i nawet lat przedszkolnych był język polski, a dopiero później, stopniowo język ten, zaniedbywany, zaruszony, ustąpił pod wpływem presji otoczenia, samych dzieci, a czasem i rodziców („dla dobra dziecka”), językowi angielskiemu.

Nawet u tych dzieci, które nie miały trudności w porozumieniu się ze swymi amerykańskimi kolegami, stawała początkowo na przeszkodzie wyczuwalna przez dzieci tylko inność. Była to jednak faza przejściowa, którą tylko bardzo spoztrzegawczy rodzice zauważali, przez którą dziecko emigrantów przechodziło dobrze, która jednak (wydaje mi się) pozostawiała ślad w osobowości dziecka emigrantów.

Atrakcyjność nowego kraju, samodzielność dzieci sąsiadów i kolegów szkolnych, zdumiewała i pociągała młode pokolenie emigrantów. Zaczynali sobie zdawać sprawę, że rodzice ich różnią się od rodziców ich amerykańskich kolegów: byli bardziej wymagający, bardziej *strict* i nie naganiali ich do pracy poza godzinami szkolnymi, przeciwnie, niechętnie patrzyli na ich „za-

robki”. Ale mimo odruchów buntu, ta inność, bardziej surowa dyscyplina — podobała im się.

Póki jeszcze byli mali, póki nie przekroczyli granicy świata nastolatków, młodzi emigranci pozwalali się ubierać w krakowskie stroje i mundury łańskie. Ale już w okresie dojrzewania zaczynali krytyczniej oceniać dziwactwa swoich rodziców i zastanawiać się nad własną rolą na pograniczu dwóch światów: świata rodziców, którego nigdy nie znali, oraz świata własnego dzieciństwa i własnej młodości, który ich otaczał.

Polska, której nigdy nie znali

Kiedy syn nasz nie przekroczył jeszcze dziesięciu lat, matka moja starała się przekazać mu polskie wartości narodowe i wartość powrotu do kraju, w który polityczna emigracja długo wierzyła.

— Babciu — spytał — co to znaczy wracać?

A kiedy mu wytłumaczyła, powiedział:

— Jak ja mogę wrócić, kiedy tam nigdy nie byłem?

Później, gdy jako dorosły chłopiec pojechał sam do Polski, nie znalazł tam, jak mówił, „Polski swoich rodziców”.

Świat, który istniał w okresie dzieciństwa i młodości rodziców-emigrantów, już nie istnieje. Nie myślę tu tylko o świecie polskich emigrantów, ale o utraconym świecie całego pokolenia Europejczyków i obywateli obu Ameryk, o pokoleniu urodzonym przed Drugą Wojną Światową. Dzieci tego pokolenia, które na świat przyszły w połowie lat czterdziestych i w latach pięćdziesiątych, wzrastały w cieniu wojny koreańskiej, *war against poverty*, walki o prawa Czarnych, w okresie upadku autorytetów i autorytetu dorosłych, w czasach tworzenia się *youth culture* i wpływu tej kultury na swobodę seksualną, eksperymentowanie narkotykami, w okresie buntu przeciwko ustalonym prawom „systemu”.

Młodość współczesna, którą od młodości jej rodziców dzieli niewiele ponad ćwierćwiecze, wydaje się dziwnie oddalona od przeszłości. Głęboka rozpadlina, krater niezrozumienia i nieporozumienia wyrwany kataklizmem ostatniej wojny, leży pomiędzy obu pokoleniami. Dawne problemy rodziców wydają się nie-realne w porównaniu z *population explosion*, narastającym kurczeniem się świata, na który człowiek spoglądać może z księżycą.

Podczas gdy rodzice-Amerykanie dają sobie radę, albo też nie dają sobie rady, z *generation gap* na własnym gruncie, we własnej kulturze i we własnej społeczności krewnych, sąsiadów, znajomych — emigrant powrześniowy ze swoją romantyczną przeszłością leśnej partyzantki, ze sztandarem honoru i nostalgii za krajem, z pełnieniem narodowych i kulturowych wartości domagających się przekazania — wydaje się raz jeszcze kawalerzystą szarżującym na czołgi. A przecież ten szarżujący ułan ma szansę. Dlaczego?

i księżycy, pozostały podstawowe potrzeby człowieka. Są to woda, powietrze, schronienie, żywność i potrzeba zaczepienia, przynależności, korzeni, o której Simone Weil pisała, że jest „największą potrzebą duszy ludzkiej”. Ta właśnie potrzeba kieruje instynktem rodziców w przekazywaniu dzieciom własnych wartości etnicznych. Ta sama potrzeba powoduje, że dzieci szukają oparcia i zakorzenienia w przeszłości rodziców. Dzieje się to w okresie, w którym dziecko dorastając wydaje się pozornie odrzucać wartości rodziców. Okres ten — odrywania się od domu, dojrzenia, potrzeby zaznaczenia swojej inności — okres młodości dzieci tak krańcowo innej od młodości rodziców, nie łatwy jest dla każdej rodziny, a specjalnie trudny dla rodziny emigracyjnej.

Kilka lat temu przeprowadzałam wywiad z urodzoną na emigracji młodą dziewczyną. Chciałam się od niej dowiedzieć jaki jest stosunek pierwszego pokolenia emigracji powrześniowej do polskiego rodziców. Była to dziewczynka wybitnie inteligentna i, mimo polskiej atmosfery domu, bardzo wrośnięta i w Amerykę i w amerykańską *youth culture*. Rodzice uważali ją bardziej za Amerykankę, niż za Polkę. W okresie kiedy z nią rozmawiałam, naturalnie po angielsku, mieszkała sama w innym niż jej rodzice mieście, i — jak wielu młodych Amerykanów — starała się „odnaleźć samą siebie”. Na moje pytanie jakie zauważyła różnice pomiędzy rodziną amerykańską a rodziną polskich emigrantów powojennych, odpowiedziała:

„Rzecz jasna, są różnice. Przede wszystkim dzieci w rodzinach polskich mają dużo więcej szacunku i uczucia dla rodziców... I jeszcze... że i rodzice moi i ich polscy przyjaciele mają dużo szersze spojrzenie na świat, niż Amerykanie. Rozmowy przy stole zawsze mają jakieś głębsze znaczenie, nie jest to zwykła, powierzchowna gadanina. I nie ma podziału na starszych i młodszych, bo w dyskusję wciągnięci są wszyscy niezależnie od wieku”.

Zapytałam co sądzi o rodzicach, którzy starają się nie mówić w domu po polsku, aby pomóc dzieciom w szybszym zamerykanizowaniu i tym samym pozbawić je uczucia wyobcowania jako *foreigners*.

Odpowiedziała:

„Dla mnie to jest zupełnie tak, jakby matka-malarka nie chciała rozwiesić swoich obrazów w domu. Bo to nie ma sensu. Każdy wnosi do rodziny co ma najlepszego, a w wypadku moich rodziców tą najlepszą rzeczą jest ich polskość. Mimo to mówię doskonale po angielsku i nigdy nie miałam problemów z asymilacją”.

Kraj lat dzieciennych emigracji powrześniowej, kraj asteroidów do którego drogi prowadzą już tylko poprzez wspomnienia, jest dla dzieci urodzonych na emigracji nierealny. Realny natomiast jest fakt, że te wszystkie sprawy, idee i wzory postępowania, którymi rodzice-emigranci odróżniają się od otoczenia — i w których jako grupa są do siebie podobni — to wszystko co nazywamy obecnie etnicznością, co moja młoda respondentka nazwała

„obrazami matki-malarki”, co Janusz Korczak określił mianem „łańcucha pokoleń”, a Simone Weil „największą potrzebą duszy ludzkiej” — trwalsze jest od następujących po sobie różnych „krajów lat dzieciennych”, a dla dzieci powojennej emigracji jak najbardziej realne, wartościowe, gdyż jest to tworzywo z którego młody człowiek przedzie jedyną, niepowtarzalną, własną tożsamość.

Dwukierunkowa tożsamość dzieci powojennej emigracji

Chociaż człowiek potrafi się dostosować do najdziwniejszych, najtrudniejszych warunków życia, nie zawsze jest z takiego przystosowania zadowolony. Mówimy wtedy, że czujemy się źle, że nie możemy znaleźć sobie własnego miejsca, że otoczenie nie jest przyjazne i albo my go nie rozumiemy, albo ono nas zrozumieć nie może.

Wydaje mi się, że większość emigracji powrześniowej to ludzie nie całkowicie z siebie zadowoleni, ludzie którzy nie zawsze znaleźli własne miejsce. Zejście z obranej w młodości drogi nie było sprawą łatwą. I chociaż nowa droga nieraz okazała się lepsza, bezpieczniejsza, ciekawsza, pozostało uczucie jakiegoś niedokończenia, niedojścia, niespełnienia, wewnętrznego nieskrystalizowania.

Poczucie wewnętrznego nieskrystalizowania, uczucie winy i żalu, że nie doszło się tam gdzie dla jakichś powodów dojść należało, chociaż i powód i geografia mglistego „tam” bardzo są nieokreślone, poczucie straty, że nie osiągnęło się czegoś co pozostawało może w granicach osiągalności, następująca po żalu rezygnacja; uczucie wyobcowania, niepokoju, zawieszenia w próżni, obezwładniająca bierność, zniechęcenie do wszystkiego i do wszystkich, uczucie pokrzywdzenia i niesprawiedliwości życiowej — to wszystko co w chwilach depresji nęka powojennego emigranta, z czym nauczył się już żyć, dawać sobie radę, stało się również, poprzez obserwację i procesy upadabniania się do rodziców — udziałem jego dzieci. Tylko, że dzieci mniej odporne, nie znające ścieżek do podtrzymującego kraju lat dzieciennych rodziców, borykać się muszą same z własną innością i rozdwojeniem. Zaczyna się to najczęściej w okresie dojrzwania dziecka. Przygotowanie do wysoku w świat dorosłych jest procesem następujących po sobie krótkich spięć z rodzicami.

Tarcia te, udręczające obydwie strony, kończą się albo powtórnikami narodzinami pełnego człowieka — tym razem narodzinami psychicznymi, albo też zerwaniem z rodzicami i okresem samotnych zmagania. Są to procesy właściwe wszystkim rodzinom, ale bardziej skomplikowane dla rodziny przeszczepionej.

Wśród wielu potrzeb współczesnego życia, niezmiennych przez mutacje pokoleniowe, zacieśnienie świata, zbliżenie gwiazd

Dlaczego niektóre rodziny przechodzą przez okres odrywania się dziecka od domu spokojnie i względnie łatwo, a u innych połączone to jest z wielkimi trudnościami, nieraz z tragedią? Przyczyny nieporozumień dzieci z rodzicami w okresie ich dojrzewania i tworzenia własnej tożsamości są różne. Warto się może przyjrzeć ważniejszym źródłom tych nieporozumień. Pierwsze, to proces ścierania się młodych ze starszymi, proces naturalny i potrzebny. Wywalczenie własnej niezależności. Niezależność nie wywalczona, ofiarowana zbyt liberalnie — nie jest pozycją cenioną. Przeciwnie, *permissiveness* rodziców uważają dzieci za symptom braku prawdziwego nimi zainteresowania. Druga przyczyna, to wytworzenie się w świecie współczesnym sytuacji paradoksalnej, w której dzieci stają się ekspertami, a rodzice niedoświadczonymi dziećmi. Świat coraz bardziej wrastającej automatyzacji, nieustannych zmian stylu życia, z którymi dzieci muszą sobie niejako automatycznie dawać radę, bardziej jest dla nich zrozumiały niż dla rodziców, zwłaszcza dla rodziców-emigrantów.

Dzieci powojennej emigracji, balansując pomiędzy domem i otoczeniem, stwarzają same siebie w niezmiernie trudnym procesie odkrywania kim chcą być naprawdę.

Z otoczenia czerpią to wszystko, co urzekło je w kraju ich lat dzieciennych: bezkompromisową szczerą, pragnienie otwartego spojrzenia na sprawy życia i śmierci, demokratyczne spojrzenie na świat i technikę życia w nowoczesnym społeczeństwie, w kulturze anglosaskiej pozbawionej niedomówień, nazywającej rzeczy po imieniu. Do rodziców zwracają się z zaufaniem, podyktowanym rodzinną lojalnością, po ten budulec norm i wartości, który stworzy fundament ich człowieczeństwa.

Nasuwa się pytanie jak złagodzić trudności dzieci powojennej emigracji, jak podeprzeć je w niełatwym starcie życiowym, jak uniknąć tragedii ucieczek z domu, porzucania szkoły, wpadania w nałóg narkotyków, słowem — tych wszystkich bolesnych spraw, które są rozpaczliwym krzykiem o pomoc.

Wydaje mi się, że świat współczesny, współczesny układ rodzinny, wymaga innej formy stosunków pomiędzy rodzicami i dziećmi. Wyobrażam to sobie jako stosunek wymiany, wzajemnego dawania i brania, stosunek dialogowy, który nie tylko pozwala na zachowanie autorytetu rodziców, ale również na szacunek dla wypowiedzi dziecka.

Rodzice w tym układzie staną się nie tylko nauczycielami, ale również pozwolą się uczyć, nie tylko będą przekazywali własne doświadczenia, ale i korzystali z doświadczenia dzieci. Umiejętność słuchania, ta pierwsza zasada prawdziwego dialogu, jest dla wszystkich rodzin warunkiem zmniejszenia *generation gap*. Dla rodziny powrzesniowego emigranta umiejętności dialogu z dziećmi, obarczonymi i wzbogaconymi dwukierunkową tożsamością, jest odpowiedzią na ich wołanie o pomoc zwrócone do rodziców.

Danuta MOSTWIN

Jubileusz tygodnika polonijnego

(60-LECIE „CZASU” W WINNIPEGU)

Prasa w języku polskim istnieje poza Polską wyłącznie dzięki ofiarności rodaków. Ale muszą oni zdawać sobie sprawę, że ze skromnymi funduszami wydawniczymi nie potrafimy w żadnym wypadku konkurować z bogatymi gazetami kraju naszego zamieszkania. Wyjaśnienie tego rodzaju wydaje się na miejscu przy opisie 60-lecia polskiej gazety *Czas* na preriach Środkowej Kanady.

Za przykładem obfitego ruchu wydawniczego w Chicago i Detroit ukazywały się i nad Red River w Kanadzie periodyki polskie, kalendarze rodzinne i biuletyny pierwszych stowarzyszeń polonijnych. Dopiero jednak w napiętej sytuacji przed pierwszą wojną światową OO. Oblaci, pochodzenia francuskiego, odważają się na systematyczne publikowanie tygodnika polskiego *Gazeta Katolicka*. Pierwszy numer ukazał się w Winnipegu w 1908 roku. Nie wszyscy nasi emigranci byli katolikami. Wielu wśród nich wyznawało prawosławie, wielu też, jako liderzy postępowego ruchu ludowego, pozostawało w opozycji do duchowieństwa. Dla nich to właśnie Karol Dojaczek, z pochodzenia Czech, rozpoczął wydawać latem 1914 roku aż trzy świeckie pisma naraz: po ukraińsku, chorwacku i po polsku. Pierwszym redaktorem polskim gazety *Czas* — w tym międzynarodowym zespole — został były nauczyciel, Maksymilian Major.

Zachowane dotychczas roczniki polonijnego tygodnika *Czas* w Winnipegu wykazują z jakim entuzjazmem wyglądali wtedy Polacy politycznych wieści znad Wisły.

Pismo ukazujące się tysiące mil od ojczyzny ze wzruszającą skrupulatnością odnotowuje przyjazd Marszałka Piłsudskiego do Warszawy i pierwsze posiedzenie gabinetu suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej. Gazeta zapewnia, że jej celem ideowym jest szczerą obrona ludu, szerzenie braterstwa oraz praca dla Polski w celu zachowania tradycji i zwyczajów narodowych.

W 1928 roku zaczął się ciężki kryzys gospodarczy. Imigrantom przypisywano zupełnie nieuzasadnione winy ekonomiczne. Na łamach *Czasu* ukazał się nawet artykuł antypolski, atakujący gorący patriotyzm polskich pionierów na preriach. Zwrócono się do wydawcy, K. Dojaczka, aby umieścił w gazecie sprostowanie i przeproszenie. Kiedy odmówił, zapadła decyzja wykupienia gazety z obcych rąk.

Zebrańmiem potrzebnej sumy zajęły się organizacje polonijne: członkowie Towarzystwa Gimnastycznego „Sokoł”, druhowie z Bractwa Św. Jana Kantego czy Św. Piotra i Pawła. Zawiązano spółkę „Polish Press Limited” z odpowiedzialnymi akcjami, która w 1931 roku przejęła pismo.

Przed drugą wojną światową gazeta polska w Winnipegu, pod kierownictwem red. Juliana Nowackiego, zjednoczyła Polonię w Środkowej Kanadzie.

Człowiekiem, który pomógł przetrwać gazecie polskiej w Winnipegu podczas drugiej wojny światowej, był Gustaw Chudzicki. Publikował on z werwą artykuły redakcyjne, popierał wszelkie akcje polonijne na chleb dla głodnych dzieci, organizował pomoc dla naszej armii w Palestynie i w Włoszech.

Po drugiej wojnie światowej na prerie kanadyjskie zaczęły masowo napływać Polacy — do pracy na farmach i w kopalniach. Poparli oni polską gazetę, która jednocześnie znalazła się w wirze politycznych sporów polo-

nijnych. Przy biurku redakcyjnym zasiadł w 1947 roku dr Adam Synowiecki, były polski konsul w Winnipegu, prawnik z wykształcenia, człowiek pracowity, który przez 23 lata sprawnie kierował pismem.

Od roku redaktorem, odpowiedzialnym za kształt literacki i ideowy tygodnika *Czas*, jest niżej podpisany. W czerwcu, z okazji 60-cioletniej rocznicy wydamy jubileuszowy numer naszej gazety, która jest polonijnym środkiem wymiany myśli w Zachodniej Kanadzie.

W 1973 roku udało się nam znacznie ożywić zainteresowanie gazetą i zyskać nowych prenumeratorów oraz osiągnęliśmy dobre rezultaty składek na Fundusz Prasowy. Staramy się pisać o wszystkich akcjach Polonii w Winnipegu i informujemy o sprawach, które mogą ją bezpośrednio interesować. Nie dyskryminujemy żadnych wyznań czy przekonań politycznych, podając do publicznej wiadomości tylko wspólne osiągnięcia i nadzieje.

Mieczysław SZWEJ

Kronika kulturalna

Michał Tyszkiewicz

Wspomnienie o Michale Tyszkiewiczzu („Misiu” dla rodziny, przyjaciół i nawet dla znajomych) powinienby napisać nie dziennikarz, ale pisarz wielkiej miary. Dziennikarz jest tylko kronikarzem, może dać kilka dat biograficznych, parę szczegółów z życia, ale tego może zebrać się więcej tylko we wspomnieniach o ludziach, którzy szastali się po scenie narodowej; a gdy chodzi o „Misia” te daty, te fakty, ta „kariera” mówiąc językiem codziennym, są jednak skromne. Ale gdyby „Miś” (będę go odtąd tak nazywał, bo Tyszkiewiczów jest tyłu!) spotkał w życiu swego Prousta, to mogłaby z takiego wspomnienia wyrosnąć postać pod pewnymi względami podobna do Robert de St. Loup. Bo jako umysłowość Miś był subtelny, był w naszym stuleciu łącznikiem między starą magnaterią litewską, a zarazem krakowską, a nowymi warstwami, i jego małżeństwo z Ordonką było jakby traktatem przymierza między arystokracją, odchodzącą w cień, a inteligencją, zajmującą jej miejsce. Miś był epigonem, miał *charme* wersalskich ogrodów, ze złotymi liśćmi leniwo spadającymi z drzew, czy szeleszczącymi pod stopami turysty, w ciepłe popołudnie październikowe. Był epigonem warstwy, która nie musiała kłopotać się o pieniądze, bo zawsze je miała. Epigonem warstwy, która była wolna od snobizmu i kurmacherowania możliwym, bo znała swoje miejsce, i wiedziała, że jest najpierwsze. Miś nigdy nie pragnął ani kariery, ani zaszczytów, ani pozycji; zajmował się polityką tylko marginesowo — bo brat jego, Jan, był posłem na Sejm, bo obaj przyrodni bracia jego matki, Edward i Roger Raczyńscy, odegrali dużą rolę w dyplomacji polskiej, bo po matce, wnuczce Zygmunta Krasińskiego, po babce, Róży z Potockich Raczyńskiej, był najciślej związany z krakowskim klanem Stańczyków. Czynniki zewnętrzne sprawiły, że potem Miś musiał się poświęcić sprawom politycznym na całego: w Wilnie okupowanym przez Litwinów był tajnym delegatem rządu polskiego w Londynie; aresztowany przez Rosjan, gdy tylko ci wkroczyli na

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

teren Wilna w roku 1940, wywieziony do Rosji, został wypuszczony dopiero na zasadzie amnestii. W Rosji Tyszkiewicz odnalazł swoją żonę, Ordonkę, i znowuż rozjeżdżał po Rosji, jako delegat ambasady R.P., starając się ratować naszych rodaków z tium, łagrów i „posielenia”. Nigdy Miś o tych swych przeżyciach w Rosji nie opowiadał. W ogóle był z natury dyskretny, ale na pytania, dotyczące tego okresu, burkał wymijająco, albo zmieniał temat rozmowy. Dotąd nie wiem, gdzie siedział w więzieniu, zdaje mi się, że na Łubiance, albo na Butyrkach, w każdym razie w jakimś więzieniu śledczym, ale to nic pewnego. Ile razy próbowałem coś od niego wydobyć na te tematy, tyle razy przypominało mi się co hr. Ciano — zięć Mussoliniego i włoski minister spraw zagranicznych — zanotował w swoim dzienniku (dziwnie szczerym i bystrym) *à propos* Krystyny Józefowej Potockiej, którą jej mąż potrafił jakoś wydobyć z Sowietów, poprzez presję dworu włoskiego, i sprowadzić do Rzymu. Gdy Józefowa Potocka przyszła do Ciano by mu podziękować za interwencję, Ciano zanotował, że ani jednym słowem nie wspomniała o swym aresztowaniu w Ołyce, i pobycie w rosyjskim więzieniu, i dodał: „*Quelle grande Dame!*”. O Misiu można by tak samo powiedzieć: *Quel homme!* Ciągłe rozczulanie się nad sobą, ciągłe wypominanie swych cierpień, czy swych krzywd, nigdy nikomu nie imponuje; przemilczanie ich jest zawsze świadectwem charakteru, wychowania, kośćca moralnego. Poza tym jest to absolutnie konieczna kuracja psychiczna. Ja sam ją stosuję; o chwilach ciężkich mego życia, choćby np. o dwukrotnym pobycie, jako wyrostek, pod rządami bolszewickimi w Kijowie w latach 1917-1919, wołę nigdy nie mówić, i o tych koszmarnych latach zapomnieć. Miś Tyszkiewicz miał w naturze skłonność do pewnej melancholii, ale nie zjadłej, nie agresywnej; po prostu smutek jesieni, właściwy latoroślom o zbyt długim rodowodzie, które zamykają dzieje swego rodu, zamiast je otwierać, a pod koniec także melancholię każdego człowieka, który czuje, że odchodzi, i że powinien odejść, bo już dalszych sił twórczych nie ma. Niemożność dalszej prokreacji oznacza oczywiście w dużym stopniu koniec życia kobiety, ale i w życiu mężczyzny — choć mniej wyraźnie — koniec fizjologiczny wieku męskiego też się odbija na usposobieniu, na twórczości, na energii, na ambicji. Tylko ten smutek powinien być pogodny, a nie pełen nienawiści i złości.

Po opuszczeniu Rosji Miś Tyszkiewicz przez bodajże pięć lat poświęcił się w Libanie ratowaniu zdrowia ubóstwianej żony, która w końcu, po latach ciężkiej agonii, umarła na jego rękach. Wróciwszy do Londynu w roku 1950, znalazł się w pierwszym garniturze współpracowników Radia Wolnej Europy, gdzie przez dwadzieścia lat pracował stale w „Newsach”. Robił to świetnie, bo miał zawsze dobre, wytrawne zdanie o wypadkach, wrodzony umiar w sądach, wycucie aktualności i wagi każdego ewenementu, poza tym pracował szybko i jego polszczyzna była zawsze doskonała. Gdy w Radio przeszedł na emeryturę, objął po Pawle

Sapieże opiekę w NRF nad uchodźcami z Polski, z ramienia polsko-amerykańskiego Komitetu Pomocy Polakom. Znowuż pracował doskonale, a jego wrodzony takt i życzliwość pozwalały mu nie tylko sprostać zadaniom, ale i zdobyć sobie wdzięczność i uznanie każdego interesanta. Lekarze zdecydowali, że trzeba operować go na prostatę. Operacja się udała, ale nazajutrz serce nie wytrzymało.

Tak by brzmiało Misia *curriculum vitae*. Jest ubogie. Ale *curriculum* każdego z nas, szarych ludzi, choćby z inteligencji, choćby z arystokracji, choćby z klasy polityków, dygnitarzy, urzędników, dziennikarzy, publicystów, pisarzy jest ubogie. Ile nazwisk się uratowało z naszego dwudziestolecia? Ile ich zostało z naszych lat wojennych i emigracji? I o iluż ludziach, nawet głosnych za życia, można we wspomnieniu tylko napisać: był to porządny człowiek, albo to była zacna kobieta...

Dramat Tyszkiewicza — bo to był dramat, choć nigdy o tym nie mówił — był dwojaki. Po pierwsze był nieudanym artystą, po drugie zakochał się w wielkiej artystce. On sam miał dużo gustu, duże zainteresowania, duże nawet zdolności, ale tego nie starczyło na „kariere”. Pisał wiersze, często nucił, ale ani głosu, ani słuchu nie miał; raz czy dwa pokazał mi jakieś nowe — niestety, to też nie wychodziło. Pociągał go teatr, ale myślę, że jego prawdziwe *Violon d'Ingres* — to było pisanie tekstów do piosenek kabaretowych. Była to inklinacja wrodzona, zresztą w dużej mierze tłumacząca jego szaloną miłość do Ordonki, która kazała mu się z nią ożenić, potem wszystko wybaczać, wszystko dla niej poświęcić, i wreszcie ani jednego dnia jej nie opuścić przez pięć lat długiego konania. Do śmierci Miś naprawdę ożywił się wtedy, gdy mówił o żonie, ale to zdarzało się rzadko, choć jestem pewny, że nigdy nie przestawał o niej myśleć. Podświadomie imponowało mu w Ordonce to wszystko, czego mu brakowało; miała zdecydowany talent *disease'y*, miała silną *personality*, miała bezwzględność i brutalność, cynizm, temperament i namiętność, od których Miś był o tysiąc mil odległy. Myślę, że w ciągu 50-letniej znajomości, i śmiem sądzić przyjaźni, raz tylko Miś był wobec mnie naprawdę, na sto procent, szczerzy. Było to w jego majątku, w Ornianach, na samym pograniczu Litwy, o jakieś 50 km. na północny-zachód od Wilna. Przyjechał po mnie na stację kolejową, już nie pamiętam jak się nazywała, i swoim małym Fordzikiem wiozł mnie po wertepach i poprzez puszcę aż do Ornian, gdzie stał bardzo piękny dwór czy pałac — stanisławowski, biały, z kolumnami, w dużym ogrodzie, przechodzącym w las. Tylko część tej pięknej rezydencji była umeblowana, zresztą przez samego Misia — bo Orniany były zdewastowane w czasie pierwszej wojny — a były to piękne empiove meble; pamiętam, że spał w łóżku godnym miana łóżka Napoleona, których jest tyle w całej Europie. Służby było mało, ale jakże była sympatyczna, ta od „panoczku”; od razu się gość czuł wśród niej, jak wśród bliskich od dzieciństwa przyjaciół. Kuchnia była prosta, ale smaczna, z chołodźcem litew-

skim co dzień, jak przystało. Pogoda była piękna, było to jakoś latem. Miś był sam jeden. Taktownie, nie pytałem się o panią domu. Chodziliśmy po ogrodzie, po lesie, i on sam zaczął się zwierzać. Mówił, że tylko dwie osoby wywarły wpływ na jego życie, pierwszą była jego babka, Róża z Potockich Raczyńska, *primo voto* Krasieńska (synowa Zygmunta), a drugą Ordonka. Słuchając go, wydawało mi się, że odczytuje Prousta; babka, to był *l'esprit de Guermentes*, czyli klanu spod Baranów, bo przy silnej indywidualności pani Róży — Krasieńscy, Raczyńscy, Tyszkiewiczze byli tylko dodatkami do tego pnia Potockich z Krzeszowic i spod Baranów; zresztą zawsze mnie bawiło u Misia, który znając dobrze akcent wileński, Wileńczuków, na co dzień zachowywał wszystkie ticki, i akcenty, i nawet całe zwroty krakowskie i Potoczny: „wartałoby” zamiast „warto by”, „jezdem” zamiast „jestem”, „jaki miły”, „ach, ten a ten, jakżeż jest źle wychowany!”, i wiele podobnych. Chwilami słuchając go wydawało mi się, że słyszę Edwarda Raczyńskiego, wuja Misia, tylko że bracia Raczyńscy, oprócz uroku *a man of exceptional charm* — (tak wielu dyplomatów-pamiętnikarzy angielskich stale określa Edwarda Raczyńskiego) mieli więcej siły, więcej ambicji, więcej woli. A Ordonka — to była Odette Swann, i tutaj analogia była równie uderzająca, jak po stronie Potockich-Guermentes. I stąd Miś Tyszkiewicz był dla mnie zawsze i przede wszystkim symbiozą obu początkowych tomów „*A la recherche du temps perdu*” Prousta — mianowicie „*du côté de chez Swann*” i „*du côté de Guermentes*”. Tak, gdyby był jakiś polski Proust, gdyby znał Tyszkiewicza, panią Różę Raczyńską i Ordonkę, i gdyby ten polski Proust miał talent francuskiego pierwowzoru, to mógłby się pokusić o stworzenie wielkiego fresku obyczajowego, właśnie z lat dwudziestych i trzydziestych, fresku o agonii magnaterii, która Polską przez pięćset lat rządziła, i fresku o psychologii ostatnich z rodu, oraz tych, co zajmują ich miejsce. Tu był materiał na wielki fresk psychologiczny i historyczny, tylko Prousta nie było, i nie ma. Znałem bardzo wielu prawdziwych polskich arystokratów, nie wliczając oczywiście nędznych snobów, którzy nigdy nikogo interesować nie mogą; jednak obstaraję przy swoim — w moim pokoleniu najlepiej nadawał się do pozowania dla portretu à la Proust właśnie ten Miś, choć inni o tyle dalej „zajechali”.

Więc tak spacerowaliśmy po tym ogrodzie, potem po tych lasach, i Miś opowiadał o swej babce, o jej pierwszym mężu, Władysławie Krasieńskim, o różnych sekretach rodzinnych, które sięgały aż do czasów Stanisławowskich, aż do przedziwnej i ultraromantycznej historii o koligacji z Ordonką, powiedzmy z lewej ręki, i wiele innych rzeczy, których powtórzenie byłoby nietaktem dla pamięci zmarłego. I potem Miś długo opowiadał o tym, jak poznał Ordonkę, jak się w niej zakochał, jak się z nią ożenił, jaka jest, jaka była, dlaczego taka jest, w kim się kochała, i dlaczego, i to wszystko było związane z teatrem, z ludźmi, których się znało, albo się o nich słyszało; i że Ordonka robiła mu sceny zazdrości nawet o dziewczynkę 13-letnią, której

matka była w Ornianach klucznicą, i jak ta dziewczynka wyrosła na słynną w Warszawie panią S., dzisiaj już nieżyjącą... Słuchałem tego długiego filmu, który był tematem do wielkiej powieści.

W. A. ZBYSZEWSKI

P.S. Jerzy Giedroyc, redaktor *Kultury* i bliski przyjaciel Zmarłego, zechciał, po przeczytaniu tych kilku słów, uzupełnić je danymi, którem zapomniał czy przeoczył. Czynię to chętnie, i wydaje mi się, że forma „P.S.” może być lepsza, niż zmiana pierwotnego tekstu. M. T. był ostatnim prawnikiem Poety, Zygmunta Krasieńskiego; obaj jego bracia zginęli w 1939 roku, pierwszy, Jan, poseł na Sejm, w wypadku lotniczym; drugi, Władysław, zamordowany przez armię rosyjską we wrześniu 1939 roku; siostra, Zofia Czartoryska, zmarła kilka lat temu w Krakowie. Oboje rodzice Misia odumarli go, gdy był dzieckiem, przy czym matka zmarła na gruźlicę, podobnie, jak całe potomstwo Zygmunta Krasieńskiego. Maria Czapska opowiadała mi że, by swych dzieci gruźlicą nie zarazić, Zofia z Krasieńskich Tyszkiewiczowa nigdy ani jednego ze swych czworga dzieci nie pocałowała. Co za siła woli! Miś był wychowany przez babkę, Różę Raczyńską, jako jakby młodszy brat Rogera i Edwarda Raczyńskich. Moim zdaniem Miś był zdolniejszy od swego brata, Jana, i gdyby nie obłąkana miłość do Ordonki — jedna z największych, jakie widziałem w życiu — byłby na pewno zrobił szybką karierę w przedwojennym MSZ-cie; miał wrodzony takt, urok, wdzięk, dużą i przenikliwą bystrość, i dużo zdrowego rozsądku, który w dyplomacji jest absolutnie konieczny. Giedroyc mi mówi, że Tyszkiewicz był niezmiernie czynny przy zakładaniu „Myśli Mocarstwowej”; w trakcie tych wysiłków razem udali się do Lwowa na jakieś zebranie organizacyjne; po całym dniu narad, pod wieczór, Miś się pożegnał z Jurkiem G., bo, jak mówił, musi spotkać na dworcu kogoś, kto przyjeżdża z Wiednia. „Ponownie zobaczyłem Misia, opowiada dzisiaj Giedroyc, dopiero po sześciu latach. Ta tajemnicza 'osoba' — to była Ordonka!”

Giedroyc tak samo słusznie mi przypomina, że w Ornianach Miś Tyszkiewicz stale utrzymywał, karmił, poił poetów i malarzy. I tak np. Konstanty Ildefons Gałczyński spędził z żoną i córką coś ze trzy lata w Ornianach. I znowu Miś nigdy o tym nie opowiadał. Giedroyc mi też powiedział — nic o tym nie wiedziałem — że we wrześniu 1939 Miś był w Wilnie, a Ordonka w Warszawie; że wówczas Miś przeszedł przez kordony sowieckie i niemieckie, odnalazł Ordonkę, i przeprowadził ją poprzez te same kordony do Wilna, gdzie się z nią rozstał dopiero z chwilą, gdy był aresztowany i wywieziony, zrazu do Moskwy, potem do karnego obozu koło Archangielska. Tak, to odszukanie i zabranie żony z Warszawy — to był w owych warunkach wielki wyczyn. Wypuszczony na skutek „amnestii”, Tyszkiewicz został radcą ambasady i organizował ratowanie i wypuszczenie tysięcy Polaków. Gdy armia gen. Andersa poszła do Włoch, Miś został dele-

gatem opiekuńczym na Liban i Bliski Wschód; wiedziałem że ratował chorą żonę, ale jego roli „Orędownika” Polaków na Bliskim Wschodzie nie znałem, bo sam tam nie byłem, a Miś nigdy o tym nie wspominał. Giedroyc zwrócił mi uwagę, że na Litwie i na Wileńszczyźnie Miś zdołał utrzymać kontakt z naszą ambasadą i z nim w Bukareszcie, aż do chwili swego aresztowania i wywiezienia.

W. A. Z.

Wpłaty na «Listy z nieba» St. Vincenza

(NA WYSOKIEJ POŁONINIE CZĘŚĆ TRZECIA)

Dr Heinz Balmer, Konolfingen, Szwajcaria	sfr 100	Maria Jackewycz, Monachium	DM 200
Rudolf Banet, Neapol	sfr 100	Myrtha i Walter Jequier, Luttry-sur-Lausanne	sfr 300
Mieczysław Basista, Mannheim	DM 50	Prof. Rostysław Jendyk, Monachium †	DM 100
Dr Wilhelm Bernhard, Paryż	F 500	Marta i Wojciech Kasznico- wie, Newark, USA	\$ 24
Katarzyna Ciulis, Lackawanna, USA	\$ 50	Dr Z. A. Koncezacki, Halifax, Kanada	\$ 12
Aleksandr A. Chplette, Grenoble	F 50	Jan Kott, Stony Brook, N.Y.	sfr 60
Maria i Józef Czapscy, Maisons-Laffitte	F 300	J.E. Ks. Arcyb. Platon Kornyl- jak, Monachium	DM 200
Henryk Dankowicz, Tel-Aviv	£ 10	Mjr H. J. Lloyd Jones, Ci- rencester	£ 7
S. Dubiski, Toronto	\$ 20	Z. M. Łoziński, Londyn	£ 7
Dante Elsner, Londyn	£ 30	Dr John Marbach, Neapol . .	sfr 600
Enrico Gaetani, Neapol	sfr 200	Peter i Ruth Marbachowie, Thun	sfr 100
Irena Gaugler, Interlaken . .	sfr 500	Monika Meyer-Holzappel, Bern	sfr 100
Dr Kurt Gaugler, Grellingen	sfr 700	Prof. Dr Antonin Měšťan, Freiburg-in-Breisgau	DM 100
Dr Juliusz Godlewski, Lugano	sfr 500	Stanisław Monseu, Nowy Jork	\$ 20
Clara i Erwin Hausherrowie, Bern	sfr 100	Maria i Jacek Prentcy, Ge- newa	F 500
Myrrha Hausherr-Holzappel, Bern	sfr 60		
Alicja i Aleksander Hertzowie, Nowy Jork	\$ 20		

Kazimierz Romanowicz, Libella, Paryż	F 320	Tamara i Waclaw Zagórscy, Londyn	£ 7
Wolf Scheps, Tel Aviv	£ 5	K. A. Jeleński, Paryż	sfr 200
Teodor Tkaczuk, Chicago, Ill.	\$ 160	Edward Kozak, Stratford, USA	\$ 20
Mr et Mme Henri Tzaut, Bern	sfr 50	L. Paclawsky, Cranford, N.J.	\$ 20
Kazimierz i Halszka Vincenzowie, Solura	sfr 100	Dr A. Pohl, Brunswick, NRF	DM 100

Ostateczny termin subskrypcji upływa dnia 1 LIPCA 1974. Osoby, które do tej daty wpłacą co najmniej £ 7,00, \$ 20,00, Ffr 85,00, fr.szw. 60,00 lub DM 50,00 otrzymają numerowany egzemplarz dzieła, a ponadto nazwiska ich ogłoszone zostaną w prasie oraz na końcu tomu.

Wpłaty przyjmują: POETS' AND PAINTERS' PRESS,
146, BRIDGE ARCH, SUTTON WALK,
LONDON, S.E.1. 8XU, GREAT BRITAIN.

lub: LIBELLA, 12 RUE SAINT-LOUIS-EN-L'ILE,
75004 - PARIS, FRANCE.

CONTRA PUBLISHING

PRZEDSTAWICIELSTWO

POLSKIEJ FUNDACJI KULTURALNEJ W LONDYNIE,
INSTYTUTU LITERACKIEGO W PARYŻU

i
OFICYNY POETÓW I MALARZY W LONDYNIE

- Doręcza wyłącznie drogą pocztową książki wymienionych wyżej wydawnictw.
- Przyjmuje prenumeratę na miesięcznik *Kultura*, Kwartalnik *Zeszyty Historyczne*, tygodnik *Wiadomości i Dziennik Polski*.
- Wszystkie książki wysyła się odwrotną pocztą po otrzymaniu zamówienia. Zamówienia płatne z góry. Do ceny książek należy doliczyć 10 % na koszty przesyłki.
- Katalogi wysyła się bezpłatnie.
- Sprzedaż książek wyłącznie drogą pocztową.

CONTRA PUBLISHING
54, NORMAN AVENUE,
BROOKLYN, N.Y. 11222.

Książki

Notatki czytelnika

Ukazanie się książki P. Władimirowa pt. „Specjalny okręg Chin” na moskiewskich półkach księgarń wywołało sensację. 150 tysięcy egzemplarzy błyskawicznie rozchwytno. Trzeba przyznać, że zaciekawienie tą książką jest całkowicie usprawiedliwione. Nie jest łatwo przeczytać jednym ciągiem 655 stron napisanych nudnym, dziennikarskim językiem, przepelnionym mnóstwem niepotrzebnych informacji i skomplikowanych chińskich nazwisk. Ale dla każdego, kto chce się zorientować w przyczynach i przebiegu sowiecko-chińskiego konfliktu — którego wynik ma określić losy ludzkości na długie dziesięciolecia — zaznajomienie się z książką P. Władimirowa będzie niezmiernie użyteczne.

Wyjątkowość książki polega w pierwszym rzędzie na tym, że nigdy dotąd w Związku Sowieckim nie publikowano notatek — książka jest napisana w formie dziennika — agentów Kominternu pracujących w tzw. bratnich partiach. Piotr Władimirow — specjalista od spraw chińskich — pracował w latach 1938-1941 w Chinach w charakterze korespondenta TASS'a, a od maja 1942 roku do listopada 1945 roku w charakterze korespondenta TASS'a i *łącznika Kominternu* (tak nazywała się jego funkcja) przy kierownictwie chińskiej partii w Yunanie, znajdującym się we władzy komunistów (specjalny, albo pograniczny okręg). Po rozwiązaniu Kominternu w 1943 roku został on „zwykłym” korespondentem TASS'a. P. Władimirow zmarł w 1953 roku będąc posłem ZSSR w Burmie.

Książka, wydana przez agencję *Nowosti*, jest dziennikiem, który Władimirow prowadził w latach 1942-45. W tym dzienniku — jak mówi się w przedmowie — „notatki o charakterze osobistym i służbowym wzajemnie się przeplatają”. Dowiadujemy się ponadto, że „yunańskie dzienniki Władimirowa zostały przygotowane do druku przez Ju. P. Własowa”, i że są „opublikowane ze skrótami”.

Pierwsze pytanie, jakie naturalnie nasuwa się czytelnikowi, to pytanie, czy dzienniki te są autentyczne. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że do tekstu dużo dodano, że notatki były poprawiane, uzupełniane i przeredagowywane. Ale właśnie fałszowanie autentycznych notatek Władimirowa nadaje książce dodatkowego znaczenia. Autentyczny dziennik agenta Kominternu dałby w ręce czytelnikowi dokument historyczny o ogromnym znaczeniu. Zrobione w 1973 roku poprawki, uzupełnienia i zmiany odkrywają przed czytelnikiem *obecne* zamiary sowieckiego kierownictwa w stosunku do Chin, ich *obecny* stosunek do chińskiej partii, chińskiego narodu i jego kierownictwa. Mamy przed sobą jednocześnie dokument historyczny — gdyż nie ma wątpliwości, że wiele notatek Władimirowa jest autentycznych — a jednocześnie współczesny komentarz do tego dokumentu.

Redaktorzy książki nadali notatkom Piotra Władimirowa dramatyczną formę opowieści o walce zła i dobra w wąskim gronie kierownictwa chińskiej partii. Siły dobra — to stronnicy Kominternu z Wan Minem — nazywa się ich „grupą moskiewską”; siły zła — to Mao Tse-tung i jego zwolennicy, w pierwszym rzędzie złowrogą Kang Sheng.

Walka między złem i dobrem toczy się w okresie drugiej wojny światowej i dlatego główne oskarżenie, które P. Władimirow wysuwa w stosunku do Mao Tse-tunga polega na tym, że przywódca chińskiej partii nie chce przestrzegać warunków umowy z Czang Kai-szekiem i prowadzić wojny z Japonią, a dąży jedynie do rozszerzenia terytorium, kontrolowanego przez komunistów — dąży do przechwycenia władzy. Władimirow charakteryzuje politykę chińskich komunistów jako politykę nacjonalistyczną i szowinistyczną, gdyż Komintern w tym okresie wymaga od wszystkich komunistów tylko jednego: pomocy Związkowi Sowieckiemu.

Dla Władimirowa polityka Mao jest nie do przyjęcia z dwóch, ściśle ze sobą związanych, powodów: po pierwsze realizuje interesy narodowe, po drugie odrzuca kierowniczą rolę sowieckiej partii. Z przerażeniem i obrzydzeniem notuje Władimirow: „Mao Tse-tung wczoraj powiedział mi, że 'doświadczenie WKP(b) jest nieprzydatne i szkodliwe dla KPCh'”. Mija pięć miesięcy i Władimirow notuje: „Niewątpliwie Mao Tse-tung unika doświadczeń WKP(b)”. Niezycząliwy stosunek Mao i jego zwolenników do „doświadczeń WKP(b)” oburza agenta Kominternu do tego stopnia, że pisze w swoim kacie: „...Jakże trudno mi tytułować tych działaczy KPCh 'towarzyszami' i 'komunistami'”. (Niewykluczone zresztą, że ta notatka została zrobiona dopiero w 1973 roku, kiedy prasa sowiecka pozbawiła Mao tytułu komunisty, a Chiny nazwy kraju socjalistycznego). Władimirow nie przestaje się oburzać na niechętny i nieufny stosunek Chińczyków do WKP(b), Kominternu, Związku Sowieckiego, sowieckich obywateli, a nawet i do samego J. Stalina. W liczbie oskarżeń Mao niechętny stosunek do Stalina zajmuje jedno z czołowych miejsc: „Przewodni-

czący KC KPCh wyraża się o przywódcach sowieckich lekceważąco. Nie ukrywając pogardy tak np. wyraził się o J.W. Stalinie: 'Nie zna i nie może znać Chin, a jednak pcha się ze swymi ocenami. Wszystkie jego tzw. opinie o naszej rewolucji — to głupie gadanie. I w Kominternie również gadają to samo...'". W czasie bitwy pod Moskwą, w październiku-grudniu 1941 — przewodniczący KC KPCh oświadczył: „Oto Stalin zapętał się, jak dalej nie można. Warto by popatrzeć jak ten wódz pęta się teraz po Moskwie...”. Mao Tse-tung do tego stopnia nie liczy się z wodzem narodów i nauczycielem ludzkości, że kiedy jeden ze zwolenników Stalina wśród chińskich przywódców powołał się na jakiś jego artykuł, Mao krzyknął: „Wy — 'moskale' — jeśli Stalin zepsuje powietrze, to jesteście gotowi wachać i zachwycać się”.

Głównym zadaniem P. Władimirowa jest informowanie przełożonych o sytuacji w kierownictwie kompartii Chin. W jego dyspozycji jest radiostacja i radiotechnik — bezpośrednia łączność z Moskwą. Wewnętrzny temat książki — to walka sowieckiego agenta o poufne informacje. Mao Tse-tung doskonale rozumie rolę i znaczenie Władimirowa. Od sowieckiego agenta w wielu wypadkach zależy stosunek Stalina do chińskiej kompartii i do Mao. Dlatego przewodniczący KC KPCh często zaprasza Władimirowa do siebie na wielogodzinne rozmowy, w czasie których wykłada swoje poglądy, albo te ze swych poglądów, które chciałby przekazać Moskwie. Ale Władimirow — jak przystoi prawdziwemu szpiegowi — nie chce się ograniczać do podawanych mu informacji: chce mieć informacje, które są przed nim ukrywane. Często w książce spotykamy się z określeniami: „dowiedziałem się”, „towarzysz... podał mi do wiadomości”, „zdobyłem ważne dokumenty” itd. Pół roku po ogłoszeniu w Moskwie książki P. Władimirowa — drugi tom pamiętników Chruszczowa, który ukazał się na Zachodzie, rozszyfrował — być może — jedno z ważniejszych źródeł informacji sowieckiego agenta w Yunanie. Ze zwykłą mu bezpośredniością Nikita Chruszczow wspomina: „W tym czasie (ma na myśli 1949 rok) główna część informacji o wydarzeniach wewnątrz partii chińskiej przychodziła do nas przez Kao Kanga, który był gubernatorem Mandżurii i członkiem Politbiura”. Kao Kang, jeden z przywódców specjalnego okręgu, który został w 1946 roku sekretarzem wschodnio-chińskiego biura KPCh — czyli, według określenia Chruszczowa, „gubernatorem” Mandżurii — jest wspomniany w książce Władimirowa tylko jeden raz, ale za to wyjątkowo, bardzo życzliwie. „Kao Kang to niezrozumiały wyjątek pośród ludzi Kang Shenga. Jest w stosunku do nas uprzejmy i szczerzy. Zachowuje się niezależnie... Zdolny, o silnej woli pracownik”. W końcu 1952 roku Kao Kang został oskarżony o „stworzenie antypartyjnej grupy” i — według oficjalnych informacji — otrął się. Chruszczow przypuszcza, że Mao kazał zadusić, albo otruć Kao Kanga „który okazywał nam swoją przyjaźń i dostarczał nam (tj. Moskwie) cennych informacji o prawdziwym nastawieniu chińskiego kierownictwa do nas”. Chruszczow dodaje, że to właśnie Stalin, dla

jakichś swoich chytrych kombinacji, wydał Kao Kanga Mao Tse-tungowi.

Można przypuszczać, że Władimirow miał oprócz Kao Kanga i innych informatorów. Zresztą nie ukrywa, że wszyscy zwolennicy podporządkowania się Moskwie (Władimirow nazywa ich „internacjonalistami”) starali się mu „pomóc”, tj. dostarczali wiadomości, które interesowały sowieckiego agenta.

Jeśli głównym wątkiem książki Władimirowa jest polowanie na poufne wiadomości, lub — jak on określa — demaskowanie antysowieckich, nacjonalistycznych planów Mao — to główną, odrażającą postacią jest ten, kto ogranicza możliwości agenta Moskwy: Kang Sheng, szef służby informacyjnej uwolnionych terytoriów Chin, która łączy w sobie funkcje wywiadu, kontrwywiadu, sprawiedliwości, sądownictwa, prokuratury i informacji. Nie ma takich przestępstw, o które by go Władimirow nie oskarżał, np. o szpiegostwo. Już na pierwszych stronach, widocznie zaraz po zawarciu znajomości, Władimirow odnotowuje: „Kang Sheng zachwyca się Japonią, jej organizacją, siłą, sukcesami... Trzeba pamiętać, że wojnę prowadzi się właśnie z Japonią. To już nie zwykłe uwielbianie zagranicy, ale uwielbianie wroga”. Po upływie kilku miesięcy czujny przedstawiciel sowieckich organów notuje: „Nasuwa się przypuszczenie, czy Kang Sheng nie jest japońskim agentem”. Zresztą Władimirowowi nasuwa się również przypuszczenie, że Kang Sheng jest także agentem amerykańskim. Wśród nielicznych cudzoziemców, przebywających w Yunanie, uwagę Władimirowa przyciąga doktor Ma Hai-de. Ma on zalety: doskonały lekarz, komunista, pracujący w specjalnym okręgu od 1937 roku; ma jednak i poważne wady: jest obywatelem Nowej Zelandii i Żydem z pochodzenia. Co gorsza — na zapytanie Władimirowa, gdzie ten doktor studiował, Kang Sheng odpowiedział: „Posiada prawdziwe, źródłowe wykształcenie — studiował w Stanach Zjednoczonych”. Władimirow konstatuje: „Moi towarzysze dziennikarze, nie wątpię, że ten obywatel Nowej Zelandii otrzymuje wynagrodzenie na konto bankowe w USA. Według ich przekonania jest on zawodowym wywiadowcą”. Ponadto, ten „zawodowy wywiadowca” jest w sposób bardzo podejrzany „zwolniony spod opieki ludzi Kang Shenga, czego nie można powiedzieć o nas”. Czyż trzeba bardziej poważnych dowodów, że Kang Shen to nie tylko japoński, ale i amerykański szpieg? Ale i to Władimirowowi wydaje się niedostateczne. Kang Sheng pożąda władzy i stworzył w partii reżym terrorystyczny, niszcząc wszystkich nieposłusznych. Ale główne przestępstwo Kang Shenga polega na czym innym: „Gwałtownie nienawidzi ZSSR, opluwa partię bolszewicką”. Kang Sheng wie o czym mówi, ponieważ przez pewien czas przebywał w Moskwie w charakterze członka delegacji KPCh w Kominternie „mieszkając w moskiewskim hotelu Lux...”. Znajomość Związku Sowieckiego i sowieckich komunistów czyni go w oczach Władimirowa specjalnie niebezpiecznym: Mao Tse-tung wierzy szefowi swoich organów, a ten

wszystkimi sposobami stara się powiększyć swój wpływ na przewodniczącego KC KPCh. „Właśnie on — plotkuje Władimirow — spotkał Chiang Ching z Mao Tse-tungiem, który jest ożeniony po raz trzeci i po dawnemu wielkim zwolennikiem rozrywek erotycznych... stawka na Chiang Ching opłaca się. Z chwilą gdy Chiang Ching wychodzi za mąż za Mao Tse-tunga następuje duchowe zbliżenie Kang Shenga z przewodniczącym KC KPCh i powstaje ścisła współpraca... Małżeństwo Mao Tse-tunga z Chiang Ching odbyło się wbrew woli KC KPCh. Małżonka okazała się osobą o wątpliwej reputacji...”.

Władimirow szczegółowo opowiada w swoich notatkach, jak Kang Sheng próbował otruć członka Politbiura, Wang Minga¹, i tylko interwencja sowieckiego agenta uratowała oddanego przyjaciela Moskwy, byłego przedstawiciela KPCh w Kominternie w 1933-37 roku.

Można przypuszczać, że kompilatorzy książki Władimirowa włączyli do niej tak wiele materiałów o Kang Shengu z dwóch powodów. Przede wszystkim aby związać Mao Tse-tunga ze wstrętnym katem, szpiegiem — krótko mówiąc z „chińskim Berrą”, a poza tym w związku z wybitną rolą, jaką Kang Sheng odegrał w okresie rewolucji kulturalnej. Na ostatnim, X-tym, zjeździe KPCh (sierpień 1973 roku) został on wybrany czwartym wiceprzewodniczącym Politbiura i zajął w ten sposób piąte miejsce w chińskiej hierarchii.

O zakulisowych zamysłach, związanych z dzisiejszą polityką sowiecką wobec Chin i wobec chińskiego kierownictwa, trudno wnioskować. Ale cel podkreślania związków szefa strasznych, represyjnych organów z Mao, jest widoczny. Mao Tse-tung jest głównym bohaterem książki. Widzimy go w domu — w jego jaskini (w Yunanie wszyscy żyli w jaskiniach), na przechadzce, z przyjaciółmi, z żoną, wśród ludu, na partyjnych zebraniach i zjazdach. P. Władimirow jest jedynym cudzoziemcem, który przez tak długi okres czasu mógł z bliska obserwować przewodniczącego KPCh, który tyle godzin spędził na rozmowach z nim. Narysowany wizerunek, jest nieobiektywny, karykaturalny, bardzo złośliwy, a często powierchowy. Nie chce przez to powiedzieć, że należało ukazać idealny portret Wielkiego Sternika. Ale Władimirow każde słowo, każdy gest Mao stara się za wszelką cenę przedstawić jako wyraz immanentnego zła.

Wszystko w przewodniczącym KC KPCh Władimirowowi się nie podoba. Poczynając od wyglądu. „Mao Tse-tung otyły, wyżej średniego wzrostu, powolny... rzuca się w oczy jego sztuczna skromność”. Skromność, która zdobi sowieckich komunistów,

1. Wang Ming, w którym — jak się wydaje — przywódcy sowieccy pokładali wielkie nadzieje, umarł w marcu 1973 roku w Moskwie, gdzie mieszkał od 1956 roku. „Ludzie sowieccy na zawsze zachowają w swych sercach pamięć o Wang Mingu” — pisała w nekrologu *Prawda*.

u Mao staje się „sztuczną”. Nie podoba się i zachowanie. Przy pierwszym spotkaniu z sowieckimi przedstawicielami Mao częstuje ich samogonem, a sam pije holenderski gin. Już po pięciu tygodniach dowiadujemy się, że Mao „porządnie pije”. Władimirow uważa za normalne, że w jaskini, w której mieszka, stoi ogromna butla spirytusu, z której ludzie sowieccy pociągają dla rozgrzewki ciała i duszy. Ale nie opuszcza okazji, aby podkreślić, że Mao lubi wypić. Wódz lubi chińskich komunistów, ale — według słów Władimirowa — i pięć piękną. Po krótko — jak zapisuje sowiecki agent w maju 1943: Mao Tse-tung... nadaje sobie taką ważność, ale sam lubi zjeść, wypić, potańcować, zabawić się z dziewczynami, chociaż wobec wszystkich propaguje surowy, rewolucyjny ascetyzm”. Ale i tego mało. „Ponadto — twierdzi Władimirow — Mao jest po prostu tchórzem”. I jeszcze raz: „Ten człowiek, gotowy zniszczyć w swych awanturach dziesiątki, setki, tysiące żyć, odznacza się tchórzostwem. Wielokrotnie byłem świadkiem występowania u niego przypadków 'choroby niedźwiedziej' — nawet w sytuacjach mało krytycznych”.

To wszystko jest jak gdyby psychofizjologicznym portretem: skłonność do butelki i do kobiet, tchórzostwo, hipokryzja. Władimirow dużo miejsca poświęca analizie intelektualnego bagażu wodza chińskich komunistów. Przede wszystkim czytelnik dowiadyuje się, że „w Mao Tse-tungu uderza pobłażliwie lekceważący stosunek do kultury — cecha jawnie ograniczonej umysłowości”. Przy bliższym rozpatrzeniu wyjaśnia się jednak, że „brak kultury” Mao — tak niezmiernie drażniący sowieckiego agenta — jest specjalnego rodzaju. Mao jest „oczytany w starożytnej chińskiej literaturze, której znawstwem lubi się pochwalić. Działaniami wojennymi zajmuje się osobiście i słynie jako znawca wojny partyzanckiej. Mao Tse-tung jest przekonany, że jest utalentowanym historykiem, poetą i pisarzem”. Ale te wszystkie znawstwa i talenty Władimirow nazywa „erudycją” w cudzysłowie. Wszystko polega na tym, że Mao „nie zna obcych języków”, że „nikt nie widział u niego przekładów Szekspira, Stendhala, Czechowa, Balzaka, Tołstoja”, że „nie zna właściwie zachodniej filozofii i wulgarnie wykląda marksizm”. Brak wiedzy i kultury Mao Tse-tunga przejawia się w tym, że „dla niego wszystko co swoje, narodowe to niewątpliwie szczyt światowej kultury — można by powiedzieć prawda w ostatecznej instancji. Jego podręczne książki — to zbiór chińskich słowników encyklopedycznych, starożytne traktaty filozoficzne i starożytne powieści”.

Władimirow ma ściśle określony pogląd na to, co powinien znać komunistyczny wódz: „Jeśli idzie o prace Hegla, to Mao ich nie zna. Pytałem go się o to bynajmniej nie z prostej ciekawości. Mao — jakby nie było — jest 'wodzem', a Hegel to nie szanghajski riksza, którego nazwiska można nie znać...”. Prawdziwy wódz nie ma prawa tak interpretować nauki Marksa, jak to robił przewodniczący KC KPCh, twierdząc na zebraniu, że „zgodnie z nauką Marksa do życia i walki w pierwszym rządzie jest

niezbędne aby — tu (Mao Tse-tung wskazał na swoje otwarte usta) wchodziło, a stąd (pokazał dokładnie skąd) wychodziło...”.

Intelektualny portret Mao Tse-tunga Władimirow reasumuje krótko: „Według tutejszych poglądów jest on człowiekiem całkowiec wykształconym — według naszych — nie”. A zatem według chińskich kryteriów Mao może i jest człowiekiem wykształconym, ale według naszych — sowieckich, europejskich — kryteriów to ignorant i nieuk.

Władimirowa niesłuchanie oburza, że ten „niekulturalny”, „nie-wykształcony”, „nie znający Hegla” człowiek niepohamowanie dąży do osobistej władzy: „Ani pojedynczy człowiek, ani miliony nie interesują Mao. Ważne jest zbliżanie się do władzy”. Rozwijając tę myśl sowiecki agent pisze: „To specjalna ambicja. Jest on stosunkowo obojętny jeśli idzie o wygodę życiową (Władimirow jakby zapomniał o poprzednich zarzutach). Wszystko pochłania władza. Jedynie słuszne są drogi prowadzące do najwyższej władzy. Wszystko jest prochem — oprócz władzy. Życie wielkich ludzi historii, to dla niego przykład jedynie z tych pozycji, pociągają go jedynie z punktu widzenia niepodzielności ich władzy. Dla Mao Tse-tunga władza to jedyny, istotny sens życia, to usprawiedliwienie wszystkiego, to święto, to wszystko, wszystko...”.

Można przypuścić, że w tej charakterystyce jest wiele rzeczy słusznych: trudno stać się władcą Chin bez żądz władzy, pochłaniającej wszystkie inne uczucia. Ale oburzenie Władimirowa uderza swoją hipokryzją. I to nie tylko dlatego, że pisze o dążeniu do „niepodzielnej władzy”, tak, jakby był obywatelem kraju nie znającego od setek lat niczego innego poza demokracją, ale przede wszystkim dlatego, że ambitnemu Mao sowiecki agent przeciwstawia swego idealnego wodza: kulturalnego, wykształconego, kochającego naród — pojedynczo i w masie — który całego siebie oddał rewolucji — towarzysza Stalina. „U Mao wyczuwa się skryte, bezpodstawne roszczenia, by osiągnąć ten autorytet, którym cieszy się Stalin — pisze Władimirow. — Ambicje tego hunanica są bezgraniczne”. Całkowitą pogardę czuje się w tym określeniu „hunaniec” rzuconym w twarz człowiekowi, który ośmiela się marzyć o „autorytecie”, to jest o władzy potężnego Gruzina.

Władimirow tłumaczy swój wrogi stosunek do Mao tak jak należy, to jest z pozycji marksizmu. Ojciec Mao był kułakiem. W jego gospodarstwie pracowali parobcy. W rezultacie: „Jak na przywódcę partii proletariackiej w Mao Tse-tungu tkwi zbyt dużo z tej przeszłości. Fermentuje w nim wiejski zaczyn poczucia własności”. Zresztą — dodaje autor notatek — to nie dotyczy tylko Mao, ale i całej chińskiej kompartii. Stąd właśnie, z tej chłopskiej przeszłości, od tych najemnych robotników, którzy praco-

wali w gospodarstwie ojca Mao, wywodzą się dalsze błędy, niepowodzenia i przestępstwa przewodniczącego KC KPCh. Stąd drobnomieszczańskie tendencje, stąd — trockizm („Czyż nie na pozycjach trockizmu okopuje się Mao Tse-tung?” — zadaje retoryczne pytanie Władimirow). Stąd — na koniec — główne przestępstwo Mao i chińskiej kompartii — nacjonalizm, szowinizm. „Pogarda w stosunku do innych narodów jest niezwykle rozwinięta u chińskiego burżuazji i drobnego właściciela” — notuje Władimirow. Ta pogarda jest charakterystyczna również dla chińskich komunistów. Z wizytą do sowieckich korespondentów przychodzi sekretarz Kang Sheng — „naturalnie na posiłek” — dodaje Władimirow. „Zjadłszy, chętnie filozofuje. Dziś powiedział, dźbiąc w zębach: coście robili 1000 lat temu, wy, biali ludzie? — strzelaliście z łuków. A my mieliśmy już proch. My już wtedy budowaliśmy kanały, zapory, fortece, umieliśmy produkować porcelanę, jedwab, papier, atrament... a biali ludzie jeszcze przedstawiali na surowym mięsie. Nasza kultura wychowała Wschód. Jest pramacierzą światowej kultury...”. Władimirow dodaje: „Dołmatow z oburzenia poczerwieniał”. Dołmatow, technik radiowy sowieckiego agenta, widocznie wiedział, że prawdziwą pramacierzą światowej kultury jest jego ojczyzna, ojczyzna światowego proletariatu.

Ale nie tylko oburzenie na obrażanie uczuć białego człowieka powoduje Władimirowem gdy potępia chiński nacjonalizm. Główne przestępstwo Mao polega na tym, że nacjonalizm przyjmuje u chińskich komunistów charakter antysowietyzmu: „Mao Tse-tung żywi organiczną niechęć do Związku Sowieckiego”. Ta niechęć ma — według Władimirowa — „dziesięcioletnią historię”, jej początek wywodzi się z 1935 roku, gdy Mao wysłał do Moskwy swego przedstawiciela „dla wyjaśnienia 'prokapitulanczkich' nastrojów Kominternu”. Od tego czasu „krok za krokiem Mao Tse-tung wbił klin między WKP(b) i KPCh. Od 1941 roku Mao zdecydował się na zerwanie ideowych więzów z WKP(b) i na antysowietyzm jako podstawowy element swojej polityki”.

Zasadnicza wartość notatek Władimirowa polega na tym, że pokazują one genezę konfliktu sowiecko-chińskiego, który początkowo powstał jako konflikt pomiędzy partiami, a dopiero później między państwami. W połowie lat trzydziestych Mao, utrwalwszy swoją władzę w partii, zaczyna krytykować politykę Kominternu, realizującego wolę Stalina, który — zdaniem Mao — nic nie rozumie w sprawach chińskich. Po rozpoczęciu wojny sowiecko-niemieckiej Mao ma nowe powody do niezadowolenia ze Stalina. Przez pierwsze dwa lata wojny dla Stalina koszmarem była groźba przystąpienia Japonii do wojny. Jedynym przeciwstawieniem Japonii były Chiny, które — jakby to nie było — odciągały pewną ilość wojsk japońskich. Ale to były Chiny Czang Kai-szeka. Stalin nie wierzył w siły i możliwości chińskich komunistów, nie mówiąc o tym, że nie dowierzał im, uważając ich za zbyt krnąbrnych. Stalin odmawia kompartii i jej wojsku po-

2. Mao Tse-tung urodził się w prowincji Hunan, na południu Chin.

mocy, której domagają się w imię „proletariackiej solidarności”. Interesy państwowe Związku Sowieckiego są dla Stalina bez porównania ważniejsze od rewolucyjnych marzeń chińskich komunistów. Władimirow nie waha się nazwać przygotowań KPCh do przechwycenia władzy w Chinach ciosem w plecy wysiłku wojennego Związku Sowieckiego. Przygotowując się do zagarnięcia władzy chińscy komuniści osłabiali reżym Czang Kai-szeka, sojusznika Stalina w walce z państwami Osi. Władimirow dużo miejsca poświęcił w notatkach Czang Kai-szekowi, którego agent sowiecki przedstawia jako inteligentnego, odpowiedzialnego działacza państwowego, przeciwstawiając go nieodpowiedzialnemu, antysowieckiemu Mao.

Nie wierząc w zwycięstwo chińskich komunistów Stalin robił wszystko, by pozbawić ich ostatnich szans zwycięstwa. W sierpniu 1945 roku podpisał traktat przyjaźni i współpracy z Czang Kai-szekiem. Władimirow krótko notuje: Podpisano umowę z chińską republiką. Kierownictwo KPCh dowiedziało się o decyzji rządu sowieckiego niemieszania się do wewnętrznych spraw Chin. Wszystkie podejrzania Mao się potwierdziły. Stalin go porzucił, otrzymawszy za to od Czang Kai-szeka korzyści materialne. Chińczycy zrezygnowali z pretensji do Mongolii. Oddały ZSSR w wieloletnią dzierżawę Port Artur i portowe urządzenia w Dajrenie, a także linię kolejową w Mandżurii, którą rząd sowiecki sprzedał w 1935 roku.

Ostatnia notatka Władimirowa pochodzi z 4 września 1945 roku. Nie ma w książce zwycięstwa chińskich komunistów, ogłoszenia w październiku 1949 Chińskiej Republiki Demokratycznej, przyjazdu w grudniu 1949 roku do Moskwy Mao Tse-tunga, kiedy to cały naród sowiecki śpiewał radośnie: „Moskwa — Pekin... Stalin i Mao, słuchajcie nas...”. Stalin przez szereg dni nie chciał się spotkać z Mao, a gdy w końcu uczynił mu ten zaszczyt, gazety podały oficjalny komunikat, donoszący, że: Stalin „przyjął” Mao. Zwykle w takich wypadkach mówi się „spotkał”. Stalin rozumiał, że będzie musiał oddać Mao wszystko to, co Czang Kai-szek dał Związkowi Sowieckiemu, a przede wszystkim że trzeba się będzie liczyć z potężnym państwem i potężną partią, której stosunek do Związku Sowieckiego i do niego osobiście, wódz narodów znał chociażby z doniesień Władimirowa.

Piotr Władimirow, studiujący — by nie pozostawać w tyle za Mao — starożytną literaturę chińską, cytuje w jednej ze swoich notatek wielkiego chińskiego pisarza, Lo Huan-czuna: „Ludowa wieść niesie, że wielkie siły niebieskie długo będąc rozdzielone, dążą do ponownego zjednoczenia, a po długim zjednoczeniu znów się rozpadają”.

Dobrze wiadomo, że lud nigdy się nie myli. Sowieckim przywódcom pozostaje oczekiwać, kiedy zrealizuje się proroctwo i „wielkie siły niebieskie” znów się rozpadną.

Adam KRUCZEK

Nowa powieść Stalińskiego

Literatura jest jedną z form reagowania na świat i jej dojrzałość zależy m.in. od stopnia zgodności reakcji z bodźcami. Im większa zgodność, tym bardziej skłaniamy się do uznania jej za dojrzałą, i *vice versa*. Z natury rzeczy totalizm hodzi i toleruje jedynie literaturę niedojrzałą, domaga się bowiem bądź reakcji nienormalnych (wspomnijmy np. „Towarzyszom z Bezpieczeństwa” Mandaliana), bądź też, w najlepszym razie, zajmowania się różami gdy płoną lasy. Nieobecność problematyki politycznej w polskiej literaturze współczesnej jest zrozumiała — w domu powieszono nie wolno mówić o sznurze — ale niemniej godna ubolewania, bo skazuje tę literaturę na niewspółczesność, graniczącą z niedojrzałością.

Krajowy autor piszący pod pseudonimem „Tomasz Staliński” okupuje swe prawo do pisania o sznurze koniecznością publikowania za granicą, co niewątpliwie uszczupla liczbę jego czytelników; rekompensatą za to jest jednak zwiększenie autentyczności, a zatem i szanse przetrwania jego dzieła. Szanse tej nie umniejsza pozorna doraźność czy nawet publicystyczność jego powieści, więcej w nich bowiem refleksji niż programu, więcej opisu niż protestu. Trzy poprzednie powieści Stalińskiego, wydane przez Instytut Literacki w Paryżu: „Widziane z góry” (1967), „Cienie w pieczarze” (1971) i „Romans zimowy” (1972) stanowią uzupełnienie historii okresu gomułkowskiego w Polsce o ważny, a ulotny element dziejów: klimat psychiczny. Za mocną stroną powieści Stalińskiego należy uznać ich kronikarską solidność zarówno wobec realiów, jak i wobec własnej refleksji. W sytuacji, w której fikcja literacka *nolens volens* przejmie funkcje reprezentowania opinii społecznej, nacisk oczekiwań czytelniczych na piszącego wzrasta i proporcjonalnie do tego wzrasta też pokusa kaznodziejstwa. Staliński jej nie ulega: nie staje na palcach, nie wyciąga historiozoficznych wniosków, a nawet przeciwnie: podkreśla swe wahania przy ocenie, swój brak pełnej informacji. Jego powieści nigdy nie są pretensjonalne.

Czwarta z kolei powieść Stalińskiego* jest kontynuacją jego cyklu najnowszej polskiej historii, oglądanej od środka.

Ośrodkiem tematycznym tej książki jest najdonioślejsze wydarzenie polityczne i największa zbrodnia reżymu lat ostatnich: masakra robotników na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku. Przyczyny i przebieg tego wydarzenia — usilnie „zapominanego” obecnie — pozostają do dziś dnia nie w pełni wyjaśnione. Książka Stalińskiego rozważa obiegające Polskę wersje: czy był to wybuch spontaniczny? sprowokowany? jeśli tak, to przez kogo? jaką rolę

* Tomasz Staliński, *Śledztwo*, „Biblioteka Kultury”, tom 243, Instytut Literacki, Paryż 1974, str. 223. (F. 25).

odegrali tu Moczar, Gomułka, Gierek, Rosjanie, Żydzi, robotnicy, Piasecki...? Rewia rozmaitych opinii została w książce Stalińskiego zaprezentowana jako akompaniament prywatnego śledztwa, jakie podjął w tej sprawie partyjny — ale już na wylocie — dziennikarz warszawski, Alfred Wiśłowski. Po zważeniu i przedcedzeniu wszystkich plotek warszawskich bohater wyjeżdża na Wybrzeże do zaprzyjaźnionej rodziny robotniczej i tam znów słucha, porównuje, konfrontuje. To prywatne śledztwo polityczne toczy się od samego początku za wiedzą „organów”, które z przyczyn jak na mój gust nadto makiawelicznych okazują czasową cierpliwość i gnoją bohatera dopiero na końcu. Rezultat tego niezakończonego i niepełnego przedsięwzięcia zostaje zaprezentowany czytelnikowi w formie strzępów memoriału bohatera, gdzie zawarta została konkluzja końcowa: wybuch robotniczego gniewu był spontaniczny i autentyczny, choć różne czynniki partyjne usiłowały w tym maczać palce; „spiskowa koncepcja wydarzeń”, teza o zainscenizowaniu całej rzeczy przez tę czy inną frakcję partyjną jest w gruncie rzeczy inspirowana przez samą partię, bowiem szerzenie przekonania o ukrytych sznurkach za kulisami jakiegokolwiek ruchu społecznego jest jej na rękę: przekonanie takie odbiera społeczeństwu wiarę w możliwość działania. Książka składa też należny hołd warstwie oficjalnie w Polsce decydującej, a w rzeczywistości wyszukiwanej i do wydarzeń na Wybrzeżu traktowanej jako polityczna *quantité negligible*:

„...robotnicza polityka, to były walki na ulicy, to był Poznań 56 i Degańsk [Gdańsk] 70. Ta robotnicza krew na bruku, to były jedyne nasze wybory, a i w ogóle jedyne polskie prawdziwe wybory — żeby nie robotnicy, to byście żadnych nie mieli i może jeden i ten sam Sekretarz by przez trzydzieści lat krajem rządził, tak jak w Rosji. Myśmy wam dwa razy fundowali zmianę Biura i rządu, tylko że krew się na to musiała polać, bez krwi widać nie ma polityki. Bo gdzie poza tym jest u nas życie polityczne: drętwe przemówienia, zawsze te same, bez względu na to kto gada?” (str. 122).

Obraz dezorientacji ogółu społeczeństwa, w stolicy zwłaszcza, skłaniającego się do przyjęcia koncepcji siły wyższej (Moczar, Gierek, Piasecki) jest nader przygnębiający, tym bardziej, że wydaje się prawdziwy. Polska ukazana w „Śledztwie” sprawia wrażenie kraju, w którym ani rządzący, ani rządzeni nie mają jasnego obrazu tego, co dzieje się w społeczeństwie. To obniżenie poziomu informacji, samoświadomości, będące wynikiem spiskowej formy rządów, realizowanych przez partię „nowego”, a w istocie właśnie anachronicznego typu, jest najistotniejszą przyczyną niedorozwoju organizacji społecznej, uniemożliwia bowiem samoregulację; toteż periodyczne wybuchy, okupowane krwią, i kolejne „nowe etapy” wydają się nieuniknioną cechą tego systemu, chełpiącego się „znajomością praw historii”.

Ubocznym zjawiskiem towarzyszącym dezorientacji jest u rządzonych skłonność do mistycyzmu politycznego, do uznania dzungli politycznej za dżunglę metafizyczną. Natura, szczególnie ludzka, nie znosi próżni i brak informacji zastępuje mitologią. Kłęski

narodowe sprzyjają mitologii mesjanistycznej i pewnego rodzaju neomesjanizm daje już o sobie znać we współczesnej literaturze polskiej. Jest nim na różny sposób zaznaczane przekonanie, że polska sytuacja polityczna ostatnich dziesięcioleci, jakkolwiek smutna, daje głębsze, prawdziwsze zrozumienie świata. Niebezpieczeństwo takiej postawy leży w tym, że może się ona przerodzić w neo-słowianofilstwo, a to — jak wykazuje przykład Rosji — umacnia totalizm. Wspominam tu o tym dlatego, że pozytywną stroną powieści Stalińskiego jest właśnie postawa racjonalistyczna, dążenie do wyklarowania obrazu za pomocą czynników konkretnych i sprawdzalnych: interesów różnych grup społecznych. Dla braku pełnej dokumentacji konkluzja książki pozostaje w zawieszeniu, ale komentując fragmentaryczność kończącego „Śledztwo” memoriału autor dodaje: „...lepszy tekst niepełny, niż żaden. Może jednak dalszy bieg wypadków umożliwi kiedyś odnalezienie całości?...”. Ta wiara w jednoznaczność historycznego działania się, nie uleganie — sztucznej w końcu — ciemności, jest świadectwem postawy mimo wszystko optymistycznej.

Przechodząc do strony literackiej książki: nie uważam „Śledztwa” za najlepszą powieść Stalińskiego. Brak tu wielopłaszczyznowości ujęcia, tego trzeciego wymiaru powieściowego, do którego przyzwyczailiśmy nas jego poprzednie książki. Staliński stosuje i tutaj swój kamuflaż onomastyczny (Gomułka to Baryłka, Gierek — Oraczyk, Gdańsk — Degańsk, etc.); chwyt ten świetnie spełniał swą rolę w „Widzianym z góry”, gdzie wypreparowany z mięsa codzienności nowotwór niekontrolowanej władzy lepiej ujawniał swe cechy niezmiennicze — w „Śledztwie”, gdzie mowa o konkretnym zdarzeniu historycznym, zmienia się to w uciążliwy chwilami szyfr.

Nieprawdopodobna psychologicznie wydaje mi się też sylwetka owego poszukującego prawdy dziennikarza, ex-działacza z czasów stalinowskiego — o czym w odpowiednim momencie przypominają mu „towarzysze z bezpieczeństwa”. Sądząc z doświadczenia (cudzego, chwała Bogu) osobnik tego pokroju byłby dziś albo scyniczającym do szczytu aparaczką, albo życiowcem bez złudzeń (w kraju lub za granicą), jak najdalszym od pakowania palców w „mechanizm walki klasowej”.

Mimo tych zastrzeżeń uważam „Śledztwo” za ważną pozycję, zasługującą na uważne przeczytanie. Jest to jedna z nielicznych powieści politycznych z prawdziwego zdarzenia, jakie istnieją we współczesnej polskiej literaturze — głównie dzięki Stalińskiemu zresztą.

Na zakończenie ciekawostka dla amatorów bezużytecznej erudycji: pseudonim „Staliński” nie jest nowy; tak podpisany został rosyjski poemat komiczny pt. *Był*, zamieszczony w dodatku literackim do numeru szóstego redagowanego przez Wojekowa pisma *Russkij inwalid*, w 1831 roku. Autorami poematu byli dwaj współcześni Puskina: E. A. Baratynski i S. A. Sobolewski. Żaden z nich nie był inwalidą.

M. BRONSKI

Studia etniczne w Kanadzie

Po długich latach zaniedbania niemal na wszystkich uczelniach przystąpiono do badania problemów etnicznych. Wprawdzie dotychczas, mimo zaleceń różnych ośrodków naukowych oraz postulatów grup etnicznych, nie powstał jeszcze żaden centralny ośrodek badawczy, nie mniej jednak instytucje naukowe zostały zachęcane do szerokiego zajęcia się problematyką etniczną. Przy Ministrze odpowiedzialnym za program wielokulturowości, powołano naukową komisję doradczą. Niezależnie od prac prowadzonych na uniwersytetach, Sekretariat Stanu wyznaczył dotacje na przygotowanie historii ponad 20 grup etnicznych.

Dotychczasowy stan badań nad problematyką etniczną w Kanadzie przedstawił dr Howard Palmer, profesor historii na University of Calgary, autor pracy o grupach etnicznych w pldn. Albercie. W obszernym referacie zajął się nie tylko stanem obecnych badań, ale omówił prace — nieliczne i bardzo ogólne — które ukazały się dawniej, poprzedzając niejako rzeczywiste badania. Zresztą miały one inny charakter. Pierwsi autorzy analizowali metody i procesy wiodące do możliwie najszybszej asymilacji imigrantów i formułowali odpowiednie zalecenia, zmierzające do eliminowania objawów dyskryminacyjnych, podczas gdy obecne badania uwypuklają pozycję i stan grup etnicznych, podnoszą ich walory, wkład w rozwój kraju, analizują procesy integracyjne, wartości kulturowe grup, wysiłki dla zachowania ich w nowym środowisku.

Palmer omawia wszystkie publikacje, w tym tezy magisterskie, artykuły ogłoszone tylko w naukowych czasopismach, dotyczące różnorodnych grup w Kanadzie, by wykazać jak zasadnicze i głębokie zmiany już zaszły. Przystano badać grupy etniczne jako zjawisko społeczne, pewnego rodzaju ciężar w rozwoju państwa; badania uznały, iż etniczny pluralizm stanowi raczej cenny aspekt społeczeństwa kanadyjskiego. Zdaniem Palmera do tej zmiany przyczynił się również fakt, iż w gronie naukowców znalazła się spora ilość osób drugiego i trzeciego pokolenia pochodzenia nie-anglosaskiego. Ci z nich, którzy zajmowali się problemami historycznymi czy etnicznymi „patrzyli na nie inaczej niż ich anglosascy poprzednicy”. Odnosi się to przede wszystkim do okresu po drugiej wojnie światowej. Palmer wskazuje, że początek nowym badaniom dała inicjatywa *Manitoba Historical Society* w Winnipegu, które w latach 1950 i 1960 firmowało serię prac o grupach etnicznych. W jej ramach ukazały się publikacje: Victor Peters *All Things Common* — studium o Hutterytach; E. K. Francis *In Search of Utopia* (o Mennonitach); Artur Chiel *Jews in Manitoba*; Paul Yuzyk *Ukrainians in Manitoba*; Victor Turek *Poles in Manitoba*.

W serii *Canada Ethnica*, zainicjowanej i finansowanej przez rząd w programie uczczenia stulecia Federacji, ukazało się zaledwie 5 prac, które nie są powiązane z tem kanadyjskim. Za najznakomitszą pracę w badaniach etnicznych Palmer słusznie uznaje czwarty tom raportu Komisji dla Spraw Dwujęzyczności i Dwukulturowości — tak zwanej Komisji B. and B. — napisany głównie przez panią dr Jean Burnet, profesora socjologii York University w Toronto. Praca ta oznacza punkt zwrotny w badaniach etnicznych. Zaczęły się więc bardzo szczegółowe, nawet specjalistyczne, wysoce skomplikowane badania poszczególnych aspektów zarówno niektórych grup, jak i pewnego ich zespołu terenowego.

Niemal na wszystkich wyższych uczelniach studenci i absolwenci należący do grup etnicznych (jak również i inni) wzięli na swój warsztat różne

tematy etniczne. Wolno więc zakładać, że badania będą się pogłębiać i pozwoli to na obiektywne ustalenie przeszłości i terażniejszości oraz miejsca każdej grupy etnicznej w Kanadzie.

Dr Manoly R. Lupul, profesor University of Alberta, wnuk jednego z pionierów imigracji ukraińskiej, opublikował swój referat, wygłoszony na pierwszej konferencji na temat wielokulturowości, która odbyła się 15. IX. 1973 roku w Ottawie pt. „Język i zachowanie kultury”. Wskazuje on iż zasada dwóch oficjalnych języków jest kompromisem. Angielski i francuski są językami Parlamentu i urzędów federalnych, podczas gdy wszystkie inne języki mogą odgrywać wielką rolę, ale tylko na polu kulturalnym. W praktyce, jak wywodzi prof. Lupul, szereg osób pozostanie jednojęzycznymi (francusko- lub angielsko-języcznymi) w zależności od miejsca zamieszkania. I tak np. w okręgach rolniczych Quebec ludność posługująca się będzie wyłącznie francuskim, zaś w podobnych okręgach Brytyjskiej Kolumbii, czy innych prowincjach, wyłącznie angielskim. Dwujęzyczne będą (angielski i francuski) dzieci rodziców używających języka angielskiego, przy założeniu iż mieszkańcy będą w Montrealu.

Dwujęzyczne będą np. dzieci anglo-polskich rodziców, które — według przypuszczeń ich rodziców — będą żyły w anglojęzycznych środowiskach Kanady. Drugim językiem będzie polski, a nie francuski, natomiast te dzieci będą trójjęzycznymi, jeśli rodzice zechcą zapewnić im swobodę poruszania się i zamieszkania w całej Kanadzie. Trójjęzyczność będzie dla tych polskich dzieci wręcz koniecznością, gdy pozostaną w prowincji Quebec. Dla tych dzieci dwujęzyczność (angielski — polski, względnie francuski — polski) miałyby oczywiście poważne minusy w Quebec.

Prof. Lupul wskazuje, iż aby zapewnić dwujęzyczność ów drugi język — a więc polski, ukraiński, niemiecki czy inny — musi mieć należyte zaplecze. Nie wystarczają kikutgodzinne lekcje tego języka w tygodniu, trzeba w tym języku nauczać i prowadzić różne zajęcia. Trzeba zorganizować szkoły podstawowe (jeśli chodzi o Montreal) gdzie dziecko pół dnia pobierałoby naukę w języku francuskim, a pół dnia w polskim. Fałszywe i naiwne — według Lupula — jest mniemanie iż dwujęzyczność to wyłącznie posługiwanie się oficjalnymi językami. W prowincjach zachodnich musi to być język angielski i język jednej z grup etnicznych, w zależności od rejonu. Narzucenie formalnej dwujęzyczności jest sprzeczne z liberalnymi założeniami demokracji i nie mieści się w ramach polityki wielokulturowości. Czymże jest wielokulturowość bez prawdziwej, realnej, bazy językowej? „Wielokulturowość ograniczona do tańców ludowych, strojów regionalnych, specjalnych potraw, wyszywanek, strojów damskich, pisanek, zespołów muzycznych, a nawet pieśni ludowych (łącznie z kołędami), które nieliczni rozumieją lub starają się rozumieć — czyż taka wielokulturowość nie jest czymś tylko kadłubowym?”

Prof. Lupul wskazuje, że np. grupy norweskie, niemieckie, włoskie, bułgarskie nie przywiązują w Kanadzie wagi do zachowania języka w drugiej generacji i są przygotowane do całkowitego wtopienia się, natomiast inne grupy (jak np. ukraińska i wszystkie bałtyckie), których języki są w krajach pochodzenia zagrożone procesami rusyfikacyjnymi, walczą o swój język i znajdują się w pozycji podobnej do Franko-kanadyjczyków. Lupul uważa, że zapewnienie każdemu językowi należytej swobody i warunków rozwojowych przyczyni się do zjednoczenia Kanady.

Referat formułuje pewne postulaty nie tylko dla szkolnictwa, ale dla całej polityki wielokulturowości. Badania etniczne rozwijają się zarówno na uczelniach jak i zostały zlecone przez czynniki rządowe, federalne i prowincjonalne różnym osobom, zespołom a nawet instytucjom. Jakie będą tego wyniki?

Benedykt HEYDENKORN

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewicz Ziełińska na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie i książek nadesłanych autorce na adres: Quinta das Romázeiras, Feijó, Portugal.

Cywilizacja współczesna

18. ROGALSKI, Aleksander: *Nowa konstelacja*. Warszawa, 1973, Instytut Wydawniczy PAX, 8°, str. 293 (1).

Autor szuka odpowiedzi na pytanie, co przynosi ludzkości nowa cywilizacja i rozwój nauk przyrodniczych i ścisłych. Jest zasadniczo optymistą — uważa, iż nowy, poszerzający się stale świat „dzięki nauce odsłania swe prawdziwe oblicze, swój prawdziwy kształt, swoją właściwą wielkość. Niemal wszystko wydaje się nowe, dziwne, niezwykle. Przeraza, a zarazem pociąga ofiarowywanymi możliwościami”.

W oparciu o rozliczne autorytety analizuje Rogalski przyspieszone tempo przemian, rewolucjonizujące poziom życia i wytyczne produkcji; omawia już dziś rysujące się wyraźnie skutki przedłużenia życia; kłopoty z czasem wolnym; problemy demograficzne i ekologiczne („aby cywilizacja nie stała się ofiarą własnego rozwoju”). Końcowe rozdziały książki — głównie w oparciu o Teilharda de Chardin — przewidują odnowę chrześcijaństwa na wielką skalę i obszernie omawiają stanowisko człowieka współczesnego wobec „rzeczy ostatecznych”, a więc śmierci. Autor przeciwstawia laickiej postawie prof. Kotarbińskiego „organiczny związek śmierci jednostki ludzkiej ze śmiercią i zmartwychwstaniem Chrystusa”. Prof. Kotarbiński — zdaniem Rogalskiego — „uważa za 'czyn wysoce etyczny' uwolnienie człowieka od lęku przed śmiercią i sądzi, że należy odpuścić myśl o własnym zgonie, co jest rzeczą zupełnie możliwą”. Rogalski przeciwstawia mu, raczej nieoczekiwanie, pogląd... Wojciecha Żukrowskiego, określonego mianem „mistrza języka” (sic!). W recenzji tomu wierszy pt. „Wszelki wypadek” Wisławy Szymborskiej, Żukrowski chwali poetkę za poruszanie tematu śmierci „bez ozdobników, bez sztukaterii”, że przeraza i nie znajduje pocieszenia — „staje przed progiem chrześcijańskiego ujęcia problemu śmierci. Ale progę tego nie przestępuje”.

Autor formułuje swe poglądy jasno, dobrze operuje cytatai. Książka pobudza do dyskusji, ułatwia ją przez referowanie co najmniej dwu poglądów na daną sprawę. Tak np. problem stosunku humanistyki i techniki rozpatrywany jest w oparciu o poglądy Leszka Kołakowskiego i Bogdana Suchołskiego.

Historia literatury

19. MACIĄG, Włodzimierz: *Literatura Polski Ludowej, 1944-1964*. Warszawa, 1974, Państwowy Instytut Wydawniczy, 8°, str. 561 (1).

Nowa wersja zarysu współczesnej literatury polskiej ograniczona do „dwudziestolecia Polski Ludowej”, pisarzy publikujących w Kraju i nie wypadłych z łaski oraz niezliczonych zmarłych na Emigracji (Gombrowicz, Hłasko, Swinarski). Przemilczeni są natomiast Lechoń, Wierzyński, Wat — i wielu in-

nym. Do „pisarzy emigracyjnych publikowanych w Polsce Ludowej” zaliczona została Maria Kuncewiczowa, sąsiadująca w tym rozdziale z jednym tylko Gombrowiczem.

Książkę otwiera obszerny wstęp dający w ujęciu marksistowskim zwięzły zarys literatury od 1939 roku, w którym to roku „nie sanacja, a więc pewna grupa rządząca przegrała swą władzę”, ale „zmienił się układ sił politycznych w Europie”. Stąd „wynik wojny był dla ogromnej części społeczeństwa zaskoczeniem” (str. 26).

Dwudziestolecie literatury PRL rozbite jest na podokresy, wyznaczone datami, a nie ogólnie przyjętymi nazwami stalinizmu, odwilży itd. — 1944-8, — 1949-54, — 1955-64 („drugie dziesięciolecie”, trzecie występuje tylko w uzupełnieniach życiorysów i bibliografii).

Główny zrąb książki stanowią życiorysy i krótkie sylwetki pisarzy zakończone bibliografią ważniejszych omówień ich twórczości. Godnym odnotowania *novum* jest uwzględnienie książek wydanych na Emigracji. Tak np. uwzględnione są dwa tomy wierszy Broniewskiego wydane w Jerozolimie („Bagnet na broń” i „Drzewo rozpaczające”) i przedrukowany wiersz pt. „Żołnierz polski”. W dorobku Słonimskiego figurują tomyki londyńskie. W wykazie powieści Jerzego Andrzejewskiego brak „Apelacji”.

Razi data wyjściowa: 1944, oznaczająca — raz jeszcze — pominięcie literatury podziemnej z okresu okupacji. Maciąg zdawał sobie z tego sprawę i, chcąc ratować sytuację, wprowadził autorów, których twórczość ujawniono po wojnie np. Krzysztofa Baczyńskiego i Tad. Gajcego (ale nie Trzebińskiego). Obszernie omówił twórczość Ksaw. Pruszyńskiego, pominął Miłosza. W ocenach natykamy się na niepokojące dysproporcje: tak np. Tymoteusz Karpowicz zbyty jest krótką wzmianką, Andrzej Kijowski zredukowany do roli krytyka. Mrozek i Stawar błędna wobec „pasjonującej” (sic!) krytyki erudycyjnej Wacława Kubackiego, w bibliografii Mariana Brandysa brak „Końca epoki szwależerów” itp. W tym ostatnim wypadku winić należy raczej cenzurę. Z zestawienia dat w adresie wydawniczym wynika, iż rękopis oddano do składania 17 maja 1972, podpisano do druku po osiemnastu miesiącach (29. XI. 1973), po czym... po wydrukowaniu w ciągu miesiąca 10.000 egz. — dodrukowano dalszych 20.000. Reszta jest milczeniem.

Sylwetki pisarzy

20. ŻAK, Stanisław: *Maria Kuncewiczowa*. Warszawa, 1973, Państwowy Instytut Wydawniczy, 8°, str. 197. (W serii: Portrety Współczesnych Pisarzy Polskich).

Popularny zarys działalności pisarskiej Kuncewiczowej utrzymany w tonie laurkowym, rozdęty do rozmiarów książki sążnistymi streszczeniami (zwłaszcza „Leśnika”). Rozdziały początkowe, dotyczące twórczości przedwojennej, z lekką nawiązują do tła, na którym się ta twórczość rozwijała. W rozdziałach dalszych brak nawet i tego i na próżno szukalibyśmy najdrobniejszej nawet wzmianki o pisarkach angielskich (Storm Jameson, Rose Macaulay, Rebecca West, Rosamond Lehmann), z którymi porównywać można Kuncewiczową bez szkody dla jej reputacji.

W części życiorysowej błąd na błędzie. Kuncewiczowa ukończyła pensję żeńską Władysławy Aspisy we Włocławku a nie w Płocku — nie mogła spędzać wigilii w paryskim mieszkaniu Lechoniów, gdyż Lechoń był nieżonaty — a „Czarna księga” w obu wersjach, polskiej i angielskiej, była wynikiem prac licznego zespołu pracowników polskiego Ministerstwa Informacji i Dokumentacji. Kuncewiczowa i Słonimski mogli, oczywiście, brać w tych pracach udział, jako autorzy komentarzy itp. — ale to nie Kuncewiczowa „ogłosiła Czarną księgę hitlerowskich mordów wydaną przez bry-

tyjskie Ministerstwo Informacji". Ogłosiła natomiast wspomnienie z dzieciństwa pt. „Powrót” w książce zbiorowej pt. „Kraj lat dzieciennych” (Londyn, 1942), broszurę pt. „Modern Polish Prose” (1945) i szkic „Polish Millstones” (Żarna) o roli kobiet polskich.

W sumie: książka niedociągnięta, domagająca się uzupełnień i szerszego uwzględnienia powiązań Kuncewiczowej z literaturą polską i angielską.

Eseje. Felietony

21. SŁONIMSKI, Antoni: *Obecność*. Felietony 1971-1972. Warszawa, 1973, Czytelnik, 8°, str. 200 (4).

Nowy tom „pism zebranych” Słonimskiego przynosi potwierdzenie tezy Berenta, iż „człowiek nie ryba, nie psuje się od głowy” i że Wielki Antoni narzekać może na niedomagania wszelkich części ciała z wyjątkiem mózgu. Felietony, powstałe A.D. 1971 i 1972, cechuje ta sama ostrość dowcipu, zwięzłość i jasność, które ongiś decydowały o sukcesie słynnych recenzji teatralnych. Godzimy się bez protestu na podjętą przez Słonimskiego obronę chochołów; na potępienie usypiaczy i „upiorów bielizny”; cieszymy się, gdy przynajmniej cytata przypomina „Snobizm i postęp” Żeromskiego, książkę wyklepą, dotąd w Kraju nie wznowioną, wyłączonej z pism zbiorowych ku wieloletniemu utrapieniu prof. Pigonia.

Osobliwością książki jest pozbawienie czytelnika wiadomości w jakim piśmie ukazały się przedrukowane obecnie felietony. Z tekstu niektórych można się domyśleć, że w *Tygodniku Powszechnym* a przypuszczenie to popiera ją wspomnienia z lektury tegoż *Tygodnika*. *Deliberate mistake?*

22. BARAŃCZAK, Stanisław: *Ironia i harmonia*. Szkice o najnowszej literaturze polskiej. Warszawa, 1973, 8°, str. 217 (1).

Autor, poeta i krytyk młodego pokolenia, uważa, iż „jednym z podstawowych problemów sztuki i literatury współczesnej staje się umiejętność pogodzenia ze sobą sprzecznych tendencji: dążenia do spokoju i zgody oraz równie silnego dążenia do wiernego zdawania sprawy z niepokoju i konfliktów rzeczywistości”. „Ironia” i „harmonia” z tytułu książki symbolizują „rozwiązanie aktywne” i „pasywne”. Trzecią ewentualność określa Barańczak mianem „buntu konsekwentnego” i wiąże z sytuacją, „w której dążność do harmonii jest jednocześnie tak silna i tak beznadziejna, że doprowadza tę literaturę do tragicznego rozdarcia”.

Barańczak zdobył sobie mocną pozycję, jako krytyk literacki książką pt. „Nieufni i zadufani”, traktującą o młodej poezji. Tu rozszerza zakres zainteresowań na prozę i poezję pięciolecia 1966-1971, obejmując bardzo ciekawy i indywidualnie zestawiony wybór tytułów. Dla przykładu przytoczę np. „Antologię poezji przeciętnej” ze szkicu omawiającego antologię utworów „Lauratów konkursów poetyckich, 1966-1967” w opracowaniu Adama Leszczyńskiego albo „Poetykę powieści produkcyjnej” Piotra Kuncewicza, będącą punktem wyjścia bardzo ciekawych rozważań o „neo-produkcyjniakach” kryjących się pod określeniem „powieści o pracy”.

W rozdziale „Bunt konsekwentny albo Niepogodzeni” Barańczak omawia twórczość dwu wybitnych poetów: Andrzeja Bursy, zmarłego w wieku 25 lat i Rafała Wojaczka, który w tymże wieku popełnił samobójstwo. Obaj reprezentowali typ poety osiągającego dojrzałość twórczą od wczesnego debiutu; dla obu życie było beznadziejną grą.

W dalszej części tomu zwraca uwagę doskonała ocena Woroszyńskiego podkreślająca zalety jego języka poetyckiego i Herberta jako „poety demaskującego to, co w kulturze jest fałszem, mitologizacją, „ozdobnością ukrywającą nieefektywną 'prawdliwość'”. Razi natomiast rozdział „Kobieca sztuka po-

średniczenia”, omawiający twórczość poetek. Równie dobrze grupować by można tomiki napisane przez blondynów albo łysych: podział według płci autorów opiera się na niepoważnych kryteriach.

Powieści

23. ELEKTOROWICZ, Leszek: *Gwiazdy drwiące*. Warszawa, 1974, Czytelnik, 8°, str. 205 (1).

Powieść dwutorowa o akcji toczącej się współcześnie, ale wynikającej z wydarzeń z okresu okupacji. Bohater, Polak, „nowy emigrant” z Chicago, przeżywa ostry nawrót wspomnień o ojcu zamęczonym w obozie Dyhenfurth-Gross-Rosen i, niemal jak „Syn zadżumionych” Tad. Nowakowskiego chce porzucić dobrą posadę w Stanach i poświęcić się pracy na miejscu dawnego obozu koncentracyjnego, motywując ten zamiar zgorą podejrzeniem, że ojciec był aresztowany przez Gestapowców zamiast niego — i przyplacił to życiem. O wartości powieści stanowi dobrze zarysowany konflikt między Krajem i Emigracją i przekonywujące ukazanie obsesji bohatera powieści Bernarda, stojącego wobec problemu porzucenia łatwego życia i późnego powrotu do Kraju (ale nie rodzinnego Lwowa). Finał powieści nie przynosi rozwiązania, stawia tylko wielki znak zapytania. Tytuł („Gwiazdy drwiące”) nawiązuje do cytaty ze Słowackiego podanej jako motto:

„Chcę biec — lecz kiedy na blask gwiazd wyidę,
Gwiazdy mię drwiące pytają, gdzie idę”.

Autor, urodzony w roku 1929, krytyk literacki, anglista, wgrzył się w realie i literaturę o obozie w Gross-Rosen i w oparciu o wiarogodne źródła dał wstrząsający obraz warunków egzystencji i okoliczności śmierci więźniów. Jeden szczegół zasługuje na wydobicie: ojciec bohatera, pochodzący ze Lwowa, stracił wolę życia, załamał się, gdy doszły do niego wieści o „strasznej niesprawiedliwości” która w Kraju stwarzać miała warunki niemożliwe do przystosowania się: „Ludzie nie będą ci sami, ojezyzna nie będzie ta sama”.

Dla wzmocnienia czytelności powieści autor wyposażył bohatera w dwie zakochane kobiety: amerykańską Ruth (dentystkę, z własnym domkiem, gabinetem dentystycznym i samochodem) i szybko decydującą się na pójście do łóżka Krysię.

Biografie. Pamiętniki

24. KOSSAK, Ewa K.: *Dagny Przybyszewska. Zbłąkana gwiazda*. Warszawa, 1973, Państwowy Instytut Wydawniczy, 8°, str. 411, ilustr. (W serii „Ludzie żywi”, 25).

Książka niewątpliwie wartościowa w części materiałowej, gdyż autorka potrafiła zgromadzić i zweryfikować dane biograficzne z okresu norweskiego, berlińskiego i polskiego — aż po tragiczną śmierć w Tyflisie. Z masy szczegółowych informacji nie wyłania się jednak Dagny — „człowiek żywy” na tle środowisk artystycznych, w których się obracała, odgrywając, jak się zdaje, większą od przypisywanej jej dotychczas roli. Przybyszewski potraktowany został zbyt łaskawie, bo wprost narzuca się porównanie ze współczesnymi nam *hippiesami*, gdy idzie o styl życia i łatwość przechodzenia nad takimi powikłaniami życiowymi, jak samobójstwo Marty Foerder, matki trojga dzieci Przybyszewskiego i tragiczna śmierć Dagny. Autorka pisze w sposób nastrojający analogie z przedwojennymi brukowymi romansami, dając „żywą paginę” o takich np. sformułowaniach: „w zachwycającym Paryżu”, „urzędujący sen nędzarza”, „Stach wyjeżdża do Krakowa”, „dyptyk strip-

teasowy", „trójka muszkietierów i ten czwarty" itp. Nie był to zresztą chwyt chybiony, bo dwudziestotysięczny nakład z miejsca został rozkupiony a na antykwarycznie zakupionym egzemplarzu, który doszedł do Portugalii, widnieją, jak na „Trędowatej" ślady łez jakiejś sentymentalnie nastrojonej czytelniczki.

25. FIDERKIEWICZ, Alfred: *Na placówce w Kanadzie*. Warszawa, 1973, Czytelnik, 8^o, str. 206 (2), ilustr.

Zmarły w roku 1972 autor relacji był przez rok (1946-7) posłem PRL'u w Ottawie, gdzie — mimo przeszkód ze strony emigrantów politycznych określanych nazwą „szerszeni" — prowadził szeroko zakrojoną akcję propagandową i starania o zwrot skarbów wawelskich. Ze szczegółowej relacji poznać możemy dzień po dniu zatrudnienia autora od chwili odplynięcia z Gdyni ze skrzynką polskiej wódki i likierów, przydzielonych przez wiceministra skarbu Daniela Kuszewskiego. Podziwiać możemy na przemian obrotność autora, jego swadę, jego liczne fotografie i wzruszające wzmianki o wnuczku Fredziu i synach umiejętnie rozlokowanych na placówkach dyplomatycznych. Skromnością autor nie grzeszył — miał tzw. „złote rączki" i wszystko mu się udawało — i pozyskanie zaufania wysokich dygnitarzy kanadyjskich — i zasadnicze posunięcia dzięki którym skarby wawelskie przekazano PRL — i przygotowanie gruntu pod przemianowanie poselstwa na ambasadę. A wszystko w ciągu roku!

Monografie historyczne

26. KOZŁOWSKI, Eligiusz: *Generał Józef Hauke-Bosak, 1834-1871*. Warszawa, 1973, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 8^o, str. 460, 9 szkiców, 24 ilustracje.

„Nowożytny Leonidas" był od dawna przedmiotem zainteresowania — nie tylko historyków — ze względu na barwny życiorys, jak i bliskie pokrewieństwo ze słynną Julią ks. Battenberg, prababką księcia Filipa, małżonką królowej angielskiej. W roku 1972 udostępnione zostało archiwum rodzinne Hauków, przekazane ostatnio do zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie. Umożliwiło to Kozłowskiemu rozwikłanie wielu problemów i uzupełnienie biografii Haukego, której najlepszą wersję dał Józef Żmigrodzki w „Niepodległości" (1933). Autor biografii ukazał w świetle archiwaliów trudną drogę Haukego od służby w gwardii cesarskiej do stanowiska dowódcy powstańczego. Starł się — pisze — „o wykazanie, że nie pochodzenie arystokratyczne czy związki z rodziną carską powodowały jego odsunięcie od udziału w powstaniu, ale względy natury polityczno-społecznej i drażniąca powstanie od wewnątrz walka między białymi i czerwonymi stanowiły tło, na którym rozgrywał się dramat odsunięcia Haukego w cień na wiele miesięcy od konkretnej działalności". W drugiej połowie książki autor analizuje działalność emigracyjną Haukego, w której „sztaandarowym punktem jego wszelkich programów była sprawa niepodległości Polski, do której urzeczywistnienia chciał dojść przez rozwiązanie problemu narodowościowego i zagadnień społecznych w duchu samostanowienia i ogólnej zgody, przez pokojowe a nie rewolucyjne rozwiązanie trosk gnębiących ówczesną społeczność europejską, przez zasypywanie przeciwnostw, poprzez powiązanie sprawy polskiej z ogólnoeuropejską wojną wyzwolenczą, przez swoiście pojęty internacjonalizm zakutych w kajdany niewoli przez obcych lub własnych koronowanych władców".

Kozłowski opracowywał biografię Hauke-Bosaka w setną rocznicę śmierci generała na polu bitwy pod Dijon. Dał jednak coś znacznie bardziej wartościowego od okolicznościowego opracowania rocznicowego.

Źródła do najnowszej historii Polski

27. INSTYTUT HISTORII POLSKIEJ AKADEMII NAUK. *Ludność cywilna w powstaniu warszawskim*. Pod redakcją Czesława Madajczyka. Przedmową poprzedził Czesław Madajczyk. 1) Pamiętniki, relacje, zeznania, 2) Archiwalia, 3) Prasa, druki ulotne i inne publikacje powstańcze. (Konsultacja relacji i opracowanie not wstępnych do poszczególnych dzielnic: Władysław Bartoszewski). Warszawa, 1974, Państwowy Instytut Wydawniczy, 4^o, t. I, cz. 1 str. 554; t. I, cz. 2 str. 710, 4 mapy; t. II, str. 794; t. III, str. 576, ilustr.

Publikacja jest wynikiem wieloletnich prac zainicjowanych przez prof. Stan. Płoskiego, który wydania jej nie doczekał. Intencją redakcji było zebranie wiarogodnych informacji o postawie mieszkańców stolicy w czasie powstania. Relacje, jak stwierdzają wydawcy, przynoszą w tomie pierwszym „obraz heroiczno-martyrologiczny", t. II i III dają dokumentację niejako oficjalną w postaci przedruków dokumentów i wyboru tekstów ogłoszonych w prasie powstańczej i wydanych w czasie walk broszur, afiszów i ulotek.

Całość zasługuje na obszernie omówienie i ocenę znawców, ale — podobnie jak „Walka o dobra kultury" pod red. Stan. Lorentza — zajmie niewątpliwie trwałe miejsce w podstawowej literaturze dowodowej o powstaniu. Oprawa edytorska (wstępy, przypisy, indeksy) bardzo staranna, dobór ilustracji i podobizn dokumentów wręcz wspaniały.

Nadesłane nowości wydawnicze

ORWELL (George). *Folwark zwierzęcy*. Przełoża z angielskiego Tereda Jeleńska. Str. 94 i 2 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn, 1974).

DEDECIUS (Karl). *Polacy i Niemcy postannictwo księzek*. Przełożyli Irena i Egon Naganowscy, przedmowę napisał Egon Naganowski. Str. 138 i 30 nlb. (w tym 24 str. ilustracji). (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1973, cena zł 25).

Antologia poezji hebrajskiej. Wyboru dokonał, przełożył i w przypisy zaopatrzył Zew Szepe. Str. 203 i 5 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1974).

Rzeczpospolita Podchorążacka. Nr 7, Kwiecień 1974 r. Str. 32 (warytiper). (Wyd. Koło S.P.P., Londyn).

KORAB. *L'Œil de Dajan*. Przełożył z polskiego Szymon Laks. Str. 254. (Wyd. Robert Laffont w serii „Pavillons", Paryż, 1974, cena F. 28).

MARTIN (André). *Andrey Sahharov et le combat en U.R.S.S. pour les droits de l'homme*. Str. 250 i 6nlb. (Wyd. Editions Albatros — Editions Etapes, Paryż, 1974).

L'affaire Soljenitsyne: un test révélateur sur les communistes et la gauche. Str. 40. (Supplément de Est et Ouest — Bulletin d'Etudes et d'Informations Politiques Internationales, No 529, 16-30 Avril 1974, Paryż).

MIŁOSZ (Czesław). *Selected Poems*. Przedmowa Kenneth Rexroth. Str. 128 i 2 nlb. (Wyd. A Continuum Book The Seabury Press, New York, 1973, cena Dol. 5,95).

PELENSKI (Jarosław). *Russia and Kazan. Conquest and Imperial Ideology (1438-1560s)*. Str. 368. Wyd. Mouton, The Hague-Paris, 1974).

- The Israel Year Book* 1974. Str. 295. (Wyd. Israel Yearbook Publications Ltd., Tel-Aviv, 1974).
- TURYŃ (Alexander). *Demetrius Triclinius and the Planudean Anthology*. Str. 403-450. (Nadbitka z *Epeteris Hetaireias Byzantinom Spoudon*, Tom 39-40, Ateny 1972-1973).
- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *U.S. - Soviet Relations*. Str. 113-132. (Nadbitka z *The Next Phase in Foreign Policy*, red. Henry Owen, wyd. Research Institute on Communist Affairs, School of International Affairs Columbia University).
- DRZEWIENIECKI (Walter M.), DRZEWIENIECKA - ABUGATAS (Joanna E.). *Public Library Service to American Ethnics: The Polish Community on the Niagara Frontier, New York*. Str. 120-137. (Nadbitka z *The Journal of Library History*, vol. 9, No. 2, April 1974, Buffalo, N.Y.).
- LICHTEN (Joseph L.). *Polish Americans And American Jews: Some Issues Which Unite And Divide*. Str. 11 i 1 nlb. (Odbitka z *The Polish Review*, Vol. XVIII, No. 4, 1973, pp. 52-62, wyd. The Polish Institute of Arts and Sciences in America, Inc., New York, N.Y.).
- Europäische Ideen*. Heft 4, 1974. *Literatur in der DDR*. Str. 28 i 4 nlb. (Wyd. Andreas W. Mytze, Berlin).
- SKORNIĄKOW (Wiktor). *Ostrow bezmiatiecznych*. Politiczeskij grotesk — fantazija. Str. 95 i 1 nlb. (Wyd. American „Sam-Izdat”, New York, 1972).
- RUDNYCKYJ (J. B.). *An Etymological Dictionary of the Ukrainian Language — Introductory Part (0/11)*. Str. LXXXV i 3 nlb. (Wyd. Ukrainian Free Academy of Sciences UVAN, Inc., Winnipeg, Man., 1972).
- BONDARENKO (A.). *Słowo w dyskusji jakobi ne buło*. (Zamist' analizy dywnych potiahneń PP. M. Liwyckoho ta M. Stepanenka). Str. 67 i 1 nlb. (Wyd. „Ukraiński Wisti”, Neu-Ulm (Donau), 1972).
- HAK (Anatol). (Martin Zadeka). *Wid Hulaj-Polja do Nju-Jorka*. Spohady. Str. 326 i 2 nlb. (Wyd. „Ukraiński Wisti”, Neu-Ulm (Donau) — Filadelfia, 1973).
- SOŁŻENICYŃ (Oleksander). *Nobelivska lekcija z literatury*. Przekład Ihora Kaczurowskoho. Str. 16. (Wyd. „Ukraiński Wisti”, Neu-Ulm (Donau), 1973).
- Słowo na Storozi*. Orhan Towarystwa Piekannia Ridnoji Mowy. No. 9, 1972 (Str. 16) i No. 11, 1974 (Str. 31 i 1 nlb.), Winnipeg.
- RUDNYCKYJ (J. B.). *Slavic Geographical Names in Manitoba*. Str. 24. *Onomastica* No 45. (Wyd. The Canadian Institute of Onomastic Sciences and UVAN, Winnipeg, Man., 1973).
- Kalendar Słowo na rik* 1974. Str. 144. (Wyd. „Wiline Słowo”, Toronto, Ont., 1974).
- Kalendar-Almanach Miła — 1974*. Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. Julija Serediaka, Buenos Aires, 1973).
- Monumenta Ucrainae Historica* (w języku łacińskim). Tom I (1075-1623), str. 350; Rzym, 1964; Tom II (1624-1648), str. 358; Rzym, 1965; Tom III (1650-1670), str. 399 i 1 nlb.; Rzym, 1966; Tom IV (1671-1701), str. 380; Rzym, 1967; Tom V (1702-1728), str. 434 i 2 nlb.; Rzym, 1968; Tom VI (1729-1773), str. 389 i 3 nlb.; Rzym, 1968; Tom VII (1774-1807), str. 387 i 1 nlb.; Rzym, 1969; Tom VIII (1808-1839), str. 284; Rzym, 1970; Tom IX-X (1075-1632), Supplementum, str. 942i 2 nlb.; Rzym, 1971. (Wyd. Editiones Universitatis Catholicae S. Clementis Papae; opracował Metropolita Andreas Szeptyckij tomy VII, VIII i IX-X wydał Metropolita Josephus Slipyj).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16-4-74

W pierwszy dzień Wielkanocy kardynał Wyszyński wygłosił kazanie podczas mszy w prowizorycznym kościele na Bielanych, mieszczącym się w dawnych koszarach sowieckich. Prymas domagał się w swoim kazaniu większej ilości zezwoleń na budowę kościołów.

17-4-74

W Polsce zmarł, w wieku 74 lat, jeden z najstarszych działaczy komunistycznych, Jan Izydoreczyk. ■ W obszernym komentarzu *Izwestia* kwitując z zadowoleniem odzicję tendencji konserwatywnych w jugosłowiańskiej Lidze Komunistów. Ostrzegają równocześnie, że zagrożenie ze strony „sił antysocjalistycznych” (tak określa się partyjnych liberałów, zwolenników liberalizacji politycznej i ekonomii rynkowej) nie znikło jeszcze w Jugosławii całkowicie.

23-4-74

Na aukcji książek w Bydgoszczy została zakupiona za 275.000 zł „Bibliografia polska” Karola Estreichera (ponad 50 tomów). Nabywcą jest filia Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Cena wywoławcza wynosiła 80.000 złotych.

25-4-74

Na Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia w PRL zebrano dotąd 3 miliardy złotych. ■ W PRL 20 miejscowości otrzyma w bież. roku status uzdrowisk. Są to: Jastarnia, Jurata, Krynica Morska i Łeba w woj. gdańskim, Magnuszów w kieleckim, Dźwirzyno i Ustka w koszalińskim, Złockie w krakowskim, Lipa w lubelskim, Rogoźno w łódzkim, Koszuty w poznańskim, Czarna Komańcza i Rabe w rzeszowskim, Dziwnówek, Łukęcin i Międzywodzie w szczyńskim, Łągów w zielonogórskim. Pełny status uzdrowiska otrzymały Krościenko i Międzyzdroje. ■ W Leningradzie profesor literatury, Jefim Etkind, został usunięty ze Związku Pisarzy Sowieckich oraz z Instytutu Pedagogicznego Herzena, gdzie wykładał od 23-let. Represje spotkały go z powodu osobistych kontaktów z Aleksandrem Sołżenicynem i Józefem Brodzkim. Jest podejrzany o udzielanie im pomocy materialnej.

27-4-74

PRL należy do czołowych dostawców wyrobów przemysłu lekkiego na rynek sowiecki. Roczna wartość eksportu tych towarów przekracza 300 milionów rubli. Z PRL pochodzi m.in. 34 % wszystkich importowanych przez ZSSR tkanin, zwłaszcza wełnianych. W ostatnich latach poważnie wzrosła sprzedaż ubrań męskich. ■ Władysław Loranc, zastępca przewodniczącego Komitetu do Spraw Radia i Telewizji, został mianowany wiceministrem Kultury i Sztuki. ■ W czasie zorganizowanej przez Szczepańskiego telewizyjnej czystki w Warszawie zaprotestowała przeciwko niej radiowa egzekutywa partyjna. Skład egzekutywy został zmieniony, wraz z jej sekretarzem red. Kwasińskim. ■ W Warszawie zamknięto ponad 80 sklepów mięsnych i spożywczych z powodu braku towaru. W kilku wypadkach kierownicy sklepów wywiesili kartki z napisem „Zamknięty z powodu braku towarów”. Władze na to nie zareagowały. ■ Wszystkie filmy wyprodukowane w PRL przed 1971 rokiem podane zostały szczególnej cenzurze w celu uniemożliwienia wysyłania za granicę „filmów szkodliwych”. Najmniejszy przejaw krytyki

16-4-74

Zmarł w Londynie, w wieku 80 lat, Wiktor Romanow-Głowacki, major geograf, kierownik sekcji wydawniczej 2-go Korpusu na Środkowym Wschodzie, działacz społeczny, m.in. wieloletni redaktor biuletynu *Przegląd prasy ukraińskiej*. ■ Na Zachodzie ukazał się pełny tekst oświadczenia Sacharowa w związku z Listem Sołżenicyna *Do wódzów Związku Sowieckiego*, Sacharow podpisuje się pod głównymi postulatami Sołżenicyna: porzucenia marksizmu jako ideologii państwowej, wyrzeczenia się hegemonii nad Środkowo-Wschodnią Europą i nie rosyjskimi republikami w ZSSR. Nie podziela jednak „nacjonalistycznej i izolacionistycznej tendencji” *Listu*.

19-4-74

Zmarł w Anglii, w wieku 74 lat, Jan Baliński-Jundziłł. W okresie międzywojennym był prezesem Międzynarodowej Konfederacji Studentów CIE, po wojnie był współzałożycielem Polish Research Centre, założycielem i prezesem Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej oraz prezesem „Ogniska Polskiego” w Londynie.

20-4-74

Wojciech Kornacki, korespondent *Expressu Wieczornego* w Wielkiej Brytanii, został wybrany prezesem Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej w Londynie. Po raz pierwszy w historii Stowarzyszenia jego prezesem został przedstawiciel kraju komunistycznego. ■ Nagrodę *l'Age d'Or* (jej nazwa pochodzi od głośnego filmu Louisa Bunuela) otrzymał mieszkający w Paryżu polski reżyser Walerian Borowczyk. ■ Znany londyński miesięcznik *Encounter* został kupiony przez amerykańską *Carus Corporation*. Planowane jest podniesienie nakładu z 20 do 50 tysięcy.

24-4-74

W Galerie Lambert w Paryżu odbyła się wystawa obrazów Józefa Czapskiego połączona z prezentacją książki p. Murielle Werner-Gagnebin „Czapski — la main et l'espace” wydanej przez wydawnictwo *L'Age d'Homme* w Lozannie.

27-4-74

W Guildford pod Londynem zmarł, w wieku 71 lat, Jan Weinstein, b. radca MSZ, historyk.

28-4-74

W Londynie obchodzone uroczyste rocznicę Katynia. Na publicznym zebraniu przemawiał Józef Czapski.

29-4-74

W Grabowskiej Gallery w Londynie została otwarta wystawa obrazów i rysunków Józefa Czapskiego.

1-5-74

Rośnie we Francji zainteresowanie Gramsci'm, krytycy zauważają że 1974 będzie jego rokiem. Wysły już cztery książki o Gramsci'm, miesięcznik *Dialectiques* poświęcił mu numer specjalny, zapowiadane są jego dzieła zebrane. Z czterech wspomnianych książek największą poczytnością cieszy się *Pour Gramsci* komunistki włoskiej Macciocchi. Wśród własnych i francuskich towarzyszy Maria Antonietta Macchiochi uchodzi za komunistkę „nie ortodoksyjną”. Mały skandal wywołały we Włoszech jej *Listy z wewnątrz partii*, podczas dorocznego święta *Humanité* odmówiono w kioskach oficjalnych sprzedaży jej książki o Chinach. Studium o Gramsci'm też zapewne

nie budzi w kierownictwie partii włoskiej zbytniego entuzjazmu. Gramsci został co prawda we własnej ojczyźnie pośmiertnie kanonizowany, ale nie poszedł jeszcze całkowicie w niepamięć jego ostry konflikt z Togliattim (czasy w których Togliatti wyrażał się pogardliwie o swoim mistrzu *quel gobbetto* — „ten garbusek”).

3-5-74

W Paryżu odbyło się doroczne zebranie Towarzystwa Historyczno-Literackiego w gmachu Biblioteki Polskiej. Po części sprawozdawczej odbył się odczyt prof. Henri Mazaud pt. „Konstytucja polska 3-go maja, a konstytucja francuska z 3. 9. 1791”. Ponadto złożono hołd pamięci ambasadora Kajetana Morawskiego w przemówieniach M. Biesiekierskiego i W. Nowosada.

5-5-74

W Londynie PPS zorganizowało uroczysty obchód święta robotniczego 1-go maja. Zebraniu przewodniczył Kazimierz Sowiński, przemawiali: Patrick Gordon Walker, Błażej Vilim, Franciszek Wilk i Adam Ciołkosz.

6-5-74

Heinrich Böll, przewodniczący międzynarodowego Pen-Klubu od 1971 roku, oświadczył, że nie zamierza kandydować na to stanowisko na kongresie komitetu wykonawczego Pen-Klubu, który ma się odbyć 17. 5. br. w Ahrid (Jugosławia).

14-5-74

W Londynie zmarł gen. Stanisław Kuniczak, długoletni prezes Koła Lwówian i czynny działacz polityczny.

15-5-74

W Paryżu została otwarta wystawa Jana Lebensteina „Lebenstein et les siens” zorganizowana przez Le Théâtre Oblique et la Galerie Lambert.

16-5-74

Nagrodę muzyczną Monaco przyznano polskiemu kompozytorowi Juliuszowi Luciukowi.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

29. 3 br. zmarł w San Diego (Calif.), w wieku 67 lat, płk dypl. pilot-obszernik inż. Stanisław M. Brejnak, jeden z wybitniejszych polskich lotników ostatniej wojny. ■ 7. 4. br. odbyło się w Chicago walne zebranie Oddziału „Midwest” Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce. Przewodniczącym zarządu został wybrany dr Zbigniew Gołąb, profesor University of Chicago, generalnym sekretarzem dr Bernardine Pietraszek z De Paul University w Chicago. ■ 15. 4. br. Federalna Komisja Komunikacji w Waszyngtonie, której podlega kontrola programów telewizyjnych w USA, odrzucając apelację Kongresu Polonii Amerykańskiej, który złożył skargę do władz, oskarżając 3 stacje telewizyjne o nadawanie programów, które zawierają ośmieszające lub poniżające wypowiedzi o Polakach. ■ Prof. W. M. Drzewieniecki, jeden z promotorów ustawy o funduszach rządowych na prowadzenie studiów z zakresu zagadnień etnicznych, podał do wiadomości, że dzenie studiów z zakresu zagadnień etnicznych, podał do wiadomości, że ustawa ta jest sabotowana przez Departament Zdrowia i Edukacji w Waszyngtonie. Uchwalony rok temu przez Kongres specjalny fundusz w wysokości 2,5 miliona dolarów na ten cel nie jest wykorzystany i może przepaść, ponieważ Departament do tej pory nie powołał do życia Komitetu do Spraw Studiów Etnicznych, która ma tym funduszem dysponować. ■ Inż. Sendzi-

mir przeznaczył dotację dla Kolegium związkowego na rozszerzenie studiów polonistycznych, a w pierwszym rządzie na sprowadzenie polonisty z Polski. ■ 20. 4. br. odbyło się w Nowym Jorku walne zebranie Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce. Prezesem zarządu został dr John Gronouski, b. ambasador USA w Warszawie, a wiceprezesami prof. Zbigniew Brzeziński i prof. Feliks Gross. ■ W dniu 10. 4. br. na wydziale slawistyki New York University została otwarta wystawa Jerzego Bittera. Jest to już trzecia indywidualna wystawa tego artysty w Nowym Jorku. ■ 27. 4. br. w Nowym Jorku odbył się Wieczór Autorski Wacława Solskiego, urządzony pod egidą Instytutu Naukowego. Nowe, jeszcze przeważnie niedrukowane utwory czytali i deklamowali: artystki scen warszawskich Jadwiga Gośławska, Ewa Krasnodębska, Ewa Garbassi, oraz autor. „Głos Ameryki” transmitował wieczór do Polski. ■ W Cleveland, Ohio organizacje polonijne uzyskały zgodę władz miejskich na zorganizowanie w bibliotekach miejskich specjalnych odczytów o literaturze polskiej w angielskich przekładach. ■ W wyniku konkursu literackiego dla młodzieży polonijnej na opracowanie o tematyce związanej z Polską, ogłoszonego przez Polski Klub Artystyczny w Chicago, zostało nagrodzonych 28 prac. ■ W Santa Barbara, Cal., w Muzeum Sztuki, została otwarta z inicjatywy Polonii kalifornijskiej wystawa polskich plastyków. Wystawiali: Anna Guntner, Zbigniew Makowski i Józef Twirbutt. ■ W tradycyjnym obchodzie w Chicago rocznicy Konstytucji 3-go Maja po raz pierwszy wzięli oficjalny udział przedstawiciele amerykańskich związków zawodowych. Obchód odbył się po raz pierwszy w centrum miasta, a nie w dzielnicy polskiej. Po raz pierwszy na obchodach nie było prezydenta, wiceprezydenta USA a nawet członka rządu. ■ 1. 5. br. teatr uniwersytetu stanowego Bowling Green, w Bowling Green, Ohio (20 tysięcy studentów) wystawił sztukę Witkacego „W małym dworku”. Przekład został dokonany przez p. Stefanię Gross. ■ Znany przemysłowiec amerykański, inż. Tadeusz Sendzimir, ufundował stypendium dla młodego pracownika nauki z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Przekazane przez inż. Sendzimira fundusze zapewniają ciągłość wyjazdów stypendialnych przez okres 15 lat. Stypendium będzie przekazywane za pośrednictwem Fundacji Kościuszkowskiej w New Yorku. ■ Instytut Józefa Piłsudskiego w New Yorku otrzymał jednorazową dotację w wysokości 20.000 dolarów od dr. Karola Tuszowskiego. Ofiarodawca zwrócił się z apelem do Polonii Amerykańskiej by podwoiła ofiarowaną przez niego sumę. Na skutek apelu szereg osób zadeklarowało donacje w wysokości 100 i 200 dolarów. Listy wpłat będą ogłaszane w prasie polonijnej. ■ 12. 5. br. zmarł w Nowym Jorku inż. Damian S. Wandycz, uczestnik strajku szkolnego w 1905 roku, członek Związku Walki Czynnej, Związku Strzeleckiego, żołnierz I Brygady Legionów, zasłużony pracownik polskiego przemysłu naftowego, b. dyrektor Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, b. dyrektor Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku, b. dyrektor Polonia Technica, autor licznych prac naukowych. ■ W Waszyngtonie mówi się, że Kissinger wysunął projekt, by USIA (*United States Information Agency*) została włączona do Departamentu Stanu. *Voice of America* miały zostać włączone do publicznej korporacji, która zawiaduje *Radio Free Europe* i *Radio Liberty*. Reforma ta ma być połączona z „czystką” zrobioną pod kątem *détente*. Wtajemniczeni mówią, że *Free Europe* ma zostać w ciągu najbliższych dwóch lat zlikwidowana i że zostanie na placu *Voice of America* odpowiednio „przycięty”. Już dziś stosunki *Voice of America* z sowiecką ambasadą i satelitami są doskonałe: wzajemne wizyty etc. Współpraca rozwija się głównie za pośrednictwem uniwersytetów amerykańskich. Środowiska uniwersyteckie w USA są najbardziej zaangażowane w bezkrytycznej współpracy ze Wschodem. Niestety duży procent profesorów amerykańskich polskiego pochodzenia nie stanowi tu wyjątku.

KRONIKA KANADYJSKA

Kanada pobiła rekord chaosu pocztowego. Ongis — i to w niedawnej jeszcze przeszłości — doskonała służba pocztowa należy obecnie do najpodlejszej. Z uzyskanego w 1967 roku przez pracowników państwowych prawa do strajku pocztowy skorzystali dwukrotnie legalnie i po raz trzeci nielegalnie. Po pierwszym strajku powszechnym w 1970 roku — zlikwidowanym przez specjalnego mediatora — w 1972 roku przez szereg tygodni trwał strajk nielegalny, strajk, który w połowie miesiąca objął cały kraj. Władze państwowe okazały się bezsilne i uciekły się do powołania mediatora, który dopro-wadził do podjęcia pracy w dniu 28 kwietnia. Rząd zobowiązał się do nie wyciągania konsekwencji wobec przywódców nielegalnego strajku i zgodził się na wyłonienie komisji, z udziałem mediatora, którym jest dr Eric Taylor, specjalista od stosunków pracy w przedsiębiorstwach, osoba prywatna — celem zrewidowania zasad klasyfikacji pracowników państwowych — celem zrewidowania zmian technicznych na tle mechanizacji, wprowadzenia kodów i przyszłych zmian technicznych. Pracownicy pocztowi strajkowali głównie z tych powodów, co przed porzuceniem pracy wyrażało się praktycznie sabotowaniem kodów, me-chanizacji itp. ■ Związek drobnych i średnich przemysłowców wystąpił przeciwko rządowi federalnemu z powództwem w wysokości Dol. 100.000.000 o odszkodowanie za poniesione straty z powodu strajku pocztowego. Podkreśla się, że rząd nie wykonał przyjętych zobowiązań, do których należy regularna obsługa pocztowa. Niektóre pisma wystąpiły z projektem, lansowanym swego czasu przez Erica Kieransa, ministra poczty, przekształcenia Rady Kongresu Polonii Kanadyjskiej na przedsiębiorstwo państwowe. ■ Rada Kongresu Polonii Kanadyjskiej (rodzaj izby senackiej zbierającej się raz do roku) omawiała m.in. sytuację wewnętrzną w związku z wystąpieniem rozmów, które doprowadziłyby do powrotu ZPwK. Wskazano na konieczność zmian statutowych, które w pełni zasady niezależności organizacji członkowskich, uwyślanowałyby w pełni charakter federalistyczny Kongresu. Komisja przygotowuje projekt pakalaję federalistyczny charakter przedłożone walnemu zjazdowi w październiku br. ■ Prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, p. A. Mazewski, dzielniku br. ■ Prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, p. A. Mazewski, — czas wizyty min. Haidasza wyjaśnił, iż Kongres Polonii Amerykańskiej — nie zamierza brać udziału w projektowanym światowym zjeździe organizacji polonijnych, zorganizowanym w celu wyłonienia centralnego organu. Kongres Polonii Amerykańskiej jest natomiast skłonny pomóc KPK w przygotowaniach do spotkania, ale nie zamierza zostać członkiem takiej światowej organizacji. ■ Czteroosobowa delegacja Polskiego Komitetu Olimpijskiego bawiła w Kanadzie pod koniec kwietnia br. przeprowadzając rozmowy w Montrealu, gdzie odbędzie się Olimpiada w 1976 roku i zwiedzając tereny rozgrywek. Delegacja spotkała się również z różnymi osobami z Kanady, entuzjastami sportu, apelując o moc dla polskiej ekipy olimpijskiej. Podkreślano, iż bez finansowej pomocy Polonii Polska nie będzie w stanie wystawić dużych zespołów. ■ Sekretariat Stanu — Departament Wielokulturowości — przyznał dotację w wysokości Dol. 4.600 na podręcznik „Polish Heritage” dla szkół średnich, w programach których znajdują się będzie nauka języka, historii i kultury polskiej. Podręcznik przygotowują profesorowie: Danuta Bieńkowska i Florian Śmieja oraz mgr Irma Zaleska. ■ Dnia 30. 4. br. odbył się w Toronto, staraniem miejscowego oddziału Polskiego Instytutu Naukowego, Stowarzyszenia Techników Polskich oraz Koła Nr 20 SPK, wieczór wspomnień o zmarłych w

marcu br. pisarzu i publicyście, Zbigniewie Grabowskim. ■ Niemal równocześnie w Toronto odbyły się z końcem kwietnia i początkiem maja br. wystawy trojga polskich artystów: Tamara Jaworska prezentowała nowe tkaniny, Edward Konuszy brał udział w zbiorowej wystawie Związku Kanadyjskich Rzeźbiarzy, a Henryk Hoenigan miał indywidualną wystawę olejów i gwaszy. ■ Ukraińcy w Kanadzie przeprowadzili w środowiskach uniwersyteckich akcję zbierania podpisów pod apelem w obronie młodego historyka ukraińskiego Walentyna Moroza, osadzonego w głośnym więzieniu w Władimirze w warunkach zagrażających jego życiu. Apel znalazł bardzo szerokie poparcie. Zwraca uwagę przykry fakt że pod apelem nie ma ani jednego nazwiska polskiego profesora. ■ Florian Śmieja, obecnie już profesor zwyczajny literatury hiszpańskiej w Western University w London, Ontario, jest przewodniczącym Zrzeszenia profesorów hispanologów w Kanadzie. Po kilku pogadankach w radio i telewizji zaproponowano mu prowadzenie w miejscowej stacji telewizyjnej programu *London Mosaic*, który jest poświęcony grupom etnicznym. Prof. Śmieja układa program i prezentuje wykonawców. Jest to bodajże czwarty lub piąty program telewizyjny z udziałem przedstawicieli Polonii, z tym iż pozostałe są wyłącznie polonijne i prowadzone w języku polskim. ■ Podczas międzynarodowego zjazdu socjologów, który odbędzie się w sierpniu br. w Toronto, prof. Aleksander Matejko zorganizuje z ramienia Kanadyjsko-Polskiego Instytutu Badawczego sesję poświęconą polskiej grupie w Kanadzie. Przewidywany jest udział profesorów z Polski: Jana Szczepańskiego i Stefana Nowakowskiego a z Kanady: Matejki, Jana Krótkiego i pp. B. Heydenkorna, R. Koglera i H. Radeckiego. ■ Na uniwersytecie w Manitobie otworzono uroczyste 25-lecie katedry slawistyki. W br. na katedrze pracuje 5 profesorów i 180 studentów. Na polonistykę uczęszcza 8 studentów. ■ W pierwszych dniach września odbędzie się w Kanadzie (Banff, Alberta) ogromna konferencja slawistyczna, której patronują: *The American Association for the Advancement of Slavic Studies, The British Universities Association of Slavists, The British National Association for Soviet and East European Studies, The Canadian Association of Slavists*. W Komitecie Organizacyjnym figurują m.in. prof. Adam Bromke i prof. Piotr Wandycz. We wstępnej fazie przygotowań brał m.in. udział prof. Andrzej Kamiński. Program konferencji przewiduje podział na pięć grup roboczych: Ekonomia, polityka i społeczeństwo; Stosunki międzynarodowe; Historia; Języki i literatura; Wychowanie, filozofia i religia. W pracach konferencji uczestniczyć będą m.in. następujący uczeni polscy: Jan Szczepański z Warszawy, Andrzej Brzeski i Andrzej Korboński z Kalifornii, Jerzy Wojciechowski, Zbigniew Jordan, Aleksander Matejko i Karol Krótki z Kanady, Stanisław Gomułka z Danii, Edward Stankiewicz z Yale, Eugeniusz Zaleski z Paryża, Zbigniew Folejewski i Bogdan Czaykowski z brytyjskiej Kolumbii, Jerzy Pietrkiewicz z Londynu, Mieczysław Maneli i Tadeusz Cieplak z Nowego Jorku, Jerzy Krzyżanowski z Ohio. ■ 13. 3. br. odbył się w Toronto wieczór pisarzy etnicznych. Z grupy polskiej wziął w nim udział poeta Waław Iwaniuk. ■ 12. 5. br. odbyło się w S.P.K. w Toronto „Spotkanie z Edwardem Duszą”: o twórczości poety mówił W. Iwaniuk, wywiad z autorem przeprowadziła Iwona Buczkowska, utwory recytowali studenci.

Z OSTATNIEJ CHWILI

PROBLEMY POLSKIE W WYBORACH PREZYDENCKICH WE FRANCJI

Na początku maja powstał we Francji Komitet Poparcia kandydatury

Jacques Chaban-Delmas, zorganizowany przez Francuzów pochodzenia polskiego i z krajów Europy Wschodniej. Jednym z organizatorów był Jerzy H. Mond. Po przegranej Chaban-Delmasy w pierwszym głosowaniu Komitet poparł kandydaturę Giscard d'Estainga.

Narodowiec z 16. 5. 74 zamieścił komunikat z nadzwyczajnego zebrania Klubu „Przyszłość” kultury polsko-francuskiej, które odbyło się w dn. 12. 5. b.r. w Dourges (Pas-de-Calais) z udziałem ks. Andrzeja Poniatowskiego, prezesa Polskiego Twa Historyczno-Literackiego w Paryżu, w którym czytamy m.in.:

„Książę Andrzej Poniatowski przedstawił Polskie Towarzystwo Historyczno-Literackie i Bibliotekę Polską w Paryżu — jako symbole polskiego życia kulturalnego poza Polską i omówił kwestię przyszłości tych placówek i swej własnej odpowiedzialności, biorąc pod uwagę obecną sytuację polityczną.

Zdaniem księcia Poniatowskiego, zasadniczym rysem Biblioteki Polskiej w Paryżu jest jej zupełna niezależność od jakiegokolwiek rządu: polskiego, francuskiego lub zagranicznego”.



Natomiast 17 maja ukazało się w *Narodowcu* następujące oświadczenie: OŚWIADCZENIE P. MITTERRANDA W SPRAWACH POLSKICH

W związku z wyborami przyszłego Prezydenta Francji socjaliści pochodzenia polskiego zwrócili się do pana Mitterrand z prośbą o określenie jego stanowiska wobec postulatów Emigracji polskiej we Francji.

P. Mitterrand oświadczył, iż jeżeli zostanie wybrany na prezydenta, spełni on następujące życzenia naszego Wychodźstwa:

— Utrzymanie polskich audycji radiowych w godzinach dogodnych dla wszystkich słuchaczy.

— Rozszerzenie nauczania i dopuszczenie języka polskiego na równi z innymi językami obcymi do egzaminów maturalnych.

— Utrzymanie Biblioteki Polskiej w Paryżu jako własności kilku pokoleń Emigracji polskiej — bo jest to placówka stworzona wysiłkiem kilku pokoleń Emigracji polskiej, a zagrożona przejęciem przez władze warszawskie.

— Zajęcie na Genewskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy stanowiska w pełni uwzględniającego interesy i dążenia Narodu polskiego”.

Za Socjalistów pochodzenia polskiego (—) Jan OSTROWSKI



16. 5. br. dwaj dyplomaci PRL: Henryk Bozak — radca stałej delegacji polskiej przy ONZ w Genewie, i Józef Mędrzycki — posiadacz paszportu dyplomatycznego, zostali aresztowani w pociągu pociągim „Mistral” we Francji, w chwili gdy próbowali „zaangażować” urzędnika DST (Direction de la Surveillance du Territoire). Mimo interwencji sekretarza Ambasady PRL w Paryżu, Bohdana Niewadzkiego, który oczekiwał na aresztowanych na stacji w Dijon, pp. Bozak i Mędrzycki zostali przewiezieni do Paryża i po przesłuchaniu ekspulsowani z Francji. Przy tej okazji DST podała do wiadomości, że 23. 4. br. pierwszy sekretarz PRL w Paryżu, J. Szezygiał zajmujący się współpracą naukową polsko-francuską, był złapany przy zdobywaniu wojskowych dokumentów francuskich. Mnożące się w ostatnich miesiącach afery szpiegowskie PRL potwierdzają wiadomość, którą podaliśmy kilka miesięcy temu, że — po skompromitowaniu Czechosłowacji — PRL jest głównym ośrodkiem sowieckiej akcji szpiegowskiej.

Listy do Redakcji

Caracas, 12 maja 1974.

B. J. Jenne nadesłał nam tekst swego listu do redakcji *Wiadomości* z prośbą o jego opublikowanie.

Do Pani Redaktora „Wiadomości”
Rodzynek w „zakalcu”

Zdumiało mnie wielce, że na sprawy, które zrodziły się na łamach „Wiadomości” odpowiada Pani Redaktor „wyjaśniającym” listem prywatnym (?) miast zamieścić moje sprostowanie.

Bo jednak w „zakalcu” (tytuł redakcyjny „Wiadomości” do mojej notatki w świątecznym egz. pisma) znalazłem smakowity „rodzynek”!

Przyzna też Pani, że w sformułowaniu: wszystkich do b r z e piszących już Pani porozpędzała, a „wszystkich piszących już Pani porozpędzała” jest znaczna różnica. Bo porozpędzani pisać nie mogą. Claro!

Wydaje mi się również, że Redakcja nie powinna „punktować” („czyli robić na szaro”) swoich czytelników korespondentów. Korona mi z głowy nie spadła, ale zastanawiam się czy w tych warunkach po dwudziestu kilku latach prenumeraty odnowić ją czy nie?

Z poważaniem,

Beniamin Józef JENNE

Nowy Jork, 13 maja 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

Ze zdziwieniem przeczytałem w „Kronice wydarzeń miesiąca” (nr 4/319 *Kultury*) wiadomość, że we dworze Małej Komorzy, należącym przed wojną do rodziny Janta-Pończyńskich urządzono dom młodego pisarza im. Aleksandra Janty.

Jeżeli inne wiadomości podane w Pańskiej kronice odznaczają się podobnym lekceważeniem prawdy, a co za tym idzie czytelnika, wartość działu postawić trzeba pod dużym znakiem zapytania, wyrazić natomiast poważne wątpliwości gdy idzie o poczucie odpowiedzialności Redakcji za zamieszczanie w nim wiadomości niesprawdzonych, nieprawdziwych, załatwiających insynuację.

Czytam w dalszym ciągu, że jednocześnie Roman Janta-Pończyński zamieszkały w Gdyni otrzymał stypendium rządowe w wysokości 40 tys. zł. na opracowanie „700 lat rodu Janta-Pończyńskich”.

Kuzyn mój Roman ma lat 80, mieszka w Sopocie a nie w Gdyni i żadnego rządowego stypendium na wymieniony w *Kulturze* cel nie otrzymał.

Cała ta informacja jest więc wyssana z palca, nie wiem tylko czyjego. I nie wiem jaki jest powód rozpowszechniania kłamliwych i tendencyjnych wiadomości w rubryce mającej reprezentować kronikę bieżących wydarzeń.

Liczę że list mój zamieszczony zostanie w następnym numerze *Kultury*. Uniknąłbym w ten sposób konieczności rozsyłania sprostowań do prasy emigracyjnej.

Aleksander JANTA

Informacje o domu młodego pisarza im. Al. Janty otrzymaliśmy z paru źródeł kompetentnych i prawdopodobnie w następnym nrze będziemy mogli podać miarodajne wyjaśnienia. (R e d.).

Oxford, 19 kwietnia 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zwrócono mi uwagę, że we wspomnieniu o Irenie Krońskiej (w kwietniowym numerze *Kultury*) Ryszarda Ganszyńca (albo Gansińca, bo i tak się pisał) samowolnie przechrzcilem na Stefana. Jak ten lapsus się zrodził — nie wiem, lecz zgłaszam się z pokutą.

Leszek KOŁAKOWSKI

Londyn, 15 maja 1974.

Drogi Panie Redaktorze,

Artykuł K. Chylińskiej „Krzycząca mniejszość i milcząca większość” (*Kultura*, nr 5) ukazuje się wyjątkowo na czasie i jest w swych spostrzeżeniach i opiniach wyjątkowo wprost słuszny. Jak najbardziej potrzebnie podkreślił Pan jego znaczenie i wagę, otwierając nim majowy numer. Chciałbym tym listem zwrócić szczególną uwagę na trzy spostrzeżenia i tezy Chylińskiej: 1) że — „nie ma dziś w Niemczech Zachodnich żadnych absolutnie przesłanek na recydywę faszyzmu”; 2) że — nie jest prawdą, jakoby przygasał fanatyzm tzw. „lewicowy”, bo wprost przeciwnie — niepokojąco wzrasta arogancja, wrzaskliwość i nietolerancja bolszewizujących grup studenckich; 3) że — nie jest właściwe nazywanie komunizmu czerwonym faszyzmem.

Proszę mi pozwolić dodać kilka uwag na te tematy.

Ad. 1. Krzyk wzniesiony przez komunistów i propagandę reżymów komunistycznych, szczególnie w Polsce tzw. „ludowej” o „wzroście fali rewizjonizmu i faszyzmu w NRF” — ma na celu wyłącznie odwrócenie uwagi od narastania fali stalinizmu w Rosji i zaostrzenia się drapieżności moskiewskiego imperializmu. Przytoczę szczególnie drastyczny przykład, wskazujący na wagę, jaką Moskwa do tej przewrotnej propagandy przywiązuje. Przed kilku laty obiegła świat wiadomość, że w NRF „elementy neohitlerowskie” sprofanowały żydowskie cmentarze i świątynie. Więc, oczywiście: „recydywa hitleryzmu”, „Niemcy się nie zmienili”, „świat stoi w obliczu odrodzenia zsmory hitleryzmu”. Reżymowym gadzinówkom wtórowały głosy naszych zwodowych germanofobów emigracyjnych. A okazało się w kilka lat potem, że była to prowokacja specjalnego wydziału — 13-go — KGB. Zeznali to agenci KGB, którzy potem wybrali wolność (m.in. Jurij Nosenko). Pisze o tym John Barron w książce, która ma wyjść w czerwcu („K.G.B. — Secrets of Soviet Spy Machine”). Wyjątki ukazały się już kilku kwietniowych numerach *The Sunday Telegraph* w Londynie.

Ad. 2. Fanatyzm lewicowy i nieodłączne od niego — jak od każdego fanatyzmu — akty gwałtu szerzy się nie tylko wśród niemieckiej młodzieży. Ostatnimi czasy uniwersytety brytyjskie stały się widownią huligańskich wybrków „lewicowców” przeciw występom profesorów i mówców „prawicowych”, których ruchliwe bandy komunistów nie dopuszczają do głosu, biją i wyganiają z obrębu uczelni. Wybryki te mają za sobą sankcje w postaci — rzecz jak na Anglię wprost zdumiewająca — uchwały Narodowego Związku Studentów — że mówcom prawicowym nie wolno przemawiać na zgromadzeniach studenckich i w ogóle w murach uczelni!

Ad. 3. Sam używałem często wyrażenia „czerwony faszyzm” na określenie bolszewizmu, ale Chylińska mię przekonała, że każdy z tych bandytyzmów ma swój własny charakter, nieporównywalny z innym. I że takie przemianowywanie bolszewizmu na faszyzm sugeruje niejako, że bolszewizm jest — w pewnym sensie — lepszy. A to nieprawda. Zgadzam się z tym.

Łączę serdeczne pozdrowienia,

Janusz KOWALEWSKI

P.S. Artykuł Chylińskiej jest ważny i dlatego, że przełamuje odważnie pewne zaskorupiałe tabu, w które wierzy duża część naszego narodu — że „Niemcy to odwieczny wróg”, że „Niemcy się nie zmienili”. Na tych przesądach zbija kapitał właśnie komunizm, nie kto inny. A naród polski, odcinając sobie tymi przestarzałymi wierzeniami drogę do prawdziwego porozumienia z narodem niemieckim, oddaje się samobójczo w szpony Moskwy. Narody zmieniają się gruntowniej niż pojedynczy ludzie — bo są takie jakie systemy nad nimi panujące.

J. K.

22 kwietnia 1974.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

W tegorocznym numerze trzecim *Kultury* w Kronice Amerykańskiej (str. 152) znalazła się wiadomość, że „prezes Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku, prof. Mrozowski, zgłosił rezygnację z prezesury”.

Wiadomość tak podana nie tylko że może spowodować niesłuszne domysły, ale biorąc rzecz ściśle nie odpowiada rzeczywistości. 20 kwietnia skończyła się moja 3-letnia kadencja na tym stanowisku, wobec czego musiały nastąpić nowe wybory. Piastowałem tę godność przez lat dziewięć. Jestem jednym z niewielu żyjących członków Instytutu zaproszonych na członkostwo przez założycieli na początku roku 1942, jeszcze przed oficjalnym pierwszym zebraniem, i w ciągu mego nieprzerwanego przeszło 32-letniego członkostwa służyłem Instytutowi na różnych stanowiskach (wiceprezes Oddziału Chicago-skiego, przewodniczący sekcji nauk ścisłych i stosowanych, wiceprezes Rady Instytutu, itd.) i chyba zasłużyłem już na odpoczynek.

Z prezesury nie rezygnowałem, ale ponieważ będziemy się wkrótce przenieść z Buffalo do cieplejszych okolic Ameryki i trudno mi będzie regularnie odwiedzać Nowy Jork, prosiłem kolegów o nie zgłaszanie mojej kandydatury na nową 3-letnią kadencję.

O ile w ciągu ostatnich dwu lat pomimo wyjścia na emeryturę i planowanego przeniesienia się na południe nie wycofywałem się z prezesury ze względu na zły stan zdrowia śp. dyrektora Jana Libracha, to ostatnio po znalezieniu świetnego kandydata na nowego prezesa w osobie prof. J. Gronouskiego, nadarzyła się odpowiednia okazja do odmłodzenia Instytutu.

Przekazałem nowemu prezesowi instytucję aktywną i prężną, której trzema filarami są dyrektor E. Kleban, sekretarz generalny T. Gromada i redaktor *Polish Review* L. Krzyżanowski, instytucję o skromnych lecz zdrowych finansach i dalekosiężnych planach, i o której przyszłość nie potrzebuję się niepokoić.

Proszę przyjąć szczerze wyrazy głębokiej wdzięczności i uznania dla Pana i dla *Kultury* od stałego czytelnika, który z radością i prawdziwym zainteresowaniem wita każdy nowy zeszyt tego pisma. Życząc długich lat owocnej pracy na tak ważnej placówce, zasyłam serdeczne pozdrowienia dla Pana i całego zespołu.

S. MROZOWSKI

P.S. Nasz Instytut nie jest instytucją nowojorską, ale wszechamerykańską, jak na to nasza nazwa „Polski Instytut Naukowy w Ameryce” wskazuje.

Londyn, 14 maja 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 5-tym (1974) *Kultury* w rubryce „Wydarzenia miesiąca” podał Pan: „Spór POSK — SPK został zlikwidowany pod wpływem nacisku opinii publicznej. SPK wpłaciło pierwszy czek na £ 25.000...”.

Jesteśmy zaskoczeni z powodu opublikowania w tak poważnym czasopiśmie, niesprawdzonych a krzywdzących Stowarzyszenie Polskich Kombatantów wiadomości.

Zadnego sporu między POSK a SPK nie było, nie ma i da Bóg nie będzie, bo obydwie te organizacje działają na codzień na rzecz tego samego centralnego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie.

A już ten „nacisk opinii publicznej”, to istny wytwór bujnej wyobraźni Pańskiego informatora.

Natomiast pragniemy wyjaśnić, że trudności władz POSK'u w udzieleniu prawnego zabezpieczenia lokalowego dla SPK spowodowały chwilowe zahamowanie w formalnym załatwieniu sprawy. Z chwilą usunięcia tych trudności SPK realizuje wpłaty do POSK'u.

Łączymy wyrazy poważania,

Za Zarząd:
Zygmunt SZADKOWSKI Stefan SOBONIEWSKI
Sekretarz Generalny Prezes

Do sprawy POSK'u wrócimy w najbliższym czasie (Red.).

ODPOWIEDŹ REDAKCJI

Prof. T. Siedlik nadesłał pismo atakujące artykuł p. Edwarda Puacza nr 3/318 *Kultury* na temat trudnej sytuacji ekonomicznej i socjalnej Polonii w USA. W liście jego nie ma odpowiedzi na zarzut, iż prof. T. Siedlik w swoim artykule w *Mysli Polskiej* nie wyjaśnił jak to się stało, iż Polonia w USA znalazła się na górnej drugiej pozycji pod względem zarobków, mimo, że jej przedstawiciele nie należą do amerykańskiego *Establishment'u*, nie zajmują wysokich pozycji w gospodarce, finansach i administracji USA. Nie odpowiedział również na drugie pytanie: — jak to się stało, że w podanym przez prof. Siedlika spisie 8 grup etnicznych w USA o najwyższej śred-

niej zarobkowej, nie znalazła się grupa żydowska, o której pisze prof. Siedlik, że przewyższa Polonię w USA z górą o milion.

Ilustracją „służności” też prof. Siedlika jest oświadczenie senatora Charles Percy (jeden z kandydatów na stanowisko prezydenta USA), które złożył on w Senacie, wzywające do zaprzestania dyskryminacji Polaków. W oświadczeniu tym czytamy: „Dyskryminacja obywateli polskiego pochodzenia jest szczególnie niesprawiedliwa w obliczu rzetelności Polaków i ich wkładu w rozwój Stanów Zjednoczonych. Odnosi się ona nie tylko do zniesławiania Amerykanów polskiego pochodzenia w filmach, T.V. czy prasie ale także jest widoczna w sferze zatrudnienia... Zgłaszam więc rezolucję, której celem jest położenie kresu dyskryminacji w tym kraju wobec Amerykanów polskiego pochodzenia jak też i innych grup etnicznych”. (3 maj br.).

Polska kwota emigracyjna została rzeczywiście podniesiona z 6.440 do 10.000 ale z zastrzeżeniem że to mają być specjaliści potrzebni USA.

Listu prof. Siedlika nie zamieszczamy ze względu na — niewłaściwe naszym zdaniem — insynuacje, nie mające związku z tematem.

REDAKCJA

“POLONIA”

KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej *KULTURY* i *ŻESZYTÓW HISTORYCZNYCH*.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal : 2° Trimestre 1974.



KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	R. 1,20	R. 7,50	R. 14,50
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW. 2000, tel. 212-2013	\$ A 1,50	\$ A. 9,00	\$ A. 17,50
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien 1, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 250,00	Sch.A. 450,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18-69-23	F.B. 90,00	F. B. 500,00	F. B. 950,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, Al. Barao de Limeira 1022, ap. 74. CEIis., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221-1724	\$ US 2,00	\$ US. 11,00	\$ US 20,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 9,00	F. 48,00	F 90,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Flo. h. 6,00	Fl. h. 35,00	F. h. 65,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que. H4A 1Z1, Tel. 486-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115; Henryk Slowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4; Polish Voice Publishing Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen Str. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 2,00	\$ Can. 11,00	\$ Can. 20,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	DM. 6,00	DM. 35,00	DM. 65,05
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F 9,00	F. 50,00	F. 95,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F. . 8,00	F. S. 40,00	F. S. 75,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70	K. S. 9,00	K. S. 50,00	K. S. 95,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; Maria E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel 284-6271; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave., Philadelphia, Pa, 19111; Edward Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 2,00	\$ US 11,00	\$ US 20,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W 5. ORD.	£ 0,75	£ 4,00	£ 7,75
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 1200	L. It. 6000	L. It. 11000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 50.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 242 — BOHDAN MADEJ

PIĘKNE KALALIE ALBO DOJRZEWANIE MIŁOŚCI

Powieść młodego pisarza krajowego, złożona w PIW'ie w Warszawie w roku 1970, który zawarł z autorem umowę rozwiązań w roku 1971, aby ponownie przyjąć książkę do druku w roku 1972. Na skutek negatywnego stanowiska cenzury i czynników partyjnych skład gotowej już książki został zniszczony a Komisja Kontroli Partyjnej ukarała autora naganą z ostrzeżeniem: „za napisanie książki niezgodnej z partyjnym punktem widzenia, o wielkiej szkodliwości społecznej”. Powieść wydana bez wiedzy i zgody autora.

Str. 168.

Cena F. 24 (dol. 5,25)

TOM 243 — TOMASZ STALIŃSKI

ŚLEDZTWO

Powieść „z kluczem” autora znanych książek wydanych w „Bibliotece Kultury”: *Widziane z góry*, *Cienie w pieczarze* i *Romans zimowy* — osnuta na tle głośnych wydarzeń na Wybrzeżu w 1970 roku.

Stron. 224.

Cena F. 25 (dol. 6,00)

TOM 244 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY ÓSMY

Zawiera m.in. prace: P. Wandycza: *Pierwsza Republika i Druga Rzeczpospolita*; J. Garlińskiego: *Oświęcim walczący*; J. Drewnowskiego: *„Proces Centralnego Urzędu Planowania w 1948 roku; Wyjaśnienia Sztabowca*; W. T. Drymmera: *Wspomnienia (cz. II)*; w dziale W. KSIĘSTWO LITEWSKIE: W. Sukiennickiego, K. Okulicza, W. Chocianowicza i J. Drobnika, oraz działy RECENZJE i LISTY I POLEMIKI.

Str. 240.

Cena F. 20 (dol. 5,00).

TOM 245 — CZESŁAW MIŁOSZ

GDZIE WSCHODZI SŁONCE I KĘDY ZAPADA

P o e z j e

Str. 96.

Cena F. 15 (dol. 3,50).